

Maciej Słomczyński

Lądujemy szóstego czerwca

Agencja Wydawniczo-Informacyjna IWAR

Adaptacja na podstawie książki wydanej przez
Agencję Wydawniczo-Informacyjną IWAR

Od autora

Mija właśnie pięćdziesiąta rocznica inwazji wojsk alianckich na kontynent europejski. Dwa lata później powróciłem z Zachodu do kraju. W tydzień po przyjeździe spotkałem na łódzkiej ulicy mego dalekiego kuzyna, grafika, i poszedłem z nim na kawę. Po chwili przysiadł się do nas wydawca, dla którego mój kuzyn projektował okładki książek. Obaj zaczęli mnie wypytywać o to, co dzieje się na Zachodzie. Rozgadałem się i zacząłem im opowiadać o

moich przygodach wojennych. Kiedy wyszliśmy wydawca zapytał mnie: "A nie mógłby pan tego opisać?" Do dziś nie rozumiem, dlaczego odpowiedziałem mu:

"Oczywiście, że bym mógł!" - Miałem dwadzieścia kilka lat, umiałem nieźle strzelać, rzucać granatami, a nawet od biedy poprowadzić ciężki czołg...

Ale nie umiałem pisać książek. Wydawca zapytał mnie o adres i dokończył:

"Wpadnę do pana jutro i porozmawiamy." Pożegnaliśmy się.

Spałem jeszcze, kiedy rozległ się dzwonek. W drzwiach stał Henryk Igel, bo tak nazywał się mój wczorajszy rozmówca. W pierwszej chwili nie poznałem

go. "Kupiłem panu maszynę do pisania - powiedział - bo pan pewnie nie ma. A

to jest zaliczka..." - Wyjął z kieszeni płaszcza spory plik banknotów i

położył na stole. Byłem

Nie śniłem nawet dotąd, że coś napiszę i uznałbym za wariata kogoś, kto

powiedziałyby mi, że kiedyś przełożę "Ulissesa" i cały worek innych

anglosaskich arcydzieł, a jako Joe Alex wydaję miliony egzemplarzy książek w

iluś tam językach. Przestraszyłem się. Chciałem od razu pobiec do pana

Igla, oddać maszynę i zaliczkę, i próbować obrócić wszystko w żart. Ale coś

nagle podkusiło mnie, żeby spróbować. Nie miałem przecież nic do stracenia.

Pisałem przez osiem dni i chyba osiem nocy. Kiedy oczy mi się zamykały, drzemałem godzinę czy dwie i pisałem dalej. Dziewiątego dnia wieczorem wymyśliłem tytuł "Lądujemy 6-go czerwca", napisałem u dołu ostatniej strony. Koniec, usnąłem i rano poszedłem do wydawcy. Nie poprawiałem książki, bo nie wiedziałem jak się to robi. Oddałem maszynopis, powiedziałem, że przyjdę jutro i prędko wyszedłem. Byłem przekonany, że po przeczytaniu Igl wyrzuci mnie wraz z pierwszym owocem mojej wyobraźni, za drzwi. Ale nie wyrzucił. Powiedział: "Drukujemy. To się dobrze czyta."

I wydrukował. Później dodał jeszcze trzy dodruki, bo książka miała szalone powodzenie. Po paru tygodniach znajomi powiedzieli mi, że ktoś chce mnie widzieć w Związku Literatów. Poszedłem. Komisja kwalifikacyjna w składzie Mieczysław Jastrun i Adam Ważyk, przyjęła mnie do Związku. Ważyk powiedział nawet: "Wie pan, to nie złe".

I tak zostałem legalnym, zawodowym pisarzem, chociaż nadal nie miałem pojęcia, jak się pisze.

A po roku "Lądujemy..." wraz z paroma innymi moimi książeczkami o wojnie,

została wycofana z księgarni i bibliotek publicznych. Nadszedł czas Armii Czerwonej, jedynej tryumfatorce w II Wojnie Światowej. I w ogóle nadeszły nowe czasy.

Próbowałem przystosować się do nich jak umiałem, ale nie bardzo mi to szło, więc zostałem tłumaczem. I jestem nim do dziś. Po roku 1956, gdy Scotland Yard nie musiał być traktowany wyłącznie jako agentura imperialistyczna, wymyśliłem Joe Alexa, który odtąd pracował na moje utrzymanie. Ale od "Lądujemy..." wszystko się zaczęło. Kiedy teraz Wydawnictwo "Iwar" zwróciło się do mnie z propozycją wydania tej książki w pięćdziesiątą rocznicę inwazji, zgodziłem się bez wahania, chociaż nie pamiętałem dokładnie treści. Jak mogłem pamiętać? Minęło już prawie pół wieku od tamtych dni. Mój Boże...

ŃRozdział I:

Hauptmann Helmut Mertl

Poszarpane kontury zrujnowanego dworca w Aachen przesunęły się powoli za oknem wagonu i zniknęły ustępując miejsca długim szeregom szarych domów, patrzących pustymi oczodołami okien osłoniętych prostokątami grubej

brunatnej tektury. Okolice dworca przeżyły już kilka amerykańskich bombardowań w tym roku.

Helmut położył na półce przedziału przeczytane od deski do deski "Die Woche" i rozsiadłszy się wygodnie na wyściełanym siedzeniu, przymknął oczy.

Przez mózg przesuwać mu się poczęły fragmenty minionego urlopu.

Czternastodniowy pobyt w domu nie nastroił go różowo. Austria tonęła w fali

plotek i wzrastającego z dnia na dzień poczucia nadchodzącej klęski. W

rodzinnym Kapfenbergu niemal wszyscy spotkani ludzie witali go bez

uśmiechu. Niezwykle regularne przeloty amerykańskich bombowców, które

każdego ranka zjawiały się nad miastem ciągnąc setkami na południową wizytę

do Wiednia, bez żadnej widocznej kontrakcji niemieckiego lotnictwa, także

dawały wiele do myślenia. Powracając czuł wielką ulgę. Odwykł od życia w

kraju. Wojsko dawało mu świadomość przynależności do pewnego, określonego

miejsca w maszynerii wojującego świata. W domu wszystko było kruche,

tchórzliwe i pogmatwane.

Westchnął. Był jeszcze jeden powód, który odrywał jego myśli od

słonecznych wzgórz Steiermarku i gnał je ku wybrzeżom Kanału La Manche do tonącego w wieczystym błocie Caen. Marianne Galeron. Nie mógł zapomnieć o niej ani przez chwilę leżąc przy boku Hildy. Podczas nieskończonej długiej czternastu nocy marzył o jej wiotkim, ciemnym ciele. Wiedział, że zastanie ją po powrocie wesołą, gorącą i inną niż wszystkie znane mu dotąd kobiety. Pamięć o tym dała mu przetrzymać w spokoju huraganowe pieszczoty wygłodniałej żony. Namietność Hildy przestraszyła go początkowo. Zdaje się, że była wierna. Inna na jej miejscu dawno by już... Nawet w myśli nie chciał dokończyć rozpoczętego zdania. Była przecież matką jego synów. Kiedy zobaczą się znowu? Myśl o rodzinie rozplynęła się w zakamarkach świadomości. W Caen czekała Marianne. Spojrzał na zegarek. - Siódma - pomyślał prawie ze złością. Do Paryża było jeszcze około ośmiu godzin jazdy. Pociąg w kierunku wybrzeża odchodził rano następnego dnia. W perspektywie miał kilkugodzinny pobyt w Paryżu. Myśl ta ucieszyła go. Kochał Paryż w ten sam sposób, w jaki kochał Marianne. "Na szczęście, jestem Austriakiem, nie prusakiem" pomyślał. Mimo to, idąc ulicami

paryskimi, czuł podświadomie, że jest grubo ociosany i ciężki, cięższy od otoczenia, jak gdyby prawo ciężenia powszechnego inaczej na niego działało.

Przez tysiąc lat nie mógłby sobie przyswoić dziwnej lekkości promieniującej z ulic, domów i kobiet tego miasta. Pojęcie Marianne było ściśle zespolone z pojęciem Paryża. Ani wykształcenie, ani przeświadczenie o wyższości rasy nie mogło wyrównać tego handicapu. Myśl jego ześrodkowała się teraz na Marianne, a właściwie na chwili, kiedy będzie mógł ją wreszcie zobaczyć.

Wśród tego nadszedł sen.

Kiedy obudził się, pociąg wjeżdżał już na Gare du Nord.

- Paris. Aussteigen bitte!

Drewniany głos konduktora przywrócił go do rzeczywistości.

- Paris - Jak to mówiła Marianne? - Ach, mon Paris! Czy

Niemiec mógłby

powiedzieć w ten sposób - Ach, mein Berlin? Absurd!

- Co się ze mną dzieje? - przestraszył się własnych myśli. Był przecież

kapitanem armii niemieckiej, odpowiedzialnym za niewielki, ale jakże ważny

odcinek fortyfikacji, na którym skupiała się obecnie uwaga całego świata.

Wysiadł. Metro było jak zwykle zatłoczone. Jakiś usłużny

Francuz zerwał

się z ławki, aby zrobić mu miejsce. Siadł nie zwracając na niego żadnej

uwagi. Wsiadł na Etoile. Łuk Tryumfalny stał górując spokojnym ogromem ponad rozpiętą na krańce horyzontu gwiazdą ulic. Mertl strawersował plac i począł schodzić wzdłuż Pól Elizejskich obserwując z roztargnieniem sunącą chodnikami falę ludzi. Hotel dla przejezdnych oficerów mieścił się przy ulicy George V Po kilku minutach kapitan leżał już w łóżku.

- Proszę mnie obudzić o piątej - powiedział do dyżurnego żołnierza.

Pociąg na północ odchodził o 6.30.

Caen przywitało go deszczem. Peron tonął w powodzi lepkiego błota. Pod

latarnią oświetlającą przejście dla pasażerów czekał Hans.

Podbiegł

natychmiast zobaczywszy kapitana.

- Heil Hitler, Herr Hauptmann! Mam nadzieję, że urlop wypadł pomyślnie?

- Dziękuję, mój chłopcze - Mertl poczuł się raźniej. Ordynans był

pierwszą oznaką normalnego życia - doskonale.

- U was pogoda jak zwykle, co?

- Tak jest, panie kapitanie. Leje od dziesięciu dni bez przerwy.

- Co nowego na odcinku? Nie było żadnych nalotów?

- Był jeden. Zabiło kilku ludzi z sąsiedniego odcinka i jakiegoś robotnika Francuza.

- A poza tym?

- Poza tym, wszystko po staremu, panie kapitanie.

Weszli do oczekującego samochodu. Mertl rozsiadł się na poduszkach i

pograżył w rozmyślaniu. Samochód ruszył tnąc wąziutkimi smugami na pół przygaszonych reflektorów nabrzmiałą deszczem ciemność. Szosa wiodła na północny zachód. Minęli śpiące Meuraines i po chwili zjechali na boczna drogę. W pewnym momencie, we mgle zamajaczyły zamazane sylwetki żołnierzy.

Na środku szosy widniał sygnał oznaczający zamkniętą drogę. Hans nacisnął hamulce i zatrzymał wóz o metr od czerwonego światła.

- Halt! Dokumenty, proszę!

Drzwiczki wozu otworzyły się i do wewnątrz zajrzał żołnierz w ociekającym wodą płaszczu.

- Pan Hauptmann pozwoli swoje papiery i pozwolenie na poruszanie się w pasie fortyfikacji.

Helmut podał mu swoją książeczkę oficerską i kartę urlopową. Żołnierz skierował na nie światło latarki i uważnie przyjrzał się fotografii, potem oświetlił bezceremonialnie twarz kapitana.

- Dziękuję bardzo. Proszę jechać dalej. Na następnym skrzyżowaniu hasło:

"Bremen", odzew: "Brandenburg".

Drzwiczki zamknęły się. Ponownie ogarnęła ich ciemność. Na następnym punkcie kontrolnym nie mieli najmniejszych trudności. Żołnierz, który

zajrzał do wewnątrz, należał do kompanii Mertla. Razem byli w Rosji, razem też przybyli na wybrzeże. Po kilku minutach jazdy auto zwolniło i zatrzymało się.

- Czy to już?

- Już, panie kapitanie.

Mertl wysiadł. Deszcz padał coraz gęściej. Niebieska lampka oświetlająca wejście do bunkru będącego siedzibą dowódcy kompanii, rzucała długi, świetlisty odbłask na drgające odbiciem tysięcy kropel kałuże.

Dalej, na

północy szumiało morze niewidoczne pod osłoną ciemności. Tam właśnie

mieszkała Marianne. Droga do wioski, w której stał jej domek, biegła

między fortyfikacjami w głąb lądu. Była to jedyna linia, po której

mieszkańcy wybrzeża mogli kontaktować się z zapleczem Wału Atlantyckiego.

Wał nie był zresztą budowany na wzór potężnej i konkretnej linii Ziegfrieda.

Nie starczyło na to ludzi, czasu ani pieniędzy. Pozycje obronne zostały tak

rozplanowane, aby mogły się wspierać wzajemnie i koncentrować ogień

wszystkich rodzajów broni na dowolnym punkcie. Plaże będące ich przedpołem

zostały gęsto zaminowane, jak również pas wody ciągnący się przed plażami.

Wyjścia w głąb ładu przecięto gęstą siecią rowów zaporowych i przeszkód ze

stali i betonu. Pozycje broni maszynowej i ciężkiej, punkty dowodzenia i

centrale łączności mieściły się w wykutych w skale bunkrach.

Helmut

pochylił się i minął sklepione przejście do wnętrza bunkru.

Wartownik

sprezentował broń. Kapitan oddał pozdrowienie i przeszedł do pokoju,

którego drzwi oznaczone były napisem: "Kommandant". Siedzący przy stole

młody oficer zerwał się z krzesła i ruszył na jego powitanie.

- Jak się masz Helmut? Co słychać w starym Steiermarku?

- Źle - porucznik Erick Sauer był najlepszym przyjacielem

Mertla.

Pochodzili z tych samych stron Austrii i razem rozpoczęli służbę.

- Źle? Jak to źle? Dlaczego źle?

Kapitan rozsiadł się wygodnie i zapalił cygaro.

- Jest źle. W kraju prawie nikt już nie wierzy w zwycięstwo. Z żarciem

także nie jest za dobrze. Naloty dzień i noc. Ludzie mają już dosyć

tworzenia historii.

Erick roześmiał się.

- Nie przejmuj się. Nic na to nie poradzimy. Trzeba robić wszystko po staremu i w najgorszym razie zdechnąć w odpowiedniej chwili.

Ale, ale,

zapomniałbym o najważniejszym. Była tu ta twoja Francuzeczka i zostawiła

jakiś list. Prosiła, żeby ci go oddać, jak tylko powrócisz z urlopu. Dobrze, że nie pęta tu się na razie nikt z SS, bo mógłby być kłopot, gdyby ją tu znalezione.

Roześmieli się obaj.

- Dawaj ten list.

Erick wyjął z portfela małą kopertę i podał ją kapitanowi.

- Pozwolisz, że przeczytam go zaraz. - Mertl z pewnym zdenerwowaniem

wyjął z koperty arkusz papieru i zaczął czytać. Porucznik obserwował go z

drwiącym, lecz przyjaznym uśmiechem.

- No? Co tam pisze twoja królowna? Pewnie czeka i tęskni, a poza tym

przypomina, że od dziesiątej wieczór można ją zastać w wiadomym domku nad

wodą. Masz szczęście, że jesteś dowódcą odcinka. Innemu nie przeszłoby to

tak łatwo. Mam ochotę wybrać się dzisiaj z ludźmi na patrol i zaaresztować

cię podczas tego tête a tête.

Mertl złożył list i spojrzał na wesołą twarz swego podwładnego.

- Masz rację. Idę spotkać się z Marianne. Wrócę rano. Jeżeli zaszłoby coś

niespodziewanego, wyślij ordynansa.

Erick wstał z krzesła, obszedł stół i stanął za przyjacielem. Położył mu

dłoń na ramieniu. Helmut odwrócił głowę, ale napotkawszy wzrok porucznika

spuścił oczy.

- Czy to naprawdę coś poważnego, stary?

- Obawiam się, że tak. Myślałem o niej przez cały czas urlopu.
- To źle. To bardzo źle. Mam ochotę pójść tam razem z tobą i strzelić tej

babie w łeb. Myślę, że za dwa tygodnie stałbyś się na powrót sobą.

- Wątpię. Wydaje mi się, że ją kocham - słowa wychodziły niechętnie z ust

Mertla.

Wiedział, że pytaniami Ericka powodowała czysta przyjaźń. Ale nie

powinien pytać. Erick, jak gdyby odgadując tok myśli przyjaciela, zamilkł.

Przez chwilę trwała cisza. Wreszcie kapitan dźwignął się ciężko z krzesła i

stał przy odbiorniku radiowym. Przez chwilę manipulował gałką, wreszcie

uchwycił stację. Speaker rozgłosi berlińskiej podawał właśnie streszczenie

ostatniej mowy Hitlera. Mertlowi wydało się, że nastrój szczeroci i

ludzkiej, zwykłej rozmowy prysnął przy pierwszych słowach niewidocznego

prelegenta. Wyłączył odbiór.

- Zdaje mi się, że wojna zabiła w nas poczucie ludzkości do tego stopnia,

że nie potrafimy już nawet myśleć samodzielnie.

- Opanuj się, Helmut. Wiesz do czego prowadzą tego rodzaju rozmowy.

- Tak, wiem, ale zaczyna mnie to już wszystko dusić. Sam przecież

rozumiesz, że nie mogę o tym mówić z nikim, tylko z tobą. Nawet
żonie

nie... W ogóle, to ten cały urlop tak jakoś dziwnie...Mertl zamilkł
nie

mogąc sformułować męczącej go myśli.

- Uspokój się - posiedzisz tu kilka dni. Popracujesz trochę i
wszystkie

te bzdury wylecą ci z głowy. Pamiętaj, że jakby nie było, jesteśmy
przecież

oficerami najlepszej armii świata.

Helmut zaczerwienił się.

- Nie posądzasz mnie chyba o nielojalność w stosunku do
munduru?

- Ależ nie. Oczywiście, że nie! Chciałbym tylko, żebyś nieco
oprzytomniał.

- Tak. Masz rację. Człowiek nie powinien jeździć do domu. Nie
wiadomo

potem, co robić ze wspomnieniami.

- No, idź już do tej damy swojego serca. I pamiętaj, jak najmniej
filozofowania. Jutro ci to przejdzie.

Podali sobie ręce. Mertl nałożył płaszcz i kiwnąwszy
porucznikowi głową

wyszedł z bunkru.

Deszcz ustał. Od strony morza zalaływał ciepły, wiosenny wiatr.
Kapitan

przystanął na chwilę i wpatrzył się w drgającą milionem szmerów
ciemność.

Cały zasób nagromadzonego podczas urlopu pesymizmu zsunął
mu się z pleców

jak sztucznie przyprawiony garb. Znów poczuł się wolny. Ruszył
nucąc cicho

starą piosenkę o Tyrolu. Wartownik przepuścił go bez słowa.
Mertl poklepał
go po ramieniu.

- Skąd wiedziałeś, że to ja nadchodzę?

- Ja pana, Herr Hauptmann, poznam wszędzie po odgłosie
kroków.

- To dobrze. Jak długo tu jesteś?

- Razem przyjechaliśmy, panie kapitanie. Rok i osiem miesięcy
temu.

- Tak, tak pamiętam. Deszcz wtedy padał. Ciekaw jestem, czy
będzie padał,
kiedy będziemy stąd odchodzić.

- Pewnie będzie, panie kapitanie. Dziwiłbym się gdyby
kiedykolwiek
przestał padać.

- No, dobranoc mój stary. Uważaj, żeby jakiś angielski
spadochroniarz nie
wylądował ci na lufie.

- Nie ma obawy, Herr Hauptmann. Zaraz bym go przyniósł do
kwatery.

Żołnierz raz jeszcze sprezentował broń. Mertl ruszył w dalszą
drogę.

Szedł po omacku, intuicyjnie odnajdując dobrze znaną drogę.

Pierwsze domki

osady zamajaczyły w ciemności brylastymi konturami, Liczył:

- Raz... dwa... trzy...

Przy czwartym konturze zatrzymał się. Na lekkie pukanie do
okna

odpowiedział mu przytłumiony kobiecy głos. Podeszedł do drzwi.

Po chwili

uchyliły się one. Wszedł w czarny prostokąt niewidocznej izby.

- Jesteś! Nareszcie...

Ciepłe ramiona owinięły mu się wokół szyi. Na ustach poczuł gorące miękkie wargi.

- Marianne! - nie mógł powiedzieć więcej. Stali przez chwilę rozkoszując się świadomością, że są nareszcie razem. Wreszcie kobieta zwolniła uścisk i odsunęła się.

- Wejź do środka. Jaka ja jestem nieuprzejma - mówiła po niemiecku dobrze, lecz z cudzoziemskim akcentem. - No, wejźże zaśmiała się z zażenowaniem widząc, że nie chce jej puścić z objęć.

Zasłoniła okno i zapaliła lampę. Mertl zdjął ociekający wodą płaszcz i powiesił go na poręczy krzesła. Młoda kobieta dorzuciła węgla do żelaznego piecyka i nastawiła wodę.

- Zaraz dostaniesz gorącej herbaty. - Ruchem ręki ogarnęła poły rozchylającego się szlafrocza. - Opowiadaj!

Wziął ją na kolana i kołysząc powoli zaczął całować skrawek pleców i szyję wyłaniającą się spod burzy ciemnobrązowych włosów. Odsunęła go łagodnie.

- Daj spokój... potem... teraz opowiadaj... tak bardzo chcę wiedzieć o wszystkim, co cię tam spotkało. Przecież wiesz, że jest to jedyna sprawa na tym świecie, która mnie obchodzi.

Mówiła bez najmniejszego patosu. Zdania, które w ustach innej kobiety wydawać by się mogły tanią próbą wmówienia w mężczyznę, iż jest jedynym tematem jej myśli, brzmiały u niej tak naturalnie, że Mertl poczuł ponowny przyływ ojcowskiego prawie ciepła. Przytulił jej głowę do swojej piersi.

- Sam nie wiem, o czym ci opowiadać. Byłem w domu, którego w tej chwili nie umiem już nazwać domem. Widziałem ponownie ludzi, którzy byli dla mnie kiedyś wszystkim, a w chwili obecnej są mi tak prawie dalecy jak mieszkańcy tej wioski.

- Biedny - pogłaskała go po twarzy. - Czyżby naprawdę życie wasze zmieniło się do tego stopnia? A może to nie oni, a ty uległeś jakiejś wielkiej wewnętrznej przemianie? - Może? Sam nie wiem. Nie mogę się pogodzić z tym wszystkim, co się tam dzieje. Nikt nie myśli już o zwycięstwie. Szczerze mówiąc, wojna przestaje ludzi interesować. Co innego działo się jeszcze dwa lub trzy lata temu. Wszyscy, nawet moi Austriacy, byli otumanieni perspektywą panowania nad światem.

- A ty? - patrzyła mu w oczy z napięciem - co o tym myślałeś wówczas?

- Ja? Myślałem to samo co wszyscy, z tą małą różnicą, że i teraz pragnę

widzieć naszych wrogów pokonanych. Gdybyś wiedziała, jak straszne

spustoszenia sieją te barbarzyńskie naloty wewnątrz kraju!

- Tak, wiem. Nigdy nie lubiłam Anglików. My Francuzi wolimy pokój od wojny. Nawet wtedy, gdyby miało nas to kosztować utratę imperium.

- Lecz my zwyciężymy - ożywił się odpowiadając własnym myślom -

zwyciężymy i rzucimy całą tę kupiecką koalicję na kolana. Ofiary są coraz

większe, ale wierzę, że Führer wie, co robi. Wie lepiej od tych wszystkich

półgłówków, którzy są jego przeciwnikami.

- Daj Boże! Może wtedy będę mogła pozostać z tobą na zawsze.

- Nie powinienem ci o tym wszystkim mówić, Marianne, ale wiesz, że nie

mam przed tobą żadnych tajemnic, poza służbowymi, które zresztą nie są

moimi tajemnicami. Nie wiem, jak ci odpowiedzieć na to pytanie.

W kraju nie

jest za dobrze. Wiele nie widziałem, ale jeżeli chodzi o wycinek z życia

narodu, jakim jest życie mego własnego miasta, mogę ci o nim mówić bez

wewnętrznego przeświadczenia, że zdradzam słabostki swych bliskich przed

kimś obcym, bo mimo wszystko, jesteś tak daleko od ludzi w Kapfenbergu, jak

tylko jeden człowiek może być odległy od drugiego.

- Zaczniemy mówić o czym innym. Wiesz przecież, że wszystko to jest ważne dla mnie tylko ze względu na ciebie.

- Tak, wiem. Wierz mi, że rozmowa z tobą, to wielka, jedyna ulga. Jak wielka, sama tego nie rozumiesz. Jesteś przecież jedynym człowiekiem jakiego znam, który nie widzi we mnie wyłącznie kapitana armii niemieckiej, a tylko zwykłego, normalnego człowieka.

- Kochany! - Znów objęła go za szyję, Lecz po chwili zsunęła mu się z ręcznie z kolan.

- Woda już się zagotowała. Zdejmij ten mundur. Złapał w locie rzuconą mu piżamę i wszedł do przyległego pokoju. Kiedy powrócił, kolacja stała już na stole. Marianne przeglądała się w lustrze poprawiając włosy.

- Muszę się nieco upiększyć. Zdobywcy mają swoje prawa. Roześmiała się, kiedy niecierpliwie zawołał ją do stołu. Herbata i kilka kieliszków "calvadosu" rozgrzały go i nadały myślom inną barwę. Łatwiej było opowiadać.

- Gdybyś wiedziała, ile przeżyłem podczas ostatnich czternastu dni. Te amerykańskie świnie mają dobre lotnictwo. Zaraz pierwszego dnia po przyjeździe, kiedy siadaliśmy do obiadu, nadlecieli. Pomiędzy ogłoszeniem

alarmu, a ich ukazaniem się przeszło najwyżej trzy minuty.
Oczywiście przy
pierwszych dźwiękach syreny zerwaliśmy się z krzeseł i w nogi.
Schrony w
naszym mieście umieszczone są w sztolniach górskich. Góry
spływają
prostopadle do miasteczka. Po minucie znajdowaliśmy się
wszyscy pod skałą.
Weszliśmy może sto metrów w głąb, kiedy nagle wszystkie
światła pogasły i
cała góra zakołysała się jak okręt. Kobiety zaczęły płakać,
wybuchła
panika. Wielu ludzi pozostawiło cały swój dobytek na zewnątrz.
Po dwóch
godzinach alarm został odwołany. Wyszliśmy. Miasteczko stało
nienaruszone,
ale fabryka "Bohlera" - fabryka, w której spędziłem osiem lat
życia jako
inżynier i którą znam lepiej, niż niektórzy znają własny dom,
leżała w
gruzach. Przyznaję, że fakt ten zastanowił mnie nieco.
Ostatecznie, nie
jest to jakaś tam sobie fabryczka, ale zakłady zbrojeniowe
zatrudniające
piętnaście tysięcy ludzi i ciągnące się na przestrzeni wielu
kilometrów
kwadratowych. Nie została ona całkowicie zburzona, ale serce jej:
hala
obrabiarek, biuro konstrukcji technicznych, montaż i hala młotów
nie

istnieją. Wyglądało to tak, jak gdyby ludzie rzucający bomby
znali jej

punkty newralgiczne tak dobrze, jak ci, którzy w niej pracują.

Remont

wymagać będzie, co najmniej sześciu do ośmiu miesięcy. Cały
mój urlop

upłynął pod znakiem tego rodzaju rozważań. Co jeszcze można
dodać? Ludzie

są zmęczeni latami wojny. Transport, żywność, warunki życia -
wszystko to

szwankuje w dużym stopniu. Prusacy pewnie wytrzymują te
przeciwności o

wiele lepiej, ale my Austriacy nie potrafimy nigdy skoncentrować
się na

jednej idei. Jesteśmy weselsi i mniej odporni niż oni i dlatego
stoimy na

niższym poziomie.

- Nie rozumiem? - uniosła piękne brwi.

- Wiem, że nie rozumiesz. Ja sam nie bardzo rozumiem. Tak
jednak jest.

Ale skończmy mówić o tych ohydnych sprawach. Życie nie jest
tylko po to,

aby je brać z najgorszej strony.

Wstał od stołu i podszedł do niej. Pochylił się i objął ją.

Przymknęła

oczy i oparła głowę na jego piersi. Wpił się ustami w jej usta.

Szlafroczek

osunął się z ramionn. Wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko...

Kiedy rano, drzwi zamknęły się za nim, stanęła przy framudze
okna,

czekając aż zarys jego sylwetki wsiąknie w firanę deszczu, po czym szybko podeszła do tego samego łóżka, na którym spędzili noc. Odkręciła poręcz i wyjęła mały, zielony zeszyt. Raz jeszcze podeszła do okna i sprawdziwszy, że na uliczce nie ma nikogo, usiadła przy stole. Przez dłuższą chwilę zajęta była pisaniem. Kiedy skończyła, powiodła wzrokiem po pokrytej drobnym, energicznym kobiecym pismem, kartce. List brzmiał: "Agent CD-5 do "Czwartego Albatrosa" w "H 111". "Kontakt pomiędzy mną, a wspomnianym uprzednio oficerem, na mym sektorze, został ponownie nawiązany. Jeżeli chodzi o jakieś konkretne wiadomości, to powiedzieć muszę, że na razie nie uzyskałam prawie żadnych. Jeżeli chodzi o nasz sektor: zauważyłam wczoraj rano, jak saperzy zakładali miny typu talerzowego na przedpolu pozycji karabinów maszynowych (Odcinek CD, a2 - CD, a3). Dokładne rozmieszczenie tego nowego pola i jego plan postaram się przesłać po uzyskaniu wiarygodnych informacji. Poza tym, mam jeszcze jedną wiadomość. Od wyżej wzmiankowanego oficera, będącego dawniej inżynierem w zakładach zbrojeniowych "Bohler AG" w Kapfenbergu, Steiermark,

południowo-wschodnia Austria, dowiedziałam się, że zakłady te,
podczas
pobytu jego na urlopie, zostały gruntownie zbombardowane.
Działo się to
czternaście lub piętnaście dni temu w porze obiadowej. Twierdzi
on, że
zniszczenie obejmuje halę obrabiarek, biuro konstrukcji
technicznych,
montaż i halę młotów. W praktyce nie istnieją one podobno. Jako
fachowiec
pracujący kilka lat na tym terenie określa on czas trwania remontu
na około
osiem miesięcy. Nie wiem, oczywiście, ile jest prawdy w tym
opowiadaniu i
nie wiem, czy raport o tym ma jakąkolwiek wartość praktyczną.
Podaję to
wszystko z punktu widzenia przydatności wszystkich informacji,
gdziekolwiek
by one nie zostały zebrane. Pozdrawiam Was serdecznie. Napiszę,
mniej
więcej, pojutrze. Szczerze oddany "CD-5"
Przeszyfowała kartkę z pamięci na drugi kawałek papieru, po
czym spaliła
ją nad zapalką. Kiedy papier zaczął parzyć jej palce, położyła go
na
piecyku czekając, aż zamieni się w kupkę popiołu. Szyfr zwinęła
w rulonik i
zapukała w ścianę. Za przepierzeniem ktoś poruszył się i po
chwili do drzwi
zapukał szczupły, piętnastoletni chłopiec.

- Jean. Weźmiesz to i zaniesiesz pani Mandrreis idąc do szkoły.

Powiesz

jej, że dobrze się czuję i dziś do niej wstąpię.

Chłopiec wziął kartkę z jej rąk, zdjął but i włożył zwinięty arkusik

między ciało a skarpetkę.

- Teraz będzie dobrze, no nie?

- Tak, teraz będzie dobrze - chciała podejść do niego i ucałować go w

czoło, ale powstrzymała się. Jak gdyby rozumiejąc podszedł do niej i

potrząsnął jej ręką.

- Jesteś wielkim człowiekiem, Marianne. Zupełnie jak w tych książkach o

Mata Hari. Jeżeli będziesz kiedyś chciała, to schowam się w piwnicy i

zabiję tego Niemca, kiedy zaśnie. Można by go było potem zakopać i nikt by

się nie domyślił. - Jean wszystko wiedział i co najdziwniejsze rozumiał jej

tragedię lepiej nawet niż ludzie dorośli, z którymi wiązała ją praca wywiadowcza. Żaden z nich nie zdobywał informacji w "ten"

sposób. Cenili

ją, ale jednocześnie pogardzali metodami, których używała. Ona sama była za

dumna, aby się tłumaczyć. Ostatecznie było jej wszystko jedno, co sobie

pomyśli o niej pani Y czy pani Z. Jean popatrzył na nią z współczuciem.

Przecież i tak chłopcy ze wszystkich okolicznych wsi mówili o nim: "że to

jest ten, w którego domu mieszka taka jedna, co sypia z Niemcem". Czasem brała go ochota, żeby wszystko im powiedzieć i wytłumaczyć, że Marianne jest najodważniejszą kobietą z wszystkich, jakie kiedykolwiek w życiu widzieli, ale rozumiał dobrze prawo tajemnicy.

- Może przynieść ci coś z miasta?

- Nie dziękuję, wystarczy mi, jeżeli wrócisz cały i zdrow.

Poczerwieniał z radości.

- No muszę już iść.

- Wpadnij do mnie po powrocie. Matce powiedz, jak zwykle, że prosiłam cię, abyś mi coś załatwił w mieście.

- Dobrze - kiwnął jej wesoło ręką na pożegnanie i wyszedł.

Marianne odeszła od okna i usiadła na łóżku. Była zmęczona, potwornie

zmęczona. Gdyby w tej chwili rozpoczął się atak sprzymierzonych na

wybrzeże, nie miała by nawet siły, aby wyjść przed dom i zobaczyć, co się właściwie dzieje.

- Muszę sama pójść i rozmówić się z szefem. Może będę mogła zmienić

teren. - Powtórnie zawołała Jeana i odebrała od niego meldunek poczuła, że

pobyt w Paryżu dobrze by jej zrobił. Tęskniła za tym miastem i chciała je

raz jeszcze w życiu zobaczyć. Później... później i tak będzie koniec. Nie

wyobrażała sobie powrotu do normalnego życia. Zresztą nie warto było o tym wszystkim myśleć. Już dawno sklasyfikowała się sama jako żyjący nieboszczyk i to przeświadczenie pozwalało jej robić to, co robiła. Ubrała się i wyszła z domu.

Kiedy wieczorem powracała z pobliskiego miasteczka, nie miała powodów, aby uskarżać się na agenta "Albatros Cztery". W pamięci dźwięczały jej jeszcze, jego ostatnie słowa.

- Jestem dumny z pani pracy i sposobu w jaki rozpracowała pani powierzony sobie odcinek wybrzeża. Pamiętam i robię wszystko, co jest w mojej mocy, aby ułatwić pani obecną sytuację. Nie mogę obiecać przeniesienia na inny teren, gdyż na odcinku CD-5 jest pani, szczerze mówiąc, niezastąpiona, lecz postaram się o urlop i nieco funduszków na jego miłe spędzenie. Oczywiście będę się starał, żeby znaleźć dla pani coś innego. Jeżeli będzie mi potrzeba kogoś specjalnie zaufanego do "krótkometrażowego" zadania, zawiadomię panią. Do widzenia Marianne. Życzę powodzenia.

Taki to był człowiek. Nie wiedziała o nim nic. Przybył do rejonu Caen, po wpadce swego poprzednika. Od tego czasu praca na odcinku poszła zupełnie

innym trybem. Niemcy łamali sobie głowę. Mimo ściągnięcia na wybrzeże sfory najzdolniejszych agentów niemieckich i Francuzów pozostających na służbie kontrwywiadu Wehrmachtu, rezultaty były żadne. Praca FFI i ludzi kontaktowych z innych ośrodków wywiadu alianckiego, szła niepowstrzymanie naprzód. Co prawda, Marianne wiedziała, że zwykle po okresach spokoju przychodzą złe chwile. Miała jednak zaufanie do "Albatrosa".

§ Rozdział II: Konferencja

Tego samego wieczora, kiedy rozegrały się opisywane przez nas powyżej wypadki, w pewnym szarym gmachu londyńskiego City, miała miejsce konferencja zwołana przez otyłego, starszego pana, który siedział teraz za stołem otoczony kłębamii dymu z olbrzymiego, hawańskiego cygara.

- A więc, generale - zwrócił się do łysego mężczyzny w średnim wieku, ubranego w mundur Armii Stanów Zjednoczonych - wydaje mi się, że omówiliśmy wszystko.

Amerykanin zajrzał do notatnika.

- Jest jeszcze jedna sprawa, Mr. Churchill, którą chciałbym poruszyć.

Chodzi mi mianowicie o kwestię pracy naszego wywiadu. Jeżeli mam być szczerzy to muszę powiedzieć, że chociaż podczas konferencji "SEXTANT" w Kairze, zostałem mianowany głównodowodzącym sił zbrojnych przeznaczonych do wykonania "Operacji Overlord", ciągle nie jestem jeszcze w posiadaniu wszystkich danych naszego wywiadu związanych z niemieckimi przygotowaniem obronnymi we Francji. Wczoraj, na posiedzeniu z szefami "Połączonych Sztabów", podczas planowania akcji początkowej naszych spadochroniarzy, natknąłem się na poważne trudności. Wydaje mi się, że warto by poświęcić kilka godzin na dokładne omówienie tego problemu. Może spotkalibyśmy się jutro lub pojutrze i porozmawiali sobie o tym.

- Jeżeli sądzi pan, że rozmowa ta jest panu potrzebna w najbliższej przyszłości, nie mam nic przeciwko przedłużeniu dzisiejszej konferencji.

Czy mógłby mi pan sprecyzować o jakie działy naszej akcji wywiadowczej panu chodzi?

- Zależy mi przede wszystkim na tym, aby szefowie "Połączonych Sztabów" mieli codzienny obraz zmian zachodzących na terenie umocnień niemieckich we

Francji i zmian w lokacji wojsk. Ja sam pragnę być o każdej godzinie dnia i nocy dokładnie poinformowany o wszystkim, co się dzieje po tamtej stronie Kanału. Dla kierownictwa "Overlord" jest to niezbędne. Ciekaw jestem, czy akcja wszystkich resortów wywiadu jest tak zsynchronizowana, że natychmiast można wykorzystać każdą nową wiadomość w ramach całokształtu wiadomości?

- Mam dość ściśle raporty w tej mierze. Przyznać muszę, że dotychczas praca niektórych wydziałów była nieco rozstrzelona. Sądzę, że szefowie amerykańskiego i brytyjskiego wydziału informacji mogliby w najbliższej przyszłości spotkać się i omówić te sprawy szczegółowo. Ja sam, uważając postępy w tej dziedzinie za niedostateczne, wywarłem wpływ na połączone sztaby, aby przyspieszyć rekrutację do kadr oficerskich naszego wywiadu.

Wczoraj otrzymałem meldunek, stwierdzający, że akcja ta dała dość dobre wyniki. Luki w niektórych resortach zostały w stu procentach zapełnione.

Eisenhower myślał przez chwilę, wreszcie powiedział:

- Najważniejszą sprawą wydaje mi się ścisły i szybki kontakt pomiędzy nami, a ludźmi pracującymi we Francji. Każda, najbliższa nawet wiadomość

winna być włączona natychmiast po sprawdzeniu, do ogólnego obrazu. Obecnie, o ile mogę się zorientować, sytuacja wygląda w ten sposób, że posiadamy cały szereg najrozmaitszych, bardzo pracowitych biur, które pracują doskonale, lecz są nie połączone z sobą. Dlatego też trzeba czasem czekać bardzo długo nim otrzyma się żadaną wiadomość. Sądzę, że musimy doprowadzić do zupełnej synchronizacji wszystkich instytucji wywiadowczych tak, jak to uczyniliśmy już z wojskiem. Trzeba utworzyć w jak najkrótszym czasie centralne dowództwo wywiadu przy kierownictwie "Overlord". Krótko mówiąc chciałbym, tak normalnie i po ludzku wiedzieć każdego ranka, jak idą sprawy we Francji. Poza tym, uważam, że w związku ze zbliżającym się terminem inwazji, ludzie nasi mogliby udać się do Francji i na miejscu omówić z poszczególnymi kierownikami prac na tamtym terenie sytuację. Wie pan przecież równie dobrze jak ja, że powodzenie "OVERLORD" zależy przede wszystkim od elementu zaskoczenia, i dokładnej znajomości sił przeciwnika na atakowanym przez nas obszarze.

- A więc - premier Wielkiej Brytanii wyjął z kieszonki pióro - chodzi nam

o 1) Skontrolowanie przez ludzi wysłanych na miejsce, poziomu i jakości informacji przez nas posiadanych i 2) Przekazanie tych informacji, jako całości do kierownictwa operacji "OVERLORD".

- Tak, gdyż w tym, co mam do tej chwili, są jeszcze pewne braki, które chciałbym zapełnić w jak najkrótszym czasie.

- Ma pan prawo tego wymagać, generale. Postaram się, aby jutro o tej porze, wszelkie przygotowania do realizacji pańskiego żądania były już w toku. Jeżeli pan będzie chciał się ze mną skomunikować w tej sprawie, proszę zatelefonować. Jak zwykle, jestem do dyspozycji przez całą dobę.

Wstał. Amerykanin serdecznie uściśnął jego dłoń.

- Nigdy jeszcze nie spotkałem męża stanu, który tak szybko potrafiłby załatwić jakąkolwiek sprawę bez uciekania się do kilometrowych rozmów z doradcami technicznymi.

- No cóż! Nauczyły mnie tego niepowodzenia. Przez pierwsze dwa lata wojny robiliśmy wszystko za późno. Prócz tego, działałem w tym wypadku mając świadomość, że przez cały czas naszej współpracy nie zwrócił się pan do mnie jeszcze nigdy z nieprzemyślanym żądaniem. Co zaś do naszej dzisiejszej

rozmowy, to muszę się panu przyznać, że ja sam miałem nieco zastrzeżeń,
jeżeli chodzi o sposób gromadzenia i przekazywania wiadomości.
Chciałbym,
abyśmy czas, jaki nam pozostaje do rozpoczęcia operacji,
zużytkowali na
przesianie przez dokładne sito, wszystkich już otrzymanych informacji.

- Widzę, że rozumie mnie pan doskonale.

Raz jeszcze uścisnęli sobie ręce i Amerykanin wyszedł z pokoju.

§Rozdział Iii:

§Dziewczyna znaleziona
w piwnicy

Poprzez tysiące różnorodnych dźwięków składających się na nieustanny gwar
wielkiej, śródmiejskiej ulicy, przedarły się przenikliwie, jękliwie
zawodzące głosy syren. Seymour podszedł do okna. Lubił
obserwować wrażenie,
jakie pierwsza zapowiedź nadchodzących nieprzyjacielskich
bombowców,
sprawiała na podążających chodnikami przechodniach. Pomimo
późnej,
wieczornej godziny, ulica była zatłoczona. O tej porze, tysiące
mieszkańców
Londynu udawało się pieszo do domów, aby odetchnąć, po
zadymionej
atmosferze przepełnionych lokali rozrywkowych i kinoteatrów.
Dawno już

minęły czasy, gdy conocne, głucho detonacje rozrywających się bomb,
zapędzały do piwnic i stacji kolejki podziemnej przerażonych ludzi,
drżących o los bliskich i pozostawionego na powierzchni ziemi dobytku.

Obecnie, Londyn powracał do normalnego trybu życia. Potężne niegdyś eskadry

Luftwaffe wyszły rozbite z pamiętnej, decydującej o losach świata, bitwy o

Brytanię, lecz wspomnienie płonących dzielnic i porozrywanych siłą wybuchu

ciał ludzkich, było aż nadto świeże. Seymour z uśmiechem patrzył, jak od

hamujących gwałtownie autobusów odrywają się sylwetki ludzkie, aby

natychmiast zniknąć w bramach najbliższych kamienic. Nisko, ponad dachami

śmignęły z rykiem, startujące do walki myśliwce. Po chwili usłyszał, jak

zatoczywszy wygięty ku górze łuk, zawróciły dla nabrania wysokości. Stora,

spod której wyglądał, posiadała kilka przepuszczających światło szpar,

odszedł więc od okna i zgasił stojącą na biurku lampę. Siedzący za stołem

człowiek, ubrany w mundur polskich oddziałów spadochronowych, wstał i

odgarnął ręką firankę. Stali teraz obok siebie, patrząc na opustoszałą,

zaciemnioną ulicę. Nawet maleńkie, fioletowe światełka płonące
w bramach
domów zgasły. Seymour pchnął szybę i okno otwarło się.
Powietrze było
chłodne i przepojone wilgocią. Syreny umilkły. Na ulicy
panowała zupełna,
niczym nie zmacona cisza. Nagle, gdzieś daleko, poza ukrytą w
ciemnościach
linią widnokregu zerwał się gwałtowny ogień artylerii
przeciwlotniczej.
Równocześnie prawie, dał się słyszeć inny dźwięk, cichy i
monotonny, lecz
groźny i niosący w sobie zapowiedź nadchodzącej burzy. Na
wielkiej
wysokości sunęły bombowce. Warkot ich silników rósł z sekundy
na sekundę.
Odgłosy wystrzałów poszczególnych baterii przemieniły się w
jeden potężny,
nieustający grzmot. Nieprzyjaciel nadlatywał nad śródmieście.
Seymour
patrzył jak zahipnotyzowany w gęstą, nakrapianą błyskami
pękających
szrapneli ciemność. Wyczuwał instynktownie, że za chwilę
pierwsze maszyny
znajdą się ponad ulicą. Nagle, na widocznym pomiędzy dachami
kamienic
skrawku nieba, zapłonęła wielka, czerwona pochodnia. Ciągąc
za sobą długą,
promienną smugę płomienia, ranny bombowiec spadał ku ziemi
zionałej gradem

śmiercionośnych pocisków. Seymour spojrział spod oka na swego towarzysza.

Polak stał uniósłszy twarz ku górze. Jego nieruchome, szeroko rozwarte oczy chłoneły rozgrywającą się ponad ich głowami tragedię.

Kiedy wreszcie płonący samolot zniknął za wieżą niedalekiego kościoła, aby zakończyć swój żywot gdzieś w okolicy rozpościerających się nad Tamizą

doków, człowiek drgnął i zwrócił się w kierunku Seymoura.

Kiedy zauważył,

że ten ostatni przygląda mu się, na twarzy jego odbiło się zakłopotanie.

Lecz, natychmiast prawie, uśmiechnął się.

- Ciekaw jestem - rozpoczął Anglik - czy wy, Polacy, zawsze...

Nie dokończył rozpoczętego zdania, gdyż w tej samej niemal chwili, z

drgającej szumem motorów ciemności wybiegł syczący,

przenikliwy jęk. Upadli

na podłogę. Jęk przemienił się w przeciągły, świdrujący w uszach gwizd.

Potężny wybuch zakołysał ścianami pokoju. Okno, wraz z framugą zatoczyło

łuk, roztrzaskując się na drobne kawałki u stóp szafy. Z ulicy wtargnął

gęsty, nieprzenikniony tuman pyłu. Po chwili usłyszeli dalsze, oddalające

się wybuchy. Seymour otrząsnął z ubrania grubą warstwę tynku, który spadł z

sufitu.

- Musieli gdzieś blisko rąbnąć - zawyrokował podnosząc powoli głowę.

- Podziwiam twój zmysł orientacji - zaśmiał się jego przyjaciel. Tymczasem, warkot silników przycichł, a nowe eksplozje bomb dobiegły z

dość znacznej odległości. Polak wstał i podszedł do framugi.

- Rzeczywiście - powiedział - popatrz!

Seymour podniósł się z podłogi i podążył wzrokiem za wyciągniętą ręką kolegi. Kamienica, która jeszcze przed trzema minutami stała po przeciwległej stronie ulicy, tworzyła obecnie jedno wielkie pole dymiących

gruzów. Seymour odwrócił się.

- Jak myślisz, John, kiedy nadejdą drużyny ratownicze?

Oficer polski, nazwany Johnem, pokiwał w zamyśleniu głową.

- Przypuszczam, że nie wcześniej, jak po odwołaniu alarmu.

- Chodźmy.

Szybko zbiegli po schodach i po chwili znaleźli się na ulicy.

Wokół

gruzów krzatali się już pierwsi odważniejsi sąsiedzi. Dostęp do podwórza

był niemożliwy, gdyż wybuch zawalił bramę. Od strony leżących z dala od

ulicy oficyn dochodziły jęki i nawoływania. Pierwszą, myślą Seymoura, było

dostanie się tam. Przeszedł już w swym życiu niejedno bombardowanie,

wiedział więc, że ratować trzeba przede wszystkim tam, gdzie istnieje

możliwość znalezienia przytomnych jeszcze ludzi. Wiedzieli oni zwykle,

gdzie znajdowała się w chwili wybuchu reszta mieszkańców domu. Wraz z Johnem i dwoma uzbrojonymi w kilofy policjantami wdrapywać się począł na rumowisko. Po kilku minutach zatrzymali się przy szczytowej ścianie budowli. Dziwnym zbiegiem okoliczności była ona nienaruszona. Policjanci unieśli kilofy i zaczęli przebijać w niej otwór. Po kwadransie wytężonej pracy znaleźli się wreszcie w wewnętrznym pasie ruin. Tylna oficyna domu była w tak samo pożałowania godnym stanie jak fronton. Jedna z bomb, prawdopodobnie małego kalibru, zniszczyła klatkę schodową, druga, cięższa zburzyła lewą część budynku. Cała przednia ściana leżała w gruzach. Z tej właśnie strony dochodziło wołanie. Stanęli nad słuchując. Głos był przytłumiony, dochodzący jak gdyby spod ziemi.

- Pewnie przysypało im wyjście z piwnicy - zauważył jeden z policjantów.

Ruszyli szybko i po chwili natknęli się na małe, na pół zasypane okienko.

Seymour pochylił się.

- Czy jest tam kto?

Z mrocznej głębi piwnicy, odpowiedział mu cichy, ledwie dosłyszalny jęk.

Widocznie człowiek czy też ludzie znajdujący się tam stracili siły.

- Trzymajcie się! Zaraz zaczniemy was odgrzebywać! - zawołał John.

Tymczasem, z wysokości pierwszego piętra dobiegło nowe wołanie. Jakaś

kobieta, nie mogąc zejść błagała o drabinę.

- Jest nas tu troje: ja i moich dwóch synków. Jeden jest ranny.

Spieszcie

się panowie!

Jeden z policjantów, dźwigający przenośną apteczkę polową, począł

wdrapywać się w górę, po wygiętej lecz wciąż jeszcze mocno trzymającej się

rynnie. Drugi poszedł w jego ślady. Seymour wraz z Johnem, korzystając z

pomocy pozostawionych przez przedstawicieli prawa, kilofów, zabrali się do

pracy przy okienku. Otwór poszerzał się szybko, lecz mimo wysiłku z jakim

kopali, odgrzebanie gruzu zajęło im nieco czasu. Na szczęście, okienko

pozbawione było kraty i po chwili John, a właściwie kapitan Jan Smolarski,

gdyż tak brzmiało jego nazwisko, mógł się prześliznąć do wewnątrz.

Zajrzawszy zaklął w duchu. Wnętrze piwnicy zalegały ciemności.

Mimo to

skoczył w głąb i dotknąwszy nogami ziemi usunął się natychmiast w bok, aby

zrobić miejsce dla schodzącego tuż za nim Seymoura. Przez chwilę stali

nadsłuchując, lecz z ciemności nie nadbiegł żaden głos mogący świadczyć o

obecności jakiegokolwiek żywej istoty. Seymour wyjął z kieszeni pudełko zapalek. Błysnął nikły płomyczek i w jego świetle zobaczyli leżącą na ziemi postać. Podeszli bliżej. W tej samej chwili Jan spostrzegł stojącą na podłodze lampę naftową. Przez kilka sekund mocował się z opornym knotem, lecz w końcu blady kopzący płomień rozjaśnił wnętrze lochu. Pochylili się nad leżącą. Była to młoda dziewczyna. Rysów twarzy nie mogli dokładnie rozróżnić. Pokrywała je warstwa pyłu opadłego po wybuchu. Seymour ukląkł przy nieruchomym ciele i przyłożył ucho do piersi kobiety.

- Żyje - powiedział po chwili - oddech ma mocny. Trzeba sprawdzić, czy jest ranna.

Otarłszy chustką ręce rozpoczął oględziny.

- Żadnego obrażenia zewnętrznego nie widać. - Wstał z klęczek - Może zemdlą?

- Trzeba ją stąd wynieść - Jan podszedł do drzwi, lecz nie mógł ich poruszyć, widocznie były zawałone od zewnątrz. Rozejrzał się bezradnie. W tej samej chwili kobieta poruszyła się i otworzyła oczy. Rozglądnęła się ze zdumieniem. Spostrzegłszy dwóch ludzi w mundurach zapytała cicho.

- Co się stało? - Potrząsnęła głową. Z włosów jej uniół się obłoczek pyłu. Dźwignęła się na łokciu. Seymour pośpieszył jej z pomocą. Wstała chwiejnie, lecz siły znów ją opuściły i oparła się całym ciężarem o ścianę.

- Proszę mnie podtrzymać - szepnęła - kręci mi się w głowie. Byłaby upadła, gdyby nie Jan, który błyskawicznie objął ją wolnym ramieniem. Za oknem rozległ się przeciągły dźwięk. Syreny ogłaszały odwołanie alarmu. Po chwili usłyszeli stapania i odgłos rozmowy. Byli to ci sami dwaj policjanci. Jeden z nich pochylił się nad okienkiem.

- Czy jesteście tam, panowie?
- Tak - odkrzyknął Seymour. - Mamy tu zemdloną kobietę. Czy nie ma pan z sobą jakiegoś środka trzeźwiącego?

Podszedł do otworu i po chwili powrócił trzymając w ręku małą buteleczkę.

Głos z góry odezwał się powtórnie.

- Czy możecie panowie poczekać na dole, aż do momentu przybycia drużyn ratowniczych? Mamy tu masę roboty z rannymi, jeżeli więc ta pani nie potrzebuje natychmiastowej pomocy lekarskiej... - urwał.

- Proszę się nami nie przejmować - Seymour spojrzał uważnie na opartą o Jana dziewczynę - Damy sobie jakoś radę.

Odkorkował flakon i podsunął go pod nos zemdlonej. Poruszyła się

gwałtownie i zakasłała. Otworzyła oczy i odwróciła głowę.

- Proszę to zakorkować - Ku zdumieniu Seymoura zaśmiała się cichutko -

Dobry Boże! - wzdrygnęła się - co za okropny zapach!

Wyswobodziła się delikatnie z uścisku otaczającego ją ramienia i stanęła

na środku piwnicy. Była bardzo blada, ale trzymała się prosto. W oczach jej

świecił uśmiech. Nagle, jak gdyby przypominając sobie coś, zrobiła krok w

kierunku Seymoura i wyciągnęła rękę.

- Dziękuję. Nazywam się O'Connor... Elżbieta O'Connor.

Seymour uściśnął jej drobną rękę. - Moje nazwisko brzmi Seymour, a to

jest kapitan John... nazwisko jest niemożliwe do wymówienia.

Kapitan John

jest Polakiem.

- Powinna byłam domyśleć się tego od razu - zwróciła się do Jana. -

Pańscy rodacy mają wrodzoną inklinację do pomagania innym.

Jan uśmiechnął się. - Dziękuję pani.

Dziewczyna uniosła głowę i spojrzała na ciemny, splekany sufit. Mieszkam w

tym domu, na drugim piętrze po lewej stronie.

- Obawiam się - powiedział z wahaniem Seymour - że przy słowie "mieszkam"

powinna była pani użyć czasu przeszłego. Zdaje się, że cała lewa strona

oficyny leży w gruzach.

Spojrzała nań z przestraszeniem.

- O Boże! Przecież tam są wszystkie moje rzeczy. Przyjechałam do Londynu, cztery dni temu z Belfastu, jutro miałam rozpocząć pracę... - urwała.

Spojrzała na ręce i zabrudzoną, wymiętą sukienkę.

- Jak ja wyglądam! Nie będę miała nawet gdzie się umyć.

Jan, po raz nie wiadomo który, od czasu swego przyjazdu na Wyspy

Brytyjskie, pomyślał z podziwem o narodzie, który je zamieszkiwał. Żadna

inna kobieta, prócz Angielki, nie potrafiłaby zachować takiego spokoju i

martwić się szczerze o błahostki tego rodzaju jak wygląd zewnętrzny w

minutę po otrzymaniu wiadomości, że cały jej dobytek wraz z miejscem

zamieszkania został zniszczony. Tymczasem młoda kobieta zwróciła się

ponownie do Seymoura.

- Muszę stąd koniecznie zaraz wyjść. Proszę nie myśleć, że chcę nadużyć

uprzejmości panów, lecz muszę się dowiedzieć, co właściwie pozostało

jeszcze z moich rzeczy. Czy nie da się wydostać stąd bez pomocy z zewnątrz?

Seymour podszedł do muru i spojrzał na widniejące w górze okienko.

- Jak myślisz Johnny, czy uda nam się podsadzić panią tak, aby jeden z

nas będący na zewnątrz mógł ją wyciągnąć przez okno?

Jan zmierzył oczyma wysokość. - Możemy spróbować. Podsadź najpierw mnie a później panią. Zobaczymy, co z tego wszystkiego wyniknie.

Seymour stanął pod otworem. Jan wdrapał mu się na plecy, schwycił rękoma ramę okienną i już po chwili znajdował się na podwórku. Odwrócił się i klękawszy wsadził głowę do otworu.

- Teraz kolej na panią. Nie jest wcale tak wysoko. Proszę się tylko mocno trzymać i chwycić mnie za rękę.

Dziewczyna stanęła przed Seymorem.

- Uniosę panią. Niech pani spróbuje usiąść mi na plecach. Ukląkł. Bez wahania stanęła nad nim i obsunawszy się na jego szyję mocno ścisnęła ją nogami, ręką przytrzymując się jego czupryny. Powstał z klęczek. Wyciągnęła rękę i chwyciła dłoń Jana. Seymour dźwignął ją ku górze. Zniknęła w otworze. Krew waliła mu w skroniach. Czuł jeszcze na szyi ciepło jej nagich, twardych ud. Jan zawołał z góry.

- Poczekaj chwilkę. Zaraz wyciągnę i ciebie.

Na ziemię upadł koniec grubego sznura. Seymour wspiał się po nim, aż do wylotu. Pochwyciły go mocne ramiona towarzysza.

- No, nareszcie!

W półmroku zobaczył dziewczynę. Stała nieruchomo, patrząc na niesamowitą

plataninę szyn, desek i cegieł, piętrzącą się w miejscu, gdzie jeszcze

przed godziną spała. Podszedł do niej.

- Niechże się pani tak nie przejmuj. Przecież w tej samej chwili tysiące

ludzi na wszystkich frontach drżą ze strachu oczekując niespodziewanej

śmierci z dala od domu i bliskich. Każdy z nich wolałby być tu w pani

obecnej sytuacji.

Odwróciła głowę w jego stronę. Zdumiał go jej uśmiech.

- Ależ ja się wcale nie martwię - powiedziała. - Jest mi tylko bardzo,

ale to bardzo zimno. Oddałabym duszę za szklanekę gorącej herbaty.

Seymour chrząknął. Nieśmiało, jak gdyby bojąc się ją urazić, powiedział:

- Mieszkam naprzeciwko i będę zaszczycony jeżeli przyjmie pani moje

zaproszenie. Pozwolę sobie także służyć pani mydłem i ręcznikiem.

Roześmieli się oboje.

- Zgadza się bez najmniejszych zastrzeżeń - odparła. W tej samej chwili

podszedł do nich Jan.

- Czy wiesz, która teraz godzina? - zwrócił się do Seymoura - piętnaście

po pierwszej! Idę spać. Państwo wybaczą, że ich pożegnam, ale muszę jutro

rano wstać. Mam nadzieję, że nie jestem pani już w niczym potrzebny?

- Dziękuję panu - uścisnęła mu mocno dłoń - Dobranoc!
Dobranoc! - Jego wysoka, smukła sylwetka zniknęła w mroku.
Patrzyli przez chwilę za nim, po czym ruszyli przez rumowisko.
Nadjeżdżały właśnie pierwsze drużyny ratownicze. Sanitariusze
rozpoczęli
pracę. Kiedy Seymour i dziewczyna znaleźli się na chodniku, dwu
z nich
przechodziło właśnie, dźwigając na noszach jakiś przykryty białą
płachtą
kształt. Dziewczyna zadrżała i mimo woli przytuliła się do
ramienia
kapitana.

- Teraz dopiero zaczęłam się bać - przyznała, kiedy znaleźli się
po
drugiej stronie ulicy. - To wszystko jest takie straszne...
Nienawidzę
wojny.

- Nie znam ani jednego człowieka, który by nie podzielał pani
zdania.

Niestety wojna istnieje i musimy się z nią pogodzić.

Dochodzili właśnie do drzwi domu, w którym zamieszkiwał.

Chodnik pokryty

był szkłem.

- Ciekaw jestem, czy szyby w tylnych pokojach także wyleciały

-

powiedział na pół do siebie kapitan - obawiam się, że trudno
będzie się

pani u mnie ogrzać.

Weszli na piętro. Seymour otworzył drzwi. Poprosił ją aby
zaczekała

chwilkę w hallu, sam zaś udał się na przegląd mieszkania. Pokoje wychodzące na ulicę nie miały szyb i pokryte były warstwą kurzu, natomiast mały znajdujący się w tyle mieszkania salonik nie ucierpiał zupełnie. Kuchnia, sypialnia i łazienka także nie poniosły żadnych szkód. Powrócił do przedpokoju. Dziewczyna siedziała w fotelu. Kiedy podszedł bliżej zauważył, że usnęła. Wziął ją delikatnie na ręce i zaniósł do saloniku. Nie obudziła się. Położył ją na sofce i nakrył pledem, po czym udał się do kuchni aby zaparzyć herbatę. Na szczęście dopływ gazu nie był przerwany. Także i w łazience płynęła nadal z kranu ciepła woda. Powrócił do pokoju i krzątając się bezszelestnie nakrył do stołu. Po krótkim namyśle wyjął z szafki butelkę wina. Podszedł do śpiącej i delikatnie dotknął jej policzka. Obudziła się natychmiast z lekkim okrzykiem. Rozejrzała się nieprzytomnie po pokoju, wreszcie wzrok jej spoczął na twarzy Seymoura.

- Więc jednak zasnęłam. Bardzo pana przepraszam.
- Była wyraźnie zawstydzona. Seymour skłonił się.
- Kolacja stoi na stole. Woda w łazience jest jeszcze, dzięki Bogu,

gorąca. Proszę sobie na dzisiejszy wieczór zarekwirować mój szlafrok i

piżamę. Wychodząc pozostawi pani łaskawie klucz u dozorca.
Życzę dobrej
nocy i przyjemnych marzeń. - Skłonił się ponownie i zawrócił w
kierunku
drzwi. Jak błyskawica zsunęła się z sofy i przebiegła pokój
zagradzając mu
drogę.

- Dokąd pan chce iść? Czy przypuszcza pan, że dla tak
nieważnej sprawy,
jak opinia ludzi, których nie znam, pozwolę, aby po tych
wszystkich
przejściach błąkał się pan o godzinie drugiej w nocy po ulicach?
Jeżeli nie
chce pan abym w tej chwili wyszła, proszę usiąść i zjeść kolację
razem ze
mną. A co do piżamy i szlafroka - dodała wesoło - to uczynił pan
sobie ze
mnie dozgonnego dłużnika. Marzę o kąpieli i o zrzuceniu tych
łachów. - Z
komicznym patosem wskazała na podartą sukienkę. Odprowadził
ją do drzwi
łazienki.

Przebierając się do kolacji w czysty mundur, myślał o niej. Była
bardzo
ładna, tak mu się przynajmniej wydawało, gdyż smugi pyłu
opadłego podczas
wybuchu nadal pokrywały jej twarz. Podobał mu się jej szczerzy i
bezpośredni
sposób bycia.

Weszła. Chciał coś powiedzieć, lecz słowa zamarły mu na
ustach. Była

śliczna. Jej drobna sylwetka ginęła prawie w fałdach długiego szlafroka.

Mokre włosy ukryte były pod zawiązanym w turban ręcznikiem.

Ujrzeć mógł

jedynie bladą twarzyczkę o miękkim, szlachetnie zarysowanym owalu.

Dominowały w niej olbrzymie, zielone oczy i małe, czerwone, idealnie

wykrojone usta. Wąskie nozdrza maleńkiego, trochę jak gdyby zadartego noska

zadrgały kiedy odezwała się.

- Mam nadzieję, że nie czekał pan długo; kapitanie. Czuję się po niej jak

nowo narodzona.

- Madame - skłonił się przed nią - obiad podany!

Drgnęła z powagą przytrzymując ręką połę szlafroka.

- Monsieur, proszę mnie zaprowadzić do stołu. - Roześmiała się.

-

Odgrywamy, zdaje się, początkową scenę sensacyjnego filmu

"Kolacja w

zburzonym domu".

- Na razie pragnąłbym, aby tytuł brzmiał: "Dobry apetyt po kąpieli". Czy

chciałaby pani posłuchać muzyki?

- Z radością! Wydaje mi się, jak gdybym nie słyszała jej od stu tysięcy

lat.

Seymour pomógł jej zająć miejsce, sam podszedł do aparatu. Po chwili,

popłynęły z głośnika przytłumione dźwięki jazzu.

- Czy można pani nalać wina? Wzmocni panią trochę.

Zielone oczy zabłyśły w uśmiechu.

- Widzę, że tytuł naszego sensacyjnego filmu należy zmienić na "Uczta o świcie". Ponieważ powiedziałam przed chwilą, że czuję się jak nowo narodzona, więc pozwalam panu karmić mnie i pić wszystkim, co pan uzna za stosowne.

Seymour nalał wina i odstawił butelkę na podręczny stoliczek.

- Nie wiem, czy mi pani uwierzy, lecz butelka ta jest jedyną rzeczą jaką zdażyłem wywieźć z Francji podczas ewakuacji.

Wąskie linie czarnych brwi zbiegły się ponad noskiem w ruchu zainteresowania.

- Czy zna pan dobrze Francję?

- Tak. Nawet nieźle. Mieszkałem tam przed wojną przez pięć lat.

- Ja także. Studiowałam swego czasu na Sorbonie.

- Wielki Boże! - Zdziwienie jego było szczere. -

Przypuszczałem, że pani dopiero w tym roku opuściła szkołę.

- No, no! Nie przesadzajmy! Mam dwadzieścia pięć lat i jestem bardzo dorosła. Ale mniejsza o mnie. Wydaje mi się, że chciał pan opowiedzieć coś ciekawego o losach tej butelki.

- Nie ma w tej historii niczego nadzwyczajnego - podjął Seymour. - Po prostu, nie miałem miejsca na nic innego. Jak pani wie, tempo naszej ewakuacji było... hm... bardzo pospieszne. Nie byłem jeszcze, wówczas

żołnierzem i nie wiedziałem z jaką szybkością posuwać się może uderzenie dywizji pancernych. Mieszkałem wtedy w Normandii. Zobaczyłem z dala pierwsze niemieckie czołgi i czym prędzej wybiegłem z domu. Jedynym przedmiotem jaki wpadł mi wtedy pod rękę była właśnie ta butelka. Po trzydniowym kluczeniu, doszedłem wreszcie do morza. Wybrzeże znajdowało się już w rękach Niemców, lecz szczęśliwym zbiegiem okoliczności natrafiłem na partię ukrywających się żołnierzy polskich. Po kilku dniach odpłynąłem wraz z nimi na wynajętej, a właściwie ukradzionej przez nas łodzi rybackiej. Po tygodniu znaleźliśmy się w Londynie. Byłem obdarty i wyczerpany do granic wytrzymałości. Nie pozostało mi nic na świecie prócz tego oto mieszkania, które odziedziczyłem swego czasu po ojcu, lecz dziwnym trafem pozostała mi ta butelka. Prawdopodobnie długie swoje życie zawdzięcza ona niechęci, jaką żywią do win Polacy. Podczas drogi woleli pić calvados i whiskey, w którą zaopatrzyli się, sam nie wiem jakim sposobem. Trzymam ją odtąd w szafce. Do dziś stanowiła pewnego rodzaju talizman. Powiedzieliśmy sobie z Johnem gdyż

to on właśnie dowodził ową łodzią), że wypijemy ją dopiero we Francji - po powrocie. Dziś jednak zrezygnowałem z tego. Francja ma dość dobrych win, aby nimi uczcić nasze przybycie. Ja natomiast mam tylko tę jedną butelkę, aby uczcić tak miłego gościa, jak pani.

- Niech mi pan wierzy, że gdybym znała tę historię, nie pozwoliłabym panu na rozpamiętywanie tej butelki, ale skoro wino jest nalane - dodała z uśmiechem - wypijmy nim toast za powodzenie wojsk brytyjskich, które wylądują kiedyś we Francji. God save the King!

Wstali oboje i wychyliłi kielichy z powagą, która u przedstawicieli innych narodowości wydawać by się mogła operetkową.

- Może jestem trochę romantyczna - powiedziała dziewczyna po chwili milczenia - lecz wydaje mi się, że jest coś świętego w obecnej walce o pokój i szczęście świata. Tysiące ludzi ginie codziennie, a idąc na śmierć zwalcza z łatwością strach i potężniejszy jeszcze od niego instynkt samozachowawczy. A przecież rzadko kiedy, któryś z nich dostępuje za życia lub po śmierci sławy. Pisze się, od czasu do czasu, w komunikatach: "Straty nasze były dość znaczne". Oznacza to: "Raz na zawsze zniknął w setkach

domów spokój, zamarł uśmiech i skończyło się szczęście". A jednak jest w

tym wszystkim jakiś wielki i niepojęty sens.

- Tak - odparł Seymour - Myślę, że nie myli się pani.

Nalał powtórnie i patrzył, jak piła małymi łykami. Szlafroczek rozchylił

się z lekka, ukazując wysmukłą, białą szyję i wypukły zarys piersi.

- Tak, nie myli się pani - powtórzył machinalnie, nie zdając sobie sprawy z tego co mówi. Podniosła oczy znad talerza i widząc kierunek jego

spojrzenia zarumieniała się. Szybko zasłoniła niedyskretne wycięcie. Ocknął się.

- Słowa pani przypomniały mi pewnego człowieka, który niegdyś powiedział mi to samo, prawie tymi samymi słowami kłamał jak z nut, lecz czuł się nieco zakłopotany. - Myślałem o nim.

- Powinam pana przeprosić. Jest godzina czwarta rano, a ja zanudzam pana moimi spostrzeżeniami na temat wojny. Powinien mnie pan obić!

Roześmiał się. Także i jej oczy lśniły. Nie wiedział, czy działa się to na skutek działania mocnego wina, czy też przemęczenia. Wstała od stołu.

- Bardzo dziękuję. Co pan zamierza teraz ze mną zrobić?

- Położyć panią spać, oczywiście! Ma pani do wyboru łóżko w sypialni i tę oto sofkę w saloniku. Proszę zobaczyć, co pani lepiej odpowiada.

- Oczywiście pozostanę tutaj. Nie chcę zakłócać spokoju pańskiej kawalerskiej sypialni - roześmiała się. - Może to pociągnąć za sobą nieprzewidziane następstwa. Czy wyobraża pan sobie, co by powiedziała pańska posługaczka znajdując w łóżku damską szpilkę do włosów?

Seymour mógł, co prawda, powiedzieć z czystym sumieniem, że napewno nie raz zdarzyło się poczciwej pani Hepford znaleźć podobne "corpus delicti" świadczące o pobycie kobiety w jego mieszkaniu. Nie odrzekł jednak nic.

Skłonił się w milczeniu.

- Przyniosę pani pościel.

Wszedł. Po chwili powrócił niosąc poduszkę, koce i prześcieradło. Wyjęła mu je z rąk.

- Jeszcze raz dziękuję panu za wszystko - wyciągnęła małą rączkę -

Dobranoc!

- Dobranoc!

Zamknął za sobą drzwi i zaczął się rozbierać. Po chwili usłyszał, jak

zgasiła lampę. Wszedł do łóżka. Długo leżał myśląc o swym niespodziewanym

gościu. Przez myśl przeszedł mu moment, kiedy podsadzał ją do okienka w

piwnicy rozwalonego domu. Mimo woli pomyślał, jak cudowną rzeczą byłoby

mieć ją przy sobie gorącą i uległą. Przytulił rozpaloną głowę do poduszki,
lecz już po chwili uniósł ją i roześmiał się w ciemności. Nie był przecież
wyrostkiem. Miał trzydzieści dwa lata. Jego "szczęście do kobiet" było

znane wśród kolegów, jeszcze za oxfordzkich czasów.

Wskazówki fosforyzowały blado. Była piąta.

- Idź spać, idioto! - powiedział do siebie półgłosem.

Przedstawienie skończone.

Usypiał już prawie, kiedy nagły okrzyk w przyległym pokoju przywrócił mu natychmiast przytomność. Na palcach podszedł do drzwi i przyłożył ucho do dziurki od klucza, lecz nie usłyszał niczego, co by mąciło ciszę panującą w saloniku. Przez chwilę zastanawiał się czy nie uległ halucynacji w czasie

snu. Chciał już zawrócić, gdy nagle, dziewczyna krzyknęła powtórnie. Nie

namyślając się otworzył drzwi i wpadł do pokoju. Jego przyzwyczajone do

ciemności oczy dostrzegły skuloną w rogu sofy sylwetkę.

- Co się stało?

- Miałam taki straszny sen. Tak się boję!

Kiedy podszedł do niej, schwyciła go konwulsyjnie za rękę.

- Proszę, niech pan nie odchodzi! Ja wiem, że jestem głupia, ale tak

strasznie się boję... tak się boję... - Rozplakała się. Umilkła nagle jak

przestraszone zwierzątko. Przerywanym głosem wyjąkała:

- Proszę... niech pan usiądzie... koło... mnie... na chwilę. Boże!

Jaka

ja jestem głupia...

Reszta słów utonęła w nowej powodzi łez. Mała rączka zacisnęła się

blagalnym gestem na jego ramieniu. Czując się bardzo nieswojo, usiadł.

Płakała cicho tuląc głowę do jego ramienia. Wyczuł, że ręka, która go

obejmowała kurczowo, jest zupełnie naga. Widocznie za wielka męska piżama

zsunęła się z dziewczyny w czasie snu. Mimo woli objął drżące ciało

ramieniem. Przygarnęła się do niego jednym miękkim ruchem.

Nigdy nie umiał

wytłumaczyć sobie tego, co potem nastąpiło. Pamiętał jedynie, że ręka jego

natrafiła na stromą, obnażoną pierś dziewczęcą. Kobieta zadrżała i przytuliła się doń jeszcze mocniej. Świat zakołował mu przed

oczyma. Opadł

na sofę pociągając dziewczynę za sobą. Wokół nóg owinęły mu się dwie smukłe

i gorące nogi, a w usta wgrzyły maleńkie, ostre ząbki.

Blady, rozmazany we mgle i deszczu ranek wstawał nad Londynem, kiedy

Seymour obudził się. Spojrzał na zegarek. Była szósta.

Dziewczyna spała

oparłszy głowę na jego piersi. Uśmiechała się przez sen. Koc
zsunął się z
niej, ukazując drgające rytmicznie w takt spokojnego oddechu
piersi.

Ponownie wezbrało w nim pożądanie. Przygarnął ją ku sobie.

Otworzyła oczy,

lecz natychmiast je zamknęła. Krew uderzyła na jej policzki

oblewając

szkarłatną falą nawet szyję i piersi. Jednym, gwałtownym ruchem
przywarła

do niego.

Za oknem był już dzień. - Kwietniowy dzień, tysiąc dziewięćset
czterdziestego czwartego roku.

§Rozdział Iv:

§Seimour otrzymuje

zadanie

Seymour minął biegiem odcinek ulicy dzielący stację kolejki
podziemnej od

gmachu Między-Alianckiego Biura Informacji Połączonych
Sztabów Generalnych.

Kiedy wpadł na schody prowadzące do głównego wejścia, zegar
na wieży

pobliskiego kościoła wydzwaniał właśnie ósmą. Stojący przy
drzwiach żandarm

obrzucił zdyszanego oficera zgorszonym spojrzeniem i po
sprawdzeniu

dokumentów przepuścił do wysokiego, ciemnego hallu, gdzie
znajdowało się

kilkanaście osób, przeważnie wojskowych wyższych stopni. W tej samej prawie chwili jedne z licznych drzwi wiodących do głębi gmachu otworzyły się i wyszedł z nich krępy człowiek w mundurze majora piechoty. W ręku trzymał kartkę papieru. Przytknął ją do oczu i wolno, oddzielając od siebie poszczególne sylaby przeczytał:

- Kapitan Ryszard Seymour.

- Jestem.

Seymour podszedł do mówiącego.

- Miałem stawić się tu o ósmej u majora Swansona.

Twarz mężczyzny rozjaśniła się na chwilę w zdawkowym uśmiechu.

- To ja.

Podali sobie ręce. Seymour doznał niemiłego wrażenia. Dłoń majora była lepka i miękka.

- Proszę za mną.

Minęli drzwi oznaczone napisem: "Biuro H" i znaleźli się na początku

długiego korytarza. U wejścia stało dwu żołnierzy w hełmach, trzymając

gotowe do strzału pistolety maszynowe. Ponad nimi płonęło czerwone

światelko, a pod nim świetlny napis: Stop! Zatrzymali się.

Żołnierz długo

oglądał legitymację Seymoura. Drugi, równie szczegółowo sprawdzał dokumenty

majora. Zadziwiło to kapitana, gdyż mógłby przysiąc, że tędy właśnie

przechodził Swanson idąc na jego spotkanie. Poszli dalej. Przy ostatnich drzwiach major zatrzymał się i wszedł dając znak Seymourowi, aby udał się za nim. Znajdowali się obecnie w długiej, jasno oświetlonej sali, której środek zajmował wielki, podłużny stół. Po obu jego stronach siedziało kilkunastu oficerów paląc i gawędząc półgłosem. Pośród nich spostrzegł Seymour Jana, zatopionego w rozmowie z jakimś amerykańskim porucznikiem. Major wskazał mu miejsce. Kapitan usiadł. W tej samej prawie chwili, drzwi w przeciwległym końcu sali otworzyły się i wszedł przez nie wysoki, siwy człowiek w mundurze generała dywizji. Wszyscy zerwali się z miejsc. Generał podszedł do stołu, zajął miejsce przy górnym jego końcu, po czym dał zebrany znak ręką.

- Siadajcie panowie. - Zwrócił się do Swansona - Czy wszyscy już są, majorze?

- Tak jest, panie generale.

- Dziękuję.

Wyczekał chwilę, aż ucichnie odgłos przysuwanych krzeseł, chrząknął głośno i zaczął mówić.

- Zanim przejdę do omawiania poszczególnych punktów konferencji, jaką

pozwoliłem sobie na dzisiaj zwołać, chciałbym omówić pobieżnie kilka kwestii ogólnych, dotyczących osób tutaj zebranych i zadań, jakie zostały nam powierzone.

Przerwał na chwilę i powiódł oczyma po dwu szeregach milczących twarzy.-

Otóż celem naszego dzisiejszego spotkania, są pewne przygotowania w związku z zamierzonym atakiem wojsk alianckich na kontynent europejski.

Bez

popęłnienia wielkiej niedyskrecji, mogę panom powiedzieć, że już od dawna

połączone sztaby armii alianckich, ich oddziały wywiadowcze, jak również

ludzie tworzący podziemny ruch oporu w krajach okupowanych przez

nieprzyjaciela pracują intensywnie nad przygotowaniem gruntu dla mających

wylądować wojsk. Jest to zresztą zupełnie zrozumiałe, gdyż lądowanie nasze,

gdziekolwiek by miało ono nastąpić, poprzedzone być musi gruntownym

rozpoznaniem. Pierwsza część tych przygotowań spoczywa w rękach ludzi

niewiele mających wspólnego z wojskowością. Są to zawodowi geografowie,

kartografowie, meteorolodzy itd. Pozostawmy ich na boku i skupmy naszą

uwagę na drugiej części problemu, to jest, na wywiadzie wojskowym

dotyczącym rozmieszczenia pozycji nieprzyjacielskich na wybrzeżach i wewnątrz kontynentu, jego garnizonów rezerwowych, pól minowych, lotnisk, magazynów, pozycji artyleryjskich i wielu innych punktów żywotnych, których unieszkodliwienie na czas, umożliwi nam skuteczne przeprowadzenie naszych operacji i zmniejszenie nieuniknionych strat.

Znowu przerwał i odetchnął głęboko.

- Przejdę teraz do przyczyny, dla której zostali panowie tu wezwani. Otóż resorty zajmujące się powyżej wymienionymi sprawami uskarżały się od dłuższego czasu na brak wykwalifikowanych ludzi, mogących objąć pewne odcinki prac w rozrastających się ciągle zadaniach, jakimi obarcza nas sztab generalny. Nie ma w tym zresztą nic dziwnego, gdyż przed wybuchem obecnej wojny kadry tego rodzaju specjalistów były bardzo nieliczne, a adeptów przyjmowano tylko w ograniczonych ilościach, nie mogąc przewidzieć, że operacje przeciw Rzeszy Niemieckiej i jej satelitom prowadzić będziemy bezpośrednio z wysp brytyjskich, a nie z jakiegoś punktu na kontynencie europejskim. W tej trudnej sytuacji uciekliśmy się do jedyne go środka, jaki

nam pozostał: mianowicie, do improwizacji. Przeprowadzono tajną ankietę w sztabach wszystkich armii sprzymierzonych w poszukiwaniu inteligentnych i zasługujących na zaufanie ludzi. Po długich badaniach kontrolnych wybrano wreszcie pewną grupę osób. Mogę panom szczerze powiedzieć, że jesteście jedynie nieliczną częścią personelu, jaki został przydzielony w ciągu ostatnich miesięcy do Wydziału Informacji. Kierując się jednak zasadą służby ochotniczej w tego rodzaju formacjach, dajemy panom szansę wycofania się na powrót do jednostek, z których zostaliście tu przysłani. Kto więc sądzi, że zadanie to lub rodzaj służby, jaki będzie w przyszłości wykonywał, nie odpowiada mu z takich czy innych względów, niech zamelduje o tym po zebraniu. Nie dotyczy to oczywiście zawodowych oficerów wywiadu, którzy znajdowali się dotychczas w innych formacjach i zostali tu dziś wezwani.

Seymour westchnął. Wolał służbę w oddziałach spadochronowych od tej na pół wojskowej organizacji. Niestety był zawodowym oficerem wywiadu i wiedział, że przydzielono go do Pierwszej Dywizji spadochronowej tylko w tym celu, aby opanował dobrze technikę skoku i lądowania.

General powiódł okiem po siedzących. - Czy są jakieś pytania? -
Ani jedna

ręka nie uniosła się ku górze. Na twarz wystąpił mu uśmiech.

- To pięknie - rzekł - Zdajecie sobie panowie zapewne sprawę,
że służba w

korpusie wywiadowczym jest często trudniejsza i
niebezpieczniejsza niż w

innych rodzajach broni. Teraz major Swanson zaprowadzi
każdego z panów do

miejsca w tym gmachu, gdzie rozpoczniecie swoją pracę.

Chciałbym powiedzieć

jeszcze jedno. Kraj nasz jest naszpikowany wielką ilością
agentów

nieprzyjaciela. Oczywiście, polują oni przede wszystkim na
wiadomości o

naszych przygotowaniach inwazyjnych. Najmniejsza nawet
niedyskrecja z

naszej strony, spowodować może brzemiennie w skutki
następstwa. Pamiętajcie

panowie, że w rękach waszych znajdować się będą fragmenty
tajemnicy tak

strzeżonej, jak nigdy jeszcze żadna tajemnica nie była strzeżona.

Raz

jeszcze podkreślam: odpowiedzialność nasza jest olbrzymia!

Proszę też

bardzo, aby w razie najmniejszych nawet podejrzeń w stosunku
do którejś z

osób należących do waszego otoczenia, kierować natychmiast
raporty do

"Biura H" na ręce obecnego tu majora Swansona. Nie wolno się
wahać nawet

wtedy, kiedy te podejrzenia wydawać się wam będą absurdalne lub bezpodstawne. Lepiej jest mieć na oku trzech niewinnych, niż dać jednemu szpiegowi grasować po naszym terytorium.

Spojrzał raz jeszcze na zebranych, jak gdyby chcąc zbadać, czy efekt jego

słów wyryty jest na ich twarzach. Wstał.

- Proszę pozostać na swoich miejscach. Za chwilę major Swanson

rozprowadzi panów po poszczególnych resortach naszego urzędu.

Odsunął krzesło i równym, elastycznym krokiem wyszedł z pokoju. Swanson

wziął do ręki kartkę papieru i wyczytał z niej trzy nazwiska.

Wezwani

wstali i udali się za nim. Po minucie powrócił i wezwał jeszcze dwie osoby.

Za trzecim razem przeczytał:

- Kapitan Ryszard Seymour i kapitan Jan Smolarski.

Wstali obydwaj z miłym uczuciem, jakie ma człowiek spotykający w obcym mieście przyjaciela z lat dziecińczych. Swanson wiódł ich przez jeden

korytarz, później przez drugi, nieskończenie długi, wreszcie skręcił w

trzeci i zapukał do drzwi noszących nazwę "Biuro CD-5".

Weszli. Prawie połowę pokoju zajmowała olbrzymia szafa ogniotrwała. Obok

niej, przy oknie stało małe biurko polowe, za nim siedział młody oficer

francuski. Miał ciemno opaloną twarz i poważne jasne, niebieskie oczy, które nadawały mu wygląd raczej myśliciela, niż człowieka zajmującego się niedostępnymi dla światła dziennego sprawami. Na ich widok powstał, a kiedy major Swanson bez słowa cofnął się i zamknął za sobą drzwi, wyszedł zza biurka i uścisnął im ręce.

- Jestem Renard, kapitan Jean Renard, a panowie jesteście zapewne kapitanem Ryszardem Seymour - to mówiąc skłonił głowę w kierunku Seymoura - i kapitanem Janem Smolarsky. Mam nadzieję, że dobrze wymawiam pana nazwisko. My Francuzi jesteśmy upośledzeni przez naturę. Nie możemy łatwo przystosować naszych ust do wymawiania cudzoziemskich nazwisk. Proszę niech panowie siadają.

Jan spojrzał na niego z sympatią. Lubił Francuzów i miał wiele sentymentu dla kraju, w którym spędził dwadzieścia lat życia, jako syn górnika emigranta.

- Oczywiście nie mają panowie jeszcze pojęcia, na czym polegać będzie ich obecne zadanie - zagaił gospodarz, kiedy rozsiedli się w niskich, skórzanych fotelach.

- Najmniejszego, kapitanie - odparł Seymour.

- Otóż - ciągnął Francuz - wiemy, że panowie zamieszkiwali przez dłuższy czas moją ojczyznę. Jeden z panów, pan Seymour przebywał tam w ciągu ostatnich pięciu lat przed wybuchem obecnej wojny, jako... hm... turysta.

Wydaje mi się, że się nie mylę?

- Tak - Seymour poczerwieniał z lekka. Przebywał rzeczywiście przez pięć lat we Francji, lecz czynił to na rozkaz swego rządu, jako agent brytyjskiego wywiadu. Francuz na widok jego zmieszania uśmiechnął się.

- Pan zaś, mr. Smolarsky - zwrócił się do Jana - przybył do nas jeszcze jako dziecko. Zamieszkiwał pan, o ile się nie mylę, kolejno w Lille, gdzie uczęszczał pan do szkoły francuskiej, później zaś, aż do wybuchu wojny w Paryżu, gdzie studiował pan na Sorbonie jako stypendysta Związku Polaków Zagranicą. Był pan także przez rok w Polsce, gdzie ukończył pan szkołę podchorążych. Po wybuchu wojny wstąpił pan do Polskiej Armii we Francji. Po załamaniu się obrony, uciekł pan do Anglii wraz z kilkoma żołnierzami i obecnym tu kapitanem Seymour. Pytam o to wszystko, aby sprawdzić, czy informacje moje odpowiadają w stu procentach prawdzie.

- Najzupełniej! - Jan był szczerze zdumiony. Nie przypuszczał, aby potęga

wywiadu alianckiego sięgała tak daleko w głąb biur ewidencyjnych okupowanego kontynentu. Przecież na to, aby francuski kapitan mógł wypowiedzieć tych kilka słów, trzeba było wkładu pracy kilku a może nawet kilkunastu ludzi, którzy, być może z narażeniem życia, wydobyli te, tak blade i pozornie nic nie znaczące informacje i przekazali je do zacisznych biur londyńskiego city, gdzie działał mózg kolosa zwanego Narodami Zjednoczonymi.

- Otóż to, otóż to - Francuz najwyraźniej był zadowolony - dziękuję panom bardzo, a teraz pomówmy o sprawie, która panów tu sprowadza. W związku z informacjami, jakie zdołaliśmy o panach zebrać, przydzielono was do grupy tak zwanego "Wywiadu Francuskiego". Ponieważ jesteście panowie spadochroniarzami, sądzę, że wkrótce użyci zostaniecie jako skoczkowie.

Oczywiście, proszę przyjąć to jako moje prywatne i nie wiążące naszej pracy przypuszczenie. Dziś i następnych dni chciałbym widzieć panów u siebie, aby wtajemniczyć ich w niektóre szczegóły pracy nad odcinkiem CD-5, gdyż tak właśnie nazywa się wycinek wybrzeża francuskiego powierzony naszej

"opiece".

Przerwał na chwilę zastanawiając się.

- Jak się panowie zapewne sami domyślcie, opracowujemy szczegółowo cały system niemieckich fortyfikacji zwanych przez nieprzyjaciela "Wałem Atlantyckim". Co prawda, nikt poza najwyższymi dowódcami i kierownikami sprzymierzonych mocarstw nie zna punktu, w którym skoncentruje się nasze natarcie, a może nawet i oni nie są jeszcze pewni, gdzie ono nastąpi, trzeba jednak zawczasu opracować wszystkie możliwości.

Sektor wybrzeża normandzkiego leżący pomiędzy Bayeux i Caen nazwany został przez nas dla własnego użytku "Sektorem CD". Dla ułatwienia sobie pracy podzieliliśmy go na szereg odcinków. Mojej skromnej osobie przypadł w udziale zaszczyt centralizowania wiadomości i kierowania akcją naszych agentów na, jakby tu powiedzieć... hm... wycinku tego odcinka, który nosi nazwę "SektorA CD-5". Pan, kapitanie Seymour, zamieszkiwał tam przez pięć lat. Jest to nader szczęśliwy zbieg okoliczności, gdyż ma pan zapewne jeszcze w pamięci ukształtowanie terenu i jego punkty charakterystyczne.

Poza tym, jako fachowiec wojskowy będzie pan mógł łatwo wytworzyć sobie

obraz fortyfikacji nieprzyjaciela i ich powiązanie z wyżej
wzmiankowanym
obszarem. Co do pana, kapitanie Smolarsky, to znajomość języka
francuskiego
i północnej Francji, wskazywałyby raczej na zatrudnienie pana w
charakterze
oficera kontaktowego już po naszym lądowaniu, w ramach
działań polskiego
ruchu oporu we Francji. Nie jest to w przyszłości wykluczone. Na
razie
jednak kierując się pierwszą potrzebą, jaką jest akcja na terenie
nieprzyjacielskiego pasa przybrzeżnego, przydzielono pana do
nas. Składa
się na to, poza tym pańska przyjaźń z kapitanem Seymourem,
którą, jak mi
się zdaje, podtrzymujecie panowie nadal.

Jan zamienił spojrzenie z Seymourem. Żaden z nich nie
przypuszczał, że
byli obserwowani. Tajemnica przygotowań inwazyjnych była
rzeczywiście pilnie
strzeżona w najmniejszych nawet szczegółach. Tymczasem
Francuz uśmiechnął
się pogodnie.

- Nie chcę panów dłużej przetrzymywać. Mam nadzieję, że jutro
pomiędzy
godziną ósmą a ósmą dziesięć zobaczymy się tu ponownie.
Widząc, że obaj
oficerowie podnoszą się, powstrzymał ich ruchem dłoni.

- Jeszcze chwileczkę. Muszę panom wystawić odpowiednie
dokumenty, aby nie

spotkały was jutro żadne trudności przy wejściu do biur. -
Wyszukał na
biurku blankiet czystego papieru, napisał na nim kilka słów, po
czym
nacisnął przyczepiony do poręczy fotela dzwonek elektryczny.
Natychmiast
prawie pojawił się w drzwiach żołnierz.

- Proszę zanieść to do biura przepustek i przynieść mi jak
najszybciej
odpowieź.

- Tak jest, panie kapitanie.

Żołnierz wyszedł.

- Muszą się panowie chwilę wstrzymać - powiedział Renard - Za
kilka minut
dyżurny przyniesie tu legitymacje panów, poświadczone przez
biuro
przepustek.

Wyjął z szuflady paczkę amerykańskich cygar.

- Ho, ho! - powiedział Seymour - zdejmując banderolę - dobrze,
że i my
zaczynamy obracać się od dziś w wielkim świecie. Nie paliłem
już takiego
cudu, co najmniej od roku.

- Tak - przyznał Francuz - przydziały mamy, nienajgorsze. Co
prawda,

pracy też jest niemało. Przekonacie się zresztą panowie sami.

W tej chwili rozległo się pukanie i wszedł ten sam żołnierz
niosąc dwie
małe, oprawne w czarne płótno książeczki.

- Już gotowe, panie kapitanie.

- Dziękuję.

Żołnierz wyszedł. Renard otworzył pierwszą legitymację i spojrzawszy do wewnątrz wręczył ją Janowi, podobnie uczynił z drugą przeznaczoną dla Seymoura. Otworzywszy ją Jan nie mógł powstrzymać się od okrzyku zdziwienia. Na pierwszej stronie widniała jego fotografia w mundurze, bez nakrycia głowy, jednak Smolarski gotów był przysiąc, że nigdy nie wykonano mu podobnego zdjęcia. Także Seymour podniósł zdumione spojrzenie na siedzącego naprzeciw oficera.

- Może mi pan powie, w jaki sposób zdobyliście panowie tak uroczy obraz mojego szlachetnego oblicza?

- Jak panowie zapewne już wiecie, ludzi mających współpracować z nami otacza się opieką. Fotografie w tym wypadku są także potrzebne. Często przesyła się je w takie czy inne miejsce, w celu stwierdzenia, czy otrzymane dane dotyczą właśnie tego, a nie innego człowieka.

Mówię panom o tym, gdyż uważam was od tej chwili za współtowarzyszy bractwa wtajemniczonych. Choć, szczerze mówiąc, wtajemniczenie nasze polega na znajomości maleńkiego tylko odcinka olbrzymiej akcji, która się obecnie rozwija. Z obowiązku chcę podkreślić pewną rzecz. Chodzi mi o milczenie.

Prosiłbym, aby nawet pomiędzy sobą ograniczyli panowie rozmowy na temat naszej pracy do koniecznego minimum. Najbliższe słowo kosztować może życie tysięcy ludzi.

Uśmiechnął się ponownie, jak gdyby przepraszając za swoją natarczywość.

Uścisnęli mu rękę.

- A więc do jutra!

- Do jutra!

Wyszli. Na ulicy była piękna, słoneczna pogoda. Jan zaciągnął się powietrzem, jak człowiek, który wyszedł z zatopionej łodzi podwodnej.

- Jak ci się to wszystko podoba? - zwrócił się do przyjaciela.

Jeżeli chodzi o cygaro, to muszę przyznać, że było świetne.

- A reszta?

- Cóż reszta? Taka sama robota jak każda inna.

Jan nie odrzekł nic. Wiedział jednak, że za przysłowiową powściągliwością przyjaciela kryje się radość. Smolarski wolałby może coś mniej tajemniczego, a dającego więcej bezpośrednich wrażeń. Wolał walkę na otwartej przestrzeni, jawną, pełną huku, tempa i nieustannej wytężonej pracy. Potrafił jednak ocenić zaufanie, jakie go spotkało ze strony dowódcy jednostki, w której dotychczas pełnił służbę i Naczelnego Dowództwa Polskich Sił Zbrojnych.

Trącił łokciem Seymoura.

- Może byśmy wpadli gdzieś na kieliszek?

Anglik przywykł już do niesamowitych zachcianek Polaków, którzy przeważnie mieli chęć do picia o najbardziej nieprawdopodobnych godzinach dnia lub nocy.

- Dobrze - westchnął z rezygnacją - jeżeli sądzisz, że to nieodzowne.

W tej samej chwili, kiedy przekraczali drzwi baru noszącego dumną nazwę

"Pod Lwem i Koroną", młoda, smukła kobieta ubrana w szary płaszcz i małą

czapkę tego samego koloru, minęła bramę starego domu w Soho. Bez wahania

weszła na pierwsze piętro i zapukała do niskich, odrapanych drzwi.

Przytłumiony męski głos dochodzący jak gdyby z bardzo daleka zapytał:

- Kto tam?

- To ja. Otwórz.

Drzwi uchyliły się. Weszła do brudnego, ciemnego korytarza. Nieogolony

mężczyzna w szlafroku nieokreślonej barwy zaryglował drzwi i szybko zwrócił

się w stronę gościa.

- Co się stało? Miałaś przyjść dopiero jutro.

- Wiem, wiem - strzepnęła niecierpliwie ręką. - Nie bój się - spojrzała z

pogardą na jego zaniepokojoną twarz. - Udało mi się.

- Co?

- Udało mi się zawrzeć znajomość z kapitanem Ryszardem Seymourem, a jeżeli mam być szczerą, to dzisiejszą noc spędziłam właśnie w jego mieszkaniu.

- Mów jaśniej. - Niepokój zniknął z jego oczu.

- Po prostu. Zaprosił mnie i skorzystałam z zaproszenia.

- No tak. Wiem przecież, że nie włamałaś się tam i nie weszłaś przemocą pod kołdrę tego człowieka.

- To wszystko było trochę niesamowite i przypomina mi powieść szpiegowską napisaną w okresie zeszłej wojny. - Zaczęła opowiadać, kiedy znaleźli się w małym pokoiku, który sądząc z pozorów, służyć musiał właścicielowi jako sypialnia, jadalnia, kuchnia i skład najróżniejszych rupieci - Jak wiesz, wczoraj wieczorem nastąpił nalot. Rozpakowałam właśnie swoje rzeczy i próbowałam zagospodarować się w tym obrzydliwym pokoiku, jaki przeznaczyłeś na moją bazę wypadową, lecz słysząc syreny zesłam na dół i znalazłam się w jakiejś opuszczonej piwnicy. Schron widocznie musiał być gdzie indziej. Po kilku minutach zaczęło się piekło. W końcu nastąpiło najgorsze. Spadły bomby. Dwie czy trzy z nich rozwalily na proszek całą naszą kamienicę.

Wtedy straciłam przytomność. Widocznie wybuch mnie zamroczył. W pewnej chwili obudziłam się i zaczęłam wzywać pomocy, potem znowu zemdlałam. Kiedy ostatecznie przyszedłam do siebie, zobaczyłam, że w piwnicy znajduje się, prócz mnie, jeszcze dwóch wojskowych. Dałam się oczywiście ratować i uratować. Zresztą, byłam początkowo półprzytomna. Fakt, że dom mój został zburzony posłużył mi jako pretekst do przyjęcia zaproszenia mego sąsiada.

Potem wszystko poszło już gładko.

- A co on sobie o tobie pomyślał?

- W najgorszym wypadku, może przypuszczać że jestem histeryczką. Założę się zresztą, że będzie mnie dziś długo przepraszał za to, co wczoraj nastąpiło. Ci rycerze z nieprawdziwego zdarzenia wyobrażają sobie zawsze, że kobieta oddaje im się nie dlatego, że jej się tak podoba, lecz na skutek jakiejś słabości lub zapomnienia. Oczywiście powiem mu, żeby o tym zapomniał i starał się już nigdy ze mną nie spotkać. Na to on zacznie przewracać oczyma i pytać, w jaki sposób może wynagrodzić mi popełnioną przez siebie krzywdę...

- A ty?

- Po prostu zacznę płakać. Podczas pocieszania nastąpi pojednanie.

Spojrzał na nią z podziwem.

- Nie mogę zrozumieć, jak w takim miłym i wdzięcznym dziecku, jakim jesteś, kryć się może taka twarda, bezwzględna dusza.

Wzruszyła ramionami.

- Cóż chcesz, mój drogi? Nie jestem Angielką i nie popełniam najmniejszej zdrady pracując na rzecz wywiadu niemieckiego. Kiedyś byłam inna.

Pokochałam Anglika. Anglik zniszczył mi życie. Bez niego całe moje

istnienie straciło sens. My, Irlandczycy, lubimy się mścić. A jeśli ci

chodzi o sposób, w jaki używam mojego ciała przy... hm... załatwianiu

pewnych twoich interesów, to wiedz, że zawsze z największą przyjemnością

pójdę spać z mężczyzną, który mnie pociąga. Nie widzę w tym zresztą nic zdrożnego.

Zamilkła i wyjęła z torebki papierośnicę. Człowiek nazwany Jerzym

siedział nieruchomo przyglądając się jej z uwagą.

- Jakie są twoje najbliższe plany? - zagadnął.

- Przede wszystkim chcę rozpracować tego człowieka tak, aby nie sprawiał

mi żadnych niespodzianek. Potem zobaczymy. Czy masz jakieś informacje o

nim?

- Wszystko, co dotychczas udało mi się uzyskać, to informacja o jego przydziale do biura planowań inwazyjnych: Dlatego znalazłem ci pokój w kamienicy naprzeciw niego. Trzeba przyznać Anglikom, że niesłuchanie czujnie strzegą wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z inwazją.

- Hm. To niewiele. Czy nie wiesz, kiedy rozpocznie pracę?

- Sądzę, że w najbliższej przyszłości, a w każdym razie, w tym tygodniu.

- A co możesz mi powiedzieć, o polskim oficerze, który kręci się koło niego.

- Nazywa się Jan Smolarski. Jest spadochroniarzem. Nie przypominam sobie dokładnie, ale wydaje mi się, że towarzyszył on Seymourowi podczas ucieczki z Francji.

- Wiem o tym. Chodzi mi o jego ewentualny udział w pracy Seymoura.

- Na to nie umiem ci odpowiedzieć. Sądzę, że tego rodzaju informacje najlepiej potrafisz zebrać sama.

- Tak. Masz rację. Nie mam tu już nic więcej do roboty. Przyjdę do ciebie pojutrze. Jeśli coś mi stanie na przeszkodzie, zostawię wiadomość u Berty.

Wstała. Przy drzwiach odwróciła się jeszcze.

- Daj mi trochę pieniędzy. Sto funtów. Muszę sobie kupić coś do ubrania.

Cały mój bagaż zniszczony został przez bomby. Uważam, że Rzesza Niemiecka jest mi winna odszkodowanie.

Roześmiał się i wyjął z portfela żadaną sumę.

- Mam nadzieję, że wystarczy ci to na jakiś czas.

- Nie wiem. Może będę potrzebowała dużo, dużo więcej.

Podali sobie ręce.

- Życzę szczęścia.

- Na wzajem.

Lekkim, elastycznym krokiem zeszła po schodach. Policjant stojący na rogu spojrzał za nią z uśmiechem.

- Co, jak co - pomyślał - ale mając wiele takich młodych, roześmianych kobiet, Anglia nigdy nie przegra wojny.

Minęła go szybkim krokiem i wskoczyła w bieg do przejeżdżającego autobusu. Pogroził jej z daleka ręką i powoli, uśmiechając się, ruszył w dalszy obchód.

§Rozdział V:

Dziś o ósmej odlot

W tydzień po opisanych przez nas powyżej wypadkach, Seymour siedział na kanapie w mieszkaniu swego przyjaciela czekając cierpliwie, póki Jan, który przykładał wiele uwagi do swego wyglądu zewnętrznego, nie ukończy wreszcie

toalety. W końcu, kiedy wszystkie czynności związane z myciem, czesaniem i czyszczeniem zostały zakończone, wyszli obaj na ulicę. Jan, który nabrał po wyjściu z domu doskonałego humoru, zagał rozmowę.

- Ciekaw jestem, czego chce od nas ten Renard? Ostatecznie nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy odwiedzać go w biurze, po godzinach urzędowych. Przez całe siedem dni stał nad nami jak nad dziećmi i sprawdzał, czy nauczyliśmy się na pamięć takich albo innych fragmentów stołu plastycznego i tych wszystkich innych bzdur. Założę się, że jak zwykle w czasie wojny, wszystkie te wiadomości okażą się dla nas zbędne i w rezultacie wylądujemy w jakimś biurze, gdzie będziemy gnić, aż do zawieszenia broni.

- Nie wiem, czy masz słuszość. Może akurat dziś będziemy mieli możność wykazać, że nie spędziliśmy tego tygodnia jedynie na wyludzaniu przydziałowych cygar.

- Może... Mówmy o czym innym. Jakże tam postępuje twoja znajomość z naszą piękną nieznajomą spod gruzów? Widziałem cię z nią wczoraj w restauracji u Lyonsa, nad herbaciarnią, a ponieważ nic o niej nie mówisz, mogę wnioskować, że starasz się być dyskretny.

Seymour popatrzył nań spod oka.

- Moja znajomość z miss O'Connor ogranicza się do sporadycznych spotkań na mieście, nie wpływających zresztą, ani z jej woli, ani z mojej. Spotkałem ją raz na Picadilly, a drugi raz wczoraj w Hyde Parku. Ponieważ szliśmy w tym samym kierunku, zaproponowałem małą przerwę w przechadzce i szklankę herbaty...

- Która zakończyła się suto zakrapianym obiadem - przerwał Jan.

- Nie powiesz mi chyba, że na stole nie stała butelka, której kształt i wygląd wykluczają z góry tłumaczenia o lekarstwie, jakie miss O'Connor powinna wypijać codziennie przy obiedzie. No, przyznaj się stary, że ta mała zawróciła ci trochę w głowie.

Seymour roześmiał się.

- Poddaję się. Rzeczywiście, od czasu do czasu spotykam tę młodą damę, ale nie sądzisz chyba, że powoduje mną co innego jak tylko zwykła uprzejmość towarzyska?

- Oczywiście, oczywiście. Widzę, że i ten temat musimy porzucić. Wsiądźmy do taksówki. Nie jestem dziś usposobiony do kilkukilometrowych spacerów. -

Zatrzymali pierwszy przejeżdżający "cab" i po kilku minutach znaleźli się przed gmachem Biura Informacji. Kapitan Renard czekał już na nich w biurze.

- Bardzo się cieszę, że panów widzę. Bardzo się cieszę. Nie ma piękniejszej zalety u żołnierza, jak punktualność.

Seymour chciał odpowiedzieć, że widział znacznie piękniejsze zalety

żołnierskie, lecz nie odrzekł nic i usadowił się w fotelu. Jan poszedł za

jego przykładem. Renard zadzwonił na żołnierza.

- Proszę o butelkę wina i kanapki.

- Czy to ma oznaczać, że zepsuł mi pan popołudnie dlatego, abym wypił w

pańskim towarzystwie butelkę wina? - Seymour miał komicznie zdziwioną minę.

- Taki, po części, kapitanie, jest mój program na dzień, który obecnie

przeżywamy. Mam jeszcze jednak inną przyczynę, która skłoniła mnie do

zaproszenia panów na popołudniową pogawędkę. Jest to mianowicie rozkaz,

dotyczący was obu. Zanim przejdę do omawiania jego treści, chciałbym raz

jeszcze "przejechać" się po materiale, jaki omawialiśmy w ostatnich dniach.

- Znowu? - Seymour miał minę człowieka, któremu ktoś niesłusznie

wyrządził krzywdę. - Mam wrażenie, że dowiedziałem się o Normandii w tym

tygodniu więcej, niż wiedzą ludzie mieszkający tam przez całe życie.

- Otóż to. Otóż to! - Renard przerwał, gdyż do drzwi zapukał żołnierz

niosący butelkę i kieliszki. Kiedy wyszedł, kapitan podjął:

- Otrzymacie panowie w dniu dzisiejszym bardzo ważne zadanie. Ze względu na nagłą potrzebę natury wojennej i brak czasu, nie jesteście jeszcze odpowiednio wyszkoleni. Toteż chcąc aby cała impreza uzyskała jak największe powodzenie i pragnąc jednocześnie, aby bezpieczeństwo obydwu panów zostało podniesione do maksimum dzięki wiadomościom, jakie będziecie posiadać, muszę jako człowiek ponoszący pewną... hm... odpowiedzialność za rozpracowanie odcinka CD-5 upewnić się, że mogę na panów liczyć. W dniu dzisiejszym, a właściwie dziś w nocy znajdziecie się panowie na ziemi francuskiej. Ja sam nie żądałbym jeszcze od panów wykonania tego rodzaju zadania, lecz rozkaz jest wyraźny i dyskusja na ten temat niemożliwa.

Jan podniósł się z krzesła i serdecznie uścisnął mu rękę.

- Przecież to cudownie, kapitanie Renard... cudownie! Myślałem, że już nigdy nie wyrwę się z Londynu.

Oczy Seymoura także błyszczały podnieceniem, kiedy powiedział:

- No, nareszcie wiem, że jest wojna i że bierzemy w niej udział.

- Cieszę się, że panowie są tak dobrej myśli. Spodziewałem się tego. A

teraz chciałbym, zanim wypijemy toast za pomyślność tej wyprawy,

wtajemniczyć panów w szczegóły zadania, które was czeka.

Przez cztery godziny kapitan mówił sięgając, od czasu do czasu, po mapy

wybrzeża i notatki spoczywające zwykle w kasie ogniotrwałej.

Kiedy wreszcie

złożył leżące na biurku papiery i schował je do kasy, Seymour i jego

przyjacieli mieli w głowach jasny obraz całego zagadnienia.

- Niestety nie mogę panów puścić na miasto. Odlot nastąpić ma o ósmej, to

jest za niecałe dwie godziny, a przedtem musicie przejść jeszcze przez ręce

fachowców, którzy sprawdzą, czy nie macie przy sobie czegoś, co mogłoby was

zdradzić. Proszę się temu nie dziwić. Jeden z najlepszych naszych ludzi

wpadł przez angielski gatunek plastra, którym zakleił sobie skaleczenie na

palcu. Nie dowiedli mu niczego, prócz faktu, że nie mógł otrzymać tego

rodzaju opatrunku w żadnym mieście europejskim. To wystarczyło, aby

człowiek ten przeniósł się do wieczności. Jak już powiedziałem polećcie

panowie w dwu różnych samolotach. Odstęp lądowania powinien wynosić dwie

lub trzy godziny jeżeli chodzi o czas; a dziesięć do piętnastu kilometrów

jeżeli weźmiemy pod uwagę przestrzeń. Chodzi o to, aby w najgorszym

wypadku, kiedy jeden z was dostanie się w ręce nieprzyjaciela,
drugi mógł
wykonać jego zadanie. Oczywiście, wierzę, że spotkamy się tu
wszyscy trzej
za kilka dni. Gdyby na wojnie zabijano wszystkich tych, którzy
narażają się
na niebezpieczeństwo, nie było by zapewne wojen. To są dwie
identyczne
kopie, które zawierają w skrócie wszystkie punkty waszego
zadania.

Pozostawiam je panom, gdyż sądzę, że nawet powtarzanie
niektórych rzeczy w
nieskończoność także się może na coś przydać. Prócz tego są tam
hasła i
adresy. Wszystko to pozostawicie na lotnisku przed odlotem. Od
siebie mogę
dodać, że zazdroszczę wam. Oddałbym pół życia za to, żeby znów
znaleźć się
w kraju, choćby na kilka godzin. - Urwał, jak gdyby zawstydzony
tym nagłym
wynurzeniem. - A teraz jedźmy! Czy może ma któryś z panów
jakieś zapytania?

Nie - to dobrze.

Samochód czekał na nich przed bramą. Kierowca znał już
widocznie kierunek
jazdy, gdyż ruszył bez słowa. Zapadał zmrok. Podczas drogi
rozmowa nie
kleiła się zbyt. Każdy z jadących pogrążony był we własnych
myślach.

Seymour myślał o Elżbiecie. Przez wszystkie noce, które
nastąpiły po ich

poznaniu, nie odstępowała go. Dziś wieczór zapuka do drzwi i jak zwykle

wejdzie nieco onieśmielona. Dał jej zapasowy klucz, tak aby nie potrzebowała czekać narażając się na komentarze sąsiadów. Od chwili

spotkania myślał o niej bez przerwy. Nawet podczas pracy, często twarz jej

przesłaniała mu leżące na stole mapy.

- Nareszcie wyzwolę się od tego wszystkiego - pomyślał, ale nie sprawiło

mu to żadnej ulgi. Martwiła go także myśl, że nie będzie mógł zawiadomić

Elżbiety o swojej nieobecności.

Jan trącił go łokciem.

- Chcesz lecieć pierwszy?

- Wszystko mi jedno. Wylosujemy.

Renard z uśmiechem wyjął z kieszeni pudełko zapalek. Wyjął dwie z nich.

Jedną przełamał przez pół.

- Proponuję, aby zapalka z całą główką poleciała wraz z właścicielem w

pierwszym samolocie.

- Zgoda.

Seymour pochylił się i w ciemności namacał końce obydwu zapalek.

Wyciągnął pierwszą, na chybił trafił.

- Lecę pierwszy - oznajmił spokojnie.

W tej chwili z mroku wynurzyły się przyciemnione światełka. Przy bramie

lotniska Renard wychylił się i pokazał wartownikowi jakiś papierek.

- Drugi budynek na lewo. Pierwsze piętro, sir!

Wjechali w dziedziniec. Auto zatrzymało się. Żołnierz stojący przed budynkiem wskazał im drogę. Po chwili Renard zapukał do drzwi oznaczonych napisem: "Prywatne". Otworzyły się one natychmiast. Młody oficer lat około trzydziestu zaprosił ich gestem do wewnątrz.

- Dobrze, że panowie przyjechali na czas, bo pierwsza maszyna jest już

gotowa do startu. Tam za przepierzeniem są ubrania cywilne.

Może nie będą

one za dobrze pasować, ale mniejsza o to, są to stroje robocze.

Kiedy

panowie rozbiorą się do naga, proszę się nie ubierać, ale poczekać na mnie.

Seymour i Jan udali się za wysoką przegrodę z dykty. Wisiało tam kilka

francuskich bluz roboczych i kombinezonów. Bielizna była tego samego typu.

Rozebrali się. Jan zawołał młodego oficera. Ten wszedł i rozpoczął

ogłędziny od Seymoura. Obszedł go naokoło uważnie lustrując powierzchnię skóry.

- Czy nie ma pan żadnych specyficznych tatuaży? Kapitan Renard, na

przykład, posiada jeden i to wiele mówiący. Wskazał na dłoń Francuza. Teraz

dopiero Seymour dostrzegł na jej grzbiecie małe, niebieskie serduszko i

wpleciony w nie monogram: "MR".

- Paznokci także pan nie lakieruje?

- Mój Boże, nie! - Seymour roześmiał się na głos.

- Niech się pan nie śmieje. Ostatnio Niemcy wprowadzili metodę wszechstronnej analizy wszystkich możliwych przedmiotów itd., znalezionych

przy podejrzanym. Trzeba im przyznać, że uzyskiwali niezłe rezultaty, póki

nie opracowaliśmy metody obronnej, polegające na "chemicznym" oczyszczaniu

ludzi przed przerwaniem na teren Francji. Żadnej rzeczy, jaką panowie

mają przy sobie, nie wolno wam zabrać. Tak brzmi rozkaz ogólny. Proszę

włożyć wasze mundury wraz z zawartością ich kieszeni do worków. Natychmiast

zapięczętuję je i prześlę do miejsca służby każdego z panów, gdzie

otrzymacie je po szczęśliwym powrocie. Na wypadek, gdyby wyprawa z takich

czy innych względów nie powiodła się, proszę włożyć do czapki adres osoby,

której pragnęlibyście przekazać zawartość tych worków. Oto kartki.

Podał im dwa kawałki kartonu, przez które przeciągnięty był sznurek. Jan

wypisał na swoim adres rodziców we Francji. Pod spodem nakreślił dopisek:

"Po szczęśliwym zakończeniu wojny".

Seymour długo namyślał się nad adresem, wreszcie szybko napisał:

Miss Elizabeth O'Connor 132, Sutherland Avenue, Maida Vale, London.

Kiedy byli już przebrani i gotowi do wyjścia, Renard wezwał ich do pokoju.

- Teraz otrzymają panowie dokumenty, pieniądze, papierosy, zapalki i kilka innych drobiazgów mogących się wam przydać, a będących pochodzenia francuskiego.

Otworzył dużą, żelazną szafę i oczom obydwu przyjaciół ukazały się najprzeróżniejsze przedmioty, jakie często można znaleźć w kieszeniach robotników. Wzięli sobie po dwie paczki papierosów, chusteczki itd.

- Najpierw chcielibyśmy porozmawiać z panem - zwrócił się Renard do Seymoura - gdyż pana maszyna odlatuje za dwadzieścia minut.

Wszyscy trzej wyszli do przyległego pokoju. Jan pozostał sam. Po

kwadransie Seymour powrócił. Wyciągnął rękę do przyjaciela.

- Do zobaczenia w Europie. Serwus stary!

- Do zobaczenia!

Oficer wyszedł wraz z Seymourem na dziedziniec. Renard i Jan usiedli przy

stole. Żaden z nich nie powiedział słowa. Po chwili usłyszeli odgłos

odjeżdżającego samochodu, a po kilku minutach przerywany łoskot

zapuszczanych silników lekkiego bombowca. Łoskot wzrósł.

Maszyna

przeleciała z rykiem ponad domem. Po niewielu sekundach ostatni odgłos jej

silników rozpląnął się w ciszy nocnej. Na schodach rozległy się kroki.

Młody oficer wszedł do pokoju.

- Jeden już gotów - zaśmiał się - za pół godziny powinien być na miejscu.

A teraz - zwrócił się do Polaka - przejdźmy do pańskiego zadania.

Wyruszy

pan za niecałe dwie godziny, jako rezerwa kapitana Seymoura.

Pański punkt

kontaktowy jest inny. Inne jest także miejsce lądowania. Jeżeli powiedzie

się wam obu, powinniście się jutro, a najdalej pojutrze spotkać. W wypadku,

gdyby pański towarzysz nie dał znaku życia, lub gdyby stwierdzono, że

spotkała go jakaś nie przewidziana przygoda, obejmie pan całkowitą

odpowiedzialność za dostarczenie nam wiadomych dokumentów.

Poza tym,

odbędzie pan rozmowę z kierownikiem akcji na sektorze CD-5 i zorientuje się

pan w brakach i niedociągnięciach naszej pracy w tym rejonie.

Chodzi mi o

to, czy według jego mniemania, teren jest już dokładnie rozpracowany: My,

tu na miejscu nie mamy jeszcze zupełnej jasności. Krótko mówiąc, życzeniem

dowództwa jest, abyście przywieźli z sobą kompletny obraz przygotowań niemieckich w tym rejonie, plany pól minowych, pozycji artyleryjskich i wszystkich innych punktów mających dla nas jakąkolwiek wartość strategiczną. Prócz tego, warto by się zorientować w wartości oddziałów partyzanckich i morale ludności na zapleczu. Słowem, chodzi mi o wszystko i jak najwięcej szczegółów. Kapitan Renard przekazał już panu ostatnie instrukcje i zapamiętał pan szkic miejsca lądowania. Pogoda jest dobra, a wiatr umiarkowany. Noc księżycowa, ale jest sporo chmur i może spaść deszcz. Nie powinien pan upaść daleko od pierwotnie wyznaczonego miejsca spotkania. Proszę sobie raz jeszcze przeczytać wszystkie instrukcje.

Zostawiamy pana samego. Wyszli. Jan zagłębił się w czytaniu. Kiedy wydawało mu się, że zna już na pamięć cały tekst rozkazu, drzwi otworzyły się.

- No i cóż? Będzie pan pamiętał o wszystkim?

- Mam wrażenie, że tak. Czy mogę już wyruszyć?

Anglik spojrzał na zegarek.

- Tak. Chodźmy.

- Renard wyszedł wraz z nimi. Na dole Jan otrzymał spadochron.

Założył go

z uczuciem człowieka otrzymującego pas ratunkowy na chwilę przed
zatonieniem okrętu. Seymour musiał być już na miejscu.
Samochodem wyjechali
spomiędzy domów. Przed nimi widniała wysrebrzona księżycem
przestrzeń
lotniska. Pilot siedział już w maszynie. Silniki zadrgały dławiąc
się i
pryskając w ciemność błękitnymi płomieniami wydechu. Trzej
ludzie stojący
obok samolotu ścisnęli sobie ręce. Jan wdrapał się do drzwiczek.
Samolot
był pusty. Jediną żywą istotą wewnątrz był pilot, niewidoczny
zresztą poza
przepierzeniem. Jan siadł na ławce. Silniki zawyły i maszyna
zadrgała jak
wyścigowy koń powstrzymywany siłą przed startem. Przez cały
kadłub
przebiegało lekkie drganie. W tej chwili kapitan zorientował się,
że
maszyna ruszyła. Ogon uniósł się i zrównał w poziomym
położeniu z przednią
częścią aparatu. Drganie ustało. Jan wyrzwał przez okienko.
Ziemia usuwała
się w dół. Wstał i trzymając się ściany poszedł w kierunku
siedzenia
pilota. Otworzył drzwiczki i siadł tuż koło człowieka w
kombinezonie.
Pozdrowili się w milczeniu kiwnięciem głów. W świetle zegarów
zobaczył

jasną, młodzieńczą twarz. Pilot mógł liczyć najwyżej dwadzieścia lat.

- Długo będziemy lecieli?

- Pan około trzydziestu pięciu minut, ja - dwa razy dłużej, jeżeli, oczywiście, "Flak" nie zdejmie nas z nieba wcześniej. Ostatni mój pasażer

lądownął w tak wspaniałym oświetleniu i huku, że lunapark wydałby się panu przy tym skromną zabawą dla głuchoniemych.

Jan pochylił się naprzód i przetarł szybę z plexiglassu. W blasku księżyca dostrzec można było daleko w dole zarysy ziemi. Anglia uciekała na

północ. Po chwili pod skrzydła samolotu wpłynęła srebrzysta, pokryta

białymi centkami fal płaszczyzna. Znajdowali się nad morzem.

Chmura zakryła

księżyc i wszystko zniknęło.

Rozdział Vi:

Nocne spotkanie

Niespodziewanie uderzył nogami o ziemię. Równocześnie prawie podmuch

wiatru poderwał do góry opadającą czaszę spadochronu i

Seymour uczuł, jak

linki wyprężyły się gwałtownie. Całym ciałem szarpnął wstecz, przyciągając

spadochron ku sobie. Siła wiatru cisnęła nim o ziemię. Bezradnie przetoczył

się kilka metrów uderzając ostatecznie o jakiś twardy przedmiot.

W tej

chwili napór wiatru zelżał. Machinalnie wyciągnął nóż i przeciął
więzy
łączące go ze spadochronem. W głowie czuł szum. Szybko złożył
wielką
płachtę jedwabiu i kilkunastoma ruchami zwisającej u boku
saperki wykopał
dołek w ziemi. Wsunął weń spadochron i łopatkę. Ubił ziemię
nogami i po
omacku przysypał wszystko kępkami trawy. Wtedy dopiero
podniósł głowę.
Samolot zatoczył wielki łuk i powracał teraz na północ. Nie było
go już
prawie słycać. Reflektory, które nie mogły przebić niskiej
podstawy chmur,
pogasły kolejno. Beładny ogień artylerii przeciwlotniczej także
urwał się
nagle, pozostawiając w uszach wrażenie niespodziewanej ciszy.
Księżyc
zniknął, wokół była zupełna ciemność. Nadchodził deszcz.
Seymour rozejrzał
się. Wokół, o ile sobie przypominał, powinna była znajdować się
równina.
Gdzieś w okolicy czekali ludzie. Jeżeli pilot dobrze wszystko
obliczył,
biały domek o trzech oknach i zielonym kominie, stojący
samodzielnie na
skraju lasu musiał leżeć na południu. Instrukcja brzmiała zresztą:
"W razie
niemożności nawiązania kontaktu, posuwać się na południe.
Każdy kierunek w
stronę wybrzeża grozi schwytniem..."

Upadły pierwsze krople i szybko lunęła ulewa. Jej odgłos tłumiał kroki idącego. Seymour usiłował sobie przypomnieć układ terenu. Wiatr nie mógł go znieść więcej, niż o jeden lub dwa kilometry. Skakał z wysokości około dwu tysięcy metrów, lecz przeczekał dłuższą chwilę przed pociągnięciem kółeczka otwierającego spadochron. Jeżeli pilot nie popełnił żadnej omyłki (a można było przypuszczać, że nie popełnił) powinien był znajdować się teraz na bezdrzewnej, porośniętej gdzieniegdzie kępami krzewów równinie pomiędzy Caen i Bayeux. Las mógł znajdować się jedynie w kierunku południowym. W ostateczności mógł ukryć się w nim, przeczekać aż do świtu i pójść później wzdłuż jego brzegu. Biały domek miał charakterystyczny zielony komin i trzy okna. Wokół niego stał mały sad liczący 14 drzew owocowych. Tak przynajmniej mówiła instrukcja. Ludzie czekający na odbiór skoczka narażeni byli na równie wielkie niebezpieczeństwo jak on sam. Patrole z psami często przemierzały teren, a Francuzowi nie łatwo przyszło by wytłumaczyć, czemu po zapadnięciu zmroku spaceruje w ulewnym deszczu, z dala od dróg i

zabudowań, w pasie przybrzeżnym. Nie było jednak czasu na rozmyślanie.

- Schowam się w tym przeklętym lesie i przeczekam pomyślał i ruszył szybkim krokiem na południe. Idąc sprawdził bezpiecznik Colta i założył za pas oba granaty, jakimi obdarzył go Renard na pożegnanie. Francuz podał mu do wiadomości rozkaz Głównej Kwatery Niemieckich Sił Zbrojnych nakazujący zabicie każdego napotkanego spadochroniarza alianckiego. Szedł długo.

Deszcz zaczął powoli ustawać. Upragniony las nie zjawiał się. W mózgu Seymoura poczęło kiełkować przypuszczenie, od którego włosy zjeżyły mu się na głowie.

- A może idę w złym kierunku? - w myśli wyobraził sobie zdumienie niemieckich żołnierzy, kiedy wejdzie w pas umocnień. Mimo woli pochylił się i począł iść ciszej. Deszcz ustał zupełnie. Chmury zaczęły przecierać się.

Nagle, zupełnie niespodziewanie, blade światło księżyca zalało równinę.

Seymour padł na mokrą ziemię i unosząc nieznacznie głowę począł rozglądać się po okolicy. Widok jaki napotkały jego oczy napełnił go radością.

Niedaleko, mniej więcej o kilometr od miejsca w którym się znajdował,

ciągnęło się ciemne pasmo lasu. A więc jednak nie zbłądził.
Gorączkowo
zaczął szukać oczyma białego domku. Ściany jego powinny były
być z daleka
widoczne w tym oświetleniu. Ciemność zapadła ponownie,
równie
niespodziewanie, jak poprzednie rozwidnienie. Nadciągnęła nowa
chmura
deszczowa. Kapitan poderwał się i począł biec w kierunku lasu.
Drzewa jego
dawały w każdym bądź razie poczucie jakiego takiego
bezpieczeństwa i
możliwość ucieczki. Deszcz lunął gwałtownie. Seymour
przyspieszył biegu.
Nagle stało się coś zupełnie nieprzewidzianego. Ciało jego
zderzyło się w
pędzie z jakimś innym ciałem. Padł na ziemię. Błyskawicznie
wyrwał z
kieszeni pistolet i zamarł w bezruchu. Człowiek, na którego
wpadł, także
nie poruszył się. Ciemność była zupełna. Seymour uczył,
potworny, nieznany
mu dotychczas lęk. Nie widział i nie słyszał nic. Odgłos ulewy
tłumił
wszelkie odgłosy. Bał się jednak poruszyć nie wiedząc, jak daleko
od niego
znajduje się nieznany człowiek. Mignął mu przed oczyma
fragment widzianego
kiedyś filmu, którego akcja odbywała się w podziemiach
chińskiego miasta.

Nastrój grozy i niewidzialnego niebezpieczeństwa był ten sam. Sytuacja

stała się nie do wytrzymania. Powoli, starając się nie robić najmniejszego

szelestu zaczął cofać się. Nagle znowu znieruchomiał. Z ciemności

nadchodził ktoś trzeci. Seymour słyszał jego człapiące kroki.

Widocznie

człowiek był zmęczony.

- Żeby tylko nie mieli z sobą policyjnego psa! - Wiedział, że atakowały

one bez najmniejszego warknięcia. Skulił się i odczepił granat od paska. Z

ręką na spuście pistoletu trzymając jajowaty przedmiot w lewej dłoni

uklął. Po chwili wstał powoli. Kroki minęły go niknąc w szumie deszczu.

Widocznie leżący bał się zdradzić. Wtem z ciemności znowu dobiegł go odgłos

kroków. Tuż koło niego jakiś głos zawołał cicho po francusku:

- Marianne...

Seymour wycelował pistolet w kierunku skąd padł okrzyk i szybko

powiedział:

- Cezar - po czym padł na ziemię. Zdawało mu się, że w ciemności także

ktoś upadł. Nagle niedaleko, za plecami usłyszał kobiecy głos:

- Brutus pozdrawia Cezara.

Duszę Seymoura ogarnął nagły, zupełny spokój. Wstał i idąc w kierunku

głosu wyskandował.

- Ile drzew jest w sadzie?

- Sto tysięcy! - A więc spotkali się. Nie przypuszczał, co prawda, że

będzie miał do czynienia z kobietą, lecz było mu to obojętne.

Znalazł ich!

W mroku zamajaczyła jakaś postać. Kapitan z ociąganiem założył pistolet za

pas kurtki i wyciągnął rękę. Postać dostrzegła widocznie mimo ciemności ten

gest, gdyż dłoń jego natrafiła na małą kobiecą rękę.

- Niech pan wstanie. Wszystko w porządku. Głos miała młodzińczy, ciepły

i miły. Z mroku wyłoniła się trzecia postać.

- Czy zna pan francuski?

- Oczywiście.

- To świetnie. Chociaż, proszę się na razie nie odzywać. Za pięć minut

będziemy w domu.

Ruszyli. Rzeczywiście, po krótkim czasie stanęli. Seymour wyczuł w

ciemności furtkę. Weszli na niewidoczną ścieżkę. Poznał ją po żwirku jakim

wysypane są wszystkie alejki w Normandii. Po chwili kobieta zapukała

dwukrotnie do drzwi.

- Kto tam? - zapytał jakiś dziecięcy głos. - Tatusia nie ma w domu.

Proszę przyjść jutro.

- To my, Simone. Możesz otworzyć.

Drzwi otwarły się natychmiast. W sieni było jeszcze ciemniej niż na polu.

Seymour uczył, jak na dłoni jego zaciskają się palce przewodniczki.

- Proszę iść za mną. Dom jest zasadniczo nie zamieszkały w tej chwili, gdyż właściciel wyjechał na kilka dni do krewnych. Musimy przejść gdzie indziej.

Poczęli schodzić po trzeszczących drewnianych schodkach w dół. Kapitan naliczył 24 stopnie. Piwnica musiała być bardzo głęboka. Towarzyszka jego zapaliła w pewnej chwili latarkę. Znajdowali się w ciemnym lochu, którego wygląd świadczył o rzadkim nawiedzaniu go przez ludzi. Strop pokryty był pajęczynami, po kątach wały się zardzewiałe kawały żelastwa. Na środku stała zmurszała, rozpadająca się beczka. Kobieta podeszła żywo do ściany i odsunęła jedną z cegieł. Kapitan podszedł do niej i ze zdumieniem stwierdził, że cegła ta niczym pozornie nie różniła się od innych. We wgłębieniu ukazała się mała dźwignia. Kobieta poruszyła ją trzykrotnie od lewej strony ku prawej, po czym przesunęła ją na dół.

Seymour usłyszał cichy zgrzyt i odwrócił się. Ze zdumieniem zobaczył, że beczka znika wewnątrz podłogi. Kobieta odwróciła się także, lecz nie mógł zobaczyć jej twarzy, gdyż światło latarki padało mu prosto w oczy. Podeszli

oboje do miejsca, gdzie przed chwilą znikła beczka. Oczom Seymoura ukazały się nowe schody. Kobieta poczęła schodzić pierwsza. Szedł za nią dziwiąc się głębokości schronu. Według pobieżnych obliczeń znajdować się musieli kilka pięter pod ziemią. Wreszcie schody urwały się i stanęli oboje przed niskimi drzwiczkami.

- Może potrzyma pan latarkę, muszę poszukać klucza.

Schyliła się i odsunęła nową cegłę. Seymour, mimo iż widział dokładnie

jej ruchy, nie mógł zorientować się na czym polegała cała sztuczka. Wyjęła

ze schowka długi stalowy klucz i wsunęła go w zamek. Drzwi otworzyły się

bezszelestnie. Weszli do jasnego pokoju, w którym płonęła duża lampa

elektryczna. Kobieta nie wchodząc do wewnątrz cofnęła się.

- Niech się pan tu rozgości jak u siebie w domu. W szafie jest jedzenie i

coś do picia. Obok jest łazienka. Ja pójdę sprawdzić, jak wygląda sytuacja

na górze.

Wyszła. Kapitan rozejrzał się ciekawie. Pokój urządzony był skromnie.

Stała w nim wielka szafa, biurko z przyrządami do pisania, stół, cztery

krzesła i dwa wielkie tapczany. W rogu jednego z nich leżała góra wojskowych koców. Najbardziej zadziwiła Seymoura głębokość,

na której pokój

był położony. Gdyby nie brak okien, można było sądzić, że znajduje się on na powierzchni ziemi. Kapitan ściągnął moką kurtkę i powiesił ją na poręczy krzesła. Pistolet i granaty położył na stole. Broń nie była zamknięta. Siadł na krześle. Czekał niedługo. Drzwi otworzyły się i kobieta weszła do pokoju. Miała jeszcze na głowie kaptur, nie mógł więc dokładnie zobaczyć, jak wygląda. Wstał.

- Niech pan siada. Michel wyszedł na zwiady. Wkrótce wróci. Niemcy podczas obław często tu zagląдают. Jest to jedyny dom w okolicy. Ponieważ teren nadaje się świetnie do lądowania skoczków, mają nań szczególne oko. Samolot, którym pan przyleciał nie dostał się, co prawda, w światła reflektorów i zatoczył dość duży łuk, aby zdezorientować nieprzyjaciela, ale lęk przed szpiegami i dywersją panuje tu tak paniczny, że nie dziwiłabym się, gdyby podniesiono na nogi cały garnizon, w celu schwytania ewentualnego zrzutka.

Zdjęła kaptur i przemoczony płaszcz. Była bardzo piękna. Seymour pomyślał mimo woli o Elżbiecie. Widząc, że ją obserwuje, uśmiechnęła się.

- Proszę się przebrać. W szafie jest wszystko, czego pan może potrzebować. Ja muszę jeszcze raz wyjść i upewnić się, czy Michel już wrócił.

Znowu został sam. Podeszedł do szafy. Znajdowały się w niej dwie przegrody: w jednej leżały najprzeróżniejsze przedmioty codziennego użytku, druga mieściła w sobie kilkanaście kompletów ubrań i bielizny. Zobaczył nawet kilka damskich sukien. Przebrał się szybko i siadł zapaliwszy papierosa. Tym razem czekał dłużej. Wreszcie po półgodzinnym wyczekiwaniu nieznajoma weszła. Była nieco zaniepokojona.

- Coś się dzieje na polach. Z daleka na drodze słyszałam jadące po szosie auta. Wydaje mi się, że będziemy musieli przesiedzieć tu parę godzin.

Michel pracuje jako parobek w sąsiedniej farmie. Może on tu pozostawać, gdyż właściciel prosił go przed wyjazdem o zwrócenie uwagi na gospodarstwo i zaopiekowanie się dzieckiem. Co do mnie, to tak, jak i pan, nie mam żadnego tłumaczenia. Nie wolno jest przebywać nie zameldowanej osobie w obrębie pasa nadgranicznego podczas nocy. Nie ma zresztą powodów do obaw.

Byli tu już wiele razy i nigdy jeszcze nie odkryli przejścia. Poza tym,

ktoś nie umiejący się obchodzić z maszyną spowoduje natychmiastowe wysadzenie domu w powietrze. Jest przy otwieraniu zapadni pewien specjalny

sposób. Jeżeli ktoś nie orientujący się źle pociśnie dźwignię cała chałupa pofrunie.

- Miałem wrażenie, że tego rodzaju urządzenia zdarzają się jedynie w powieściach sensacyjnych. - Seymour nie ukrywał swego zdumienia.

- Niech mi pan wierzy, że widziałam w życiu przemyślniejsze kryjówki.

- A więc - kapitan przypomniał sobie, po co właściwie się tutaj znajduje

- kiedy skontaktuje mnie pani z człowiekiem kierującym pracą na sektorze

CD-5?

Uśmiechnęła się.

- Ja jestem agentem CD-5. Mam polecenie, przekazać panu sumę wiadomości

zdobytych przez nas w tym rejonie i wręczyć plany fortyfikacyjne.

- Pani? Nigdy nie przypuszczałem, aby...

- Nie przypuszczałby pan zapewne, że jedynym moim pomocnikiem jest

piętnastoletni chłopiec. Nie przypuszczałby pan wielu innych spraw. Europa

walczy przy pomocy wszystkiego, co ma do dyspozycji. Kobiety i dzieci są

równie potrzebne przy pracy wywiadowczej jak mężczyźni.

Kiedyś, gdy nastąpi

oswobodzenie, przyjdzie czas na odpoczynek. Wtedy młodzież powróci do

szkół, a kobiety do garnków. Na razie trzeba robić to, czego wymagają nakazy chwili.

- Wiem o tym. My Anglicy mamy jednak pewne braki w rozumieniu tych problemów, może dlatego zresztą, że nie przeżyliśmy nigdy klęski. Wątpię, czy po wojnie będziemy mogli mimo filmów, prasy i książek, zrozumieć cały ogrom toczony przez was walki.

Znowu uśmiechnęła się.

- Przecież nie o to nam chodzi, głównym zadaniem jest wygranie wojny. To, czy ktoś będzie mógł ocenić pracę, lub wysiłek jakiejś grupy ludzi, nie gra roli.

Przestała mówić i podeszła do stołu. Wyciągnęła szufladę i wyjęła z niej zwykłą papierową teczkę na akta.

- Tu jest wszystko, co mogliśmy zebrać, jeżeli chodzi o sektor CD-5. Może przejrzymy sobie każdy papierek po kolei i postaramy o zsumowanie wszystkich informacji.

Przysunął krzesło do jej krzesła. Zagłębili się w rozmowie. Kiedy Seymour skończył przeglądanie materiałów, miał w głowie całkowity obraz umocnień sektora i ich rozmieszczenia. Przyznać musiał, że najbardziej pedantyczny

kierownik akcji wywiadowczej, nie mógłby wymagać więcej od rozpracowywanego odcinek agenta. Spojrzał z podziwem na drobną figurkę siedzącej przy nim kobiety.

- Kiedy zdążyła pani dowiedzieć się o tym wszystkim?

- Nie przyszło mi to wcale tak trudno. Mieszkam od półtora roku w rejonie fortyfikacji, a poza tym jestem kochanką dowódcy stacjonowanej tam kompanii. Jak pan widzi, cała sprawa nie jest, aż tak skomplikowana.

Powiedziała to takim tonem, jak gdyby chodziło jej o podanie popielniczki. Seymour chciał coś powiedzieć, lecz zająknął się i zaczerwienił. Zauważyła to.

- Dziwią pana zapewne moje słowa. I ja kiedyś spojrzała bym ze zdumieniem na kobietę, która swobodnie przyznawałaby się do tego rodzaju przeżyć.

Wojna nie jest czymś wzniosłym. Ktoś musi wykonywać brudną robotę.

Zresztą... - machnęła ręką - zmieńmy temat. Ciekawa jestem, co słyhać z

pańskim kolegą. Wie pan zapewne, że miało was lądować dwóch?

- Tak, wiem - wciąż jeszcze myślał o przyczynie, która skłoniła tę

piękną, inteligentną dziewczynę do tego rodzaju postępowania. - Powinien

już dawno być na miejscu. Czy pani ma jakiś sposób dowiedzenia się o jego losie.

- Zobaczymy. Jeżeli nic mu się nie stało, powinien wkrótce dać znak życia. Jego punkt kontaktowy może nadać szyfrowaną wiadomość telefoniczną do najbliższej wsi, a stamtąd przyjedzie rano goniec na rowerze. Która godzina

Spojrzał na zegarek.

- Dwadzieścia po czwartej! Nie spodziewałem się, że jest tak późno.

- Umówiłam się z Michelelem, że o ile nic nie przewidzianego nie zajdzie, zejdzie tu punktualnie o siódmej rano. O ileby nie przyszedł, będziemy

czekać. Powietrza nam nie zabraknie, a jedzenia jest pod dostatkiem na dwa

tygodnie. - Kiedyś siedzieliśmy tu osiem dni. Odbywał się wtedy transport

lotników zbiegłych z obozu jeńców. Niemcy nie wiadomo skąd, dowiedzieli

się, że ukryto ich gdzieś w okolicy. Przez tydzień całe nadbrzeże roiło się

od patroli i cywilnych szpiegów. Tu byli jakieś trzydzieści razy.

- Mam nadzieję, że tym razem będzie to trwało trochę dłużej - Szymonowi

powrócił dobry humor - będę miał przyjemność stałego przebywania w pani

towarzystwie, a poza tym nikt nie będzie mi miał za złe, że nie siedzę w

Londynie za najobrzydliwszym z biur i nie piszę nikomu nie potrzebnych

głupstw.

Roześmiała się. - Niech pan prosi Boga, żeby nie wysłuchał tej prośby.

Najdalej za dwa dni musicie panowie być z powrotem. Tak przynajmniej obliczył to sobie człowiek wysyłający nam meldunek radiowy o waszym przybyciu.

- Oni tam w sztabach wyobrażają sobie tę pracę, jako robotę, która nie wymaga niczego, prócz skoku na ziemię, treściwej rozmowy i natychmiastowego powrotu.

- Z naszego punktu widzenia mają słuszność. Proszę się nie gniewać, ale muszę wyznać, że troska o bezpieczeństwo wszelkiego rodzaju pasażerów na gapę wcale nie ułatwia nam pracy.

- Niestety, nic na to nie mogę poradzić. Co gorsze, mam wrażenie, że jest pani skazana na jeszcze kilka godzin mojego towarzystwa.

- Nawet na więcej. Mam pozostać z panem, aż do ostatniej chwili pańskiego pobytu we Francji. Proszę nie zapominać, że gdyby wpadł pan wraz z tymi papierami, owoce mojej prawie dwuletniej roboty przepadłyby razem z panem.

No, ale nie przejmujemy się. Sądzę, że należy nam się trochę jedzenia i wypoczynku.

Wstała od stołu i ruszyła w kierunku szafy. Po chwili powróciła niosąc kilka puszek z konserwami, chleb i herbatę.

- Niech pan zajmie się ich otwarciem. Ja, tymczasem nastawię wodę.

Wetknęła w ścianę kontakt elektrycznej maszynki i wyszła z garnuszkiem do łazienki. Seymour zabrał się do rozpruwania kluczem puszek, podziwiając w duchu zmysł praktyczny człowieka, który zbudował i zaopatrzył podziemną salę.

Po kilku minutach siedzieli już za stołem jedząc. Ponieważ nieznajoma nie odzywała się, Seymour milczał także, był zresztą głodny i wchłaniał jedzenie z apetytem wygłodniałego zwierzęcia.

- No, jakże panu smakuje posiłek w "wygłodzonej Europie"?

- Nadzwyczajnie. Muszę przyznać, że w Londynie nie zawsze można zjeść tak dobrze przyrządzone jedzenie, ale kładę to oczywiście na karb pani umiejętności.

Roześmiała się.

- Dawno już nie słyszałam komplementu od kogokolwiek - Seymour mimo woli pomyślał o dowódcy niemieckiej załogi CD-5 - muszę przyznać, że widok ludzi wolnych przywraca mi na kilka godzin chęć do życia.

- Czyżby nie miała jej pani?

- Ja? - roześmiała się wesoło, jak gdyby mówili o sprawach najzupełniej
błahych - ja już dawno jestem umarła. Rozmawia pan w tej chwili
z mumią.

- Hm... jak na mumię wygląda pani zupełnie dobrze, aż za
dobrze nawet,
powiedziałbym - mimo wesołego tonu jakim prowadzili rozmowę,
kapitan
wyczuł, że za słowami młodej Francuzki, kryje się jakiś dramat.

- Niech pana nie łudzą pozostawiam...

Nie dokończyła. Zobaczył, że wzrok jej utkwiony jest w jakimś
punkcie
poza jego głowę. Odwrócił się szybko. Na ścianie płonęła mała
czerwona
lampka.

- Co to znaczy? - nie zauważył poprzednio, aby w tym miejscu
paliło się
jakikolwiek światło.

- Alarm - głos miała spokojny, lecz Seymour wyczuł w nim nikłą
nutkę
niepokoju. - Lampka ta zapala się w chwili, kiedy przekręci się
kontakt
przy dużym kandelabrze w jadalni na górze. Czyni się tak jedynie
w tym
wypadku, kiedy do domu zbliżają się nieznani ludzie. Seymour
wstał z
krzesła i cicho przeszedł do tapczanu. Siadł na nim.

- Czy mogę przydać się pani do czegoś? Może trzeba będzie coś
przedsięwziąć?

- Nie. Na razie nie ma nic do roboty, prócz czekania. Przez dwa
lata nikt

nie wpadł na ślad przejścia. Nie widzę powodu, aby właśnie pan miał mieć pecha. Rozmawiać możemy swobodnie. Nie ma na świecie człowieka, który mógłby nas usłyszeć. Jeżeli ktoś wejdzie na schody pod beczką usłyszemy dzwonek alarmowy.

Wstał i wziął ze stołu pistolet. Granaty położył obok siebie na kocu.

Zapalił papierosa, ale zgasił go zaraz i pytająco spojrzął na młodą kobietę.

- Czy można zapalić? Wydaje mi się, - że, jeżeli pokój ma jakieś przewody wentylacyjne, to siłą rzeczy muszą wychodzić one na zewnątrz. Dym mógłby zostać zauważony.

- Proszę swobodnie palić. Człowiek, który wybudował ten schron, mieszkał w nim przez pół roku, temu należy przypisać wszystkie udogodnienia.

- Dzięki Bogu! - Ponownie przytknął zapałkę do "Gauloisa". Nagle światło zgasło. Pokój zaległ ciemności.

- Co się stało?

- Nie wiem - głos jej nie miał poprzedniej pewności siebie. Na zewnątrz panowała cisza. Mały, czerwony płomyczek żarzącego się papierosa poruszał się w ręce Seymoura miarowym ruchem, podnosząc się na wysokość ust. Gdzieś

w górze był nieubłagany nieprzyjaciel. co się tam mogło dziać?
Gdzie był w
tej chwili Jan? Na dworze musiał być już dzień. Seymour
przytknął papierosa
do tarczy zegarka.

- Siódma za dziesięć - głos jego zabrzmiał głucho i rozpląnął się
bez
echa w mroku. Nie odpowiedziała, ale usłyszał, że podnosi się z
krzesła i
idzie w jego kierunku. Usiadła niedaleko.

- Niech mi pan da papierosa.

Wyjął papierosa z pudełka i podał jej w palcach. Dotknęła ręką
jego dłoni
i natychmiast cofnęła ją.

- Porozmawiajmy o czymś. Ta cisza działa mi na nerwy.

- Ponieważ nie znamy się prawie i prawdopodobnie nigdy w
życiu nie
spotkamy więcej, opowiem pani pewną historię. Niedawno
spotkałem kobietę.

Nie kocham jej, lecz coś zmusza mnie do myślenia o niej. Nie
wiem, czy ona

mnie kocha, ale obawiam się, że tak jest. Problem polega na
wewnętrznym

niepokoju, jaki mi zadaje cała ta historia. Wydaje mi się, że nie
potrafię

żyć bez tej kobiety, a jednocześnie nie widzę możliwości
pozostania z nią.

- Czy jest ona pana kochanką?

Seymour zaczerwienił się pomimo ciemności. To bezwzględne
pytanie

wytrąciło go nieco z równowagi. Zły był na siebie, że pozwolił obcej

kobiecie wejść w tajniki jego myśli i grzebać się w nich. Nigdy nie

przypuszczał, że w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, w chwili kiedy

kilkanaście metrów ponad nimi znajdowali się ludzie mogący w ciągu kilku

minut stać się przyczyną zguby ich obojga, mówić będą o tego rodzaju

sprawach. Odpowiedział:

- Tak. Jest ona moją kochanką. Dlaczego pani o to pyta?

- Pytam dlatego, że mężczyzna myślący o kobiecie robi to zwykle dla

jednej z dwóch przyczyn. Jeżeli jej jeszcze nie posiadał, marzy o tym aby ją

posiadać. Jeżeli już ją posiadał, myśli o minionej rozkoszy i o tym, by

posiąść ją znowu. Trwa to tak długo, póki nie wypali się pożądanie, potem

następuje przesyt, a z nim zanik wyżej wymienionych myśli.

- Co za cyniczne podejście. Zdumiewa mnie pani raz po raz.

- Niech pan nie nazywa tego cynizmem. Mówi przeze mnie zwykła znajomość

życia. Gdybym opowiedziała panu moje dzieje od dnia wybuchu wojny do chwili

dzisiejszej, nie dziwiłby się pan niczemu.

- Niech więc pani mi je opowie, oczywiście, jeżeli nie ma w nich nic

takiego, co by pani chciała zatrzymać dla siebie.

- Mogę powiedzieć panu wszystko. Nie dlatego abym przykładała specjalną wagę do swoich zwierzeń i nie z chęci wywnętrzenia się. Po prostu, jak pan słusznie zauważył, nie znamy się i nie zobaczymy, mam wrażenie, już nigdy.

Jest to taki sobie dramacik młodej dziewczyny, jakich zapewne rozegrało się podczas tej wojny tysiące. Ale mniejsza o to, jeżeli chce pan posłuchać, mogę go panu opowiedzieć.

- Ależ proszę.

- A więc - zaczęła spokojnym, równym głosem - na miesiąc przed wybuchem wojny wyszłam za mąż. Poznałam się z moim mężem na Sorbonie. Uczęszczaliśmy na ten sam wydział. W dwa tygodnie po wybuchu wojny został on zmobilizowany. Oczywiście, aby historia moja była bardziej ckliwa muszę panu powiedzieć, że odprowadzałam go na stację z kwiatami w ręku i ze łzami w oczach. W kwietniu przyjechał na kilkudniowy urlop i to był ostatni raz, kiedy widzieliśmy się. Potem przyszła ofensywa niemiecka. O mężu moim ślad zaginął. W miesiąc po zakończeniu działań wojennych przyszedł do mnie pewien człowiek, oficer tej samej kompanii, w której służył mój mąż i przyniósł mi jego papiery oraz skrawek rozpoczętego listu do mnie. Bomba

trafiła w dom, w którym kwaterowali. Mój mąż znajdował się wewnątrz domu, lecz jego kurtka wisiała przy studni. W czasie nalotu ukrył się wraz z innymi w sieni nie chcąc, aby nieprzyjaciel mógł ich zaobserwować. W ten sposób zostałam wdową po poruczniku Jean Renard...

- Jak miał na imię pani mąż?

- Jean. Jean Renard.

- Proszę niech pani mówi dalej. Wydawało mi się, że nazwisko męża pani jest mi skądś znajome, ale od razu przypomniało mi się, że myślałem o kim innym.

Nie zauważyła widocznie lekkiego drżenia w jego głosie, gdyż nie zmieniając tonu ciągnęła dalej.

... potem zdecydowałam, że nie chcę i nie mogę żyć dalej. Niech mi pan

wierzy, że kochałam mego męża tak, jak tylko kobieta może kochać mężczyznę.

Chciałam popełnić samobójstwo. Ponieważ nie miałam w domu żadnego

przyrządu, przy pomocy którego można sobie w łatwy sposób odebrać życie,

postanowiłam wyskoczyć przez okno. Odsunęłam firankę i jak bohaterka

romantycznego filmu sprzed dwudziestu lat, poczęłam ze łzami w oczach

spoglądać na ulicę, którą tylokrotnie przemierzałam u ramienia mego

ukochanego. Nagle zobaczyłam coś, co wpłynęło na zmianę mego postanowienia.

Po chodniku szło dwóch niemieckich żołnierzy. Odeszłam od okna i zaczęłam się zastanawiać. Ostatecznie wykoncypowałam sobie pewne założenie, którego trzymam się, aż do dzisiaj. Otóż powiedziałam sobie, że jestem trupem.

Ciało moje leży rozbite na chodniku, a dusza buja sobie tam, gdzie chcą ją

widzieć teologowie. Ja sama jestem tylko nic nie znaczącym cieniem i

wszystko to, co od tej chwili zrobię nie będzie zrobione przeze mnie, lecz

przez jedyną cząstkę mej istoty, która pozostała na ziemi: przez chęć

zemsty. Tego samego popołudnia udałam się do pewnej znajomej, o której

wiedziałam, że ma kontakt z powstającym Ruchem Oporu i powiedziałam jej, że

pragnę oddać się "bez reszty" na usługi Ruchu. Po kilku dniach byłam już

wtajemniczona. Od tego czasu pracuję bez przerwy. Dwa lata temu

zapropozował mi pewien znajomy współpracę w wywiadzie.

Zgodziłam się

natychmiast. Obecnie jedyną moją myślą jest wyciąganie potrzebnych mi

informacji z oficerów armii niemieckiej. Ponieważ jestem młoda i ładna

udaje mi się to z reguły. Oczywiście muszę z nimi spać, gdyż
inaczej sprawa
nie szłaby tak prosto. Przychodzi mi to z łatwością. Nie jestem
przecież
żywym człowiekiem. Mam zresztą wewnętrzne przeświadczenie,
że mój Jean
mogąc widzieć to, co robię, rozgrzeszył by mnie. Przysięgam
sobie zresztą,
że ostatni dzień wojny będzie ostatnim dniem mego życia. Wrócę
wówczas do
mego małego mieszkania i skoczę z tego samego okna, z którego
miałam
skoczyć przed czterema laty. To wszystko.

Seymour słuchał z zapartym oddechem.

- Czy mąż pani nie był przypadkiem wysokiego wzrostu. Miał
jasne,
niebieskie oczy i pociągłą twarz?

- Tak. Czy znał go pan?

- Nie wiem, czy to ten sam. Człowiek, którego znałem pod tym
nazwiskiem;

miał zwyczaj powtarzania niektórych słów w zdaniu po dwakroć.
Coś w

rodzaju: "Siadajcie panowie, siadajcie", albo: "Jestem Jean
Renard, tak,
Jean Renard.

- To on! To na pewno on. Pamiętam, że śmiałam się z tego
nawyku podczas
naszych narzeczeńskich czasów. Więc pan go znał?

Jej sztuczny spokój pękł. Rozpląkała się. Przez głowę Seymoura
myśli

przelatywały tłocząc się i popychając nawzajem. A więc kapitan Jean Renard, członek międzyalianckiego wydziału wywiadowczego i jego obecny przełożony był mężem tej kobiety. Czy mógł jej powiedzieć teraz, kiedy spaliła za sobą wszystkie mosty i postawiła się poza nawiasem życia społecznego, że zna jej męża i, że ten ostatni znajduje się obecnie w Londynie? Czy mógł powiedzieć po powrocie temu wesołemu człowiekowi o jasnych, myślących oczach, że widział we Francji jego żonę, która jest obecnie kochanką niemieckiego kapitana, przez dziwny zbieg okoliczności, dowódcy tego samego sektora, któremu Renard poświęcał lwią część swej pracy? Co miał robić?

Marianne otarła łzy. W ciemności słyszał jej przyspieszony oddech.

- Czy... czy dawno widział go pan po raz ostatni. Zapewne znaliście się podczas jego kawalerskich czasów. Inaczej znałabym pana.

Seymour zaczerpnął powietrza jak pływak, który zanurzyć się musi na nieznaną głębokość.

- Widziałem Jeana Renarda wczoraj, na pięć minut przed startem mego samolotu.

Krzyknęła cicho i w ciemności pochwyciła go kurczowo za rękę.

- Co pan powiedział???

- Powtarzam pani, że widziałem człowieka o nazwisku Jean Renard wczoraj.

Drżała tak, że Seymour przestraszył się.

- Na miłość boską, niech się pani nie denerwuje. Może to wszystko polega na nieporozumieniu. Ostatecznie mógł to być ktoś, kto znał pani męża, lub nie znał go w ogóle, a przybrał sobie ten pseudonim przypadkiem. Wielu oficerów francuskich robi tak, nie chcąc narażać pozostawionych w kraju rodzin na represje.

- Nie, nie, nie to nie może być on! Boże, Boże! Czemu mi pan o tym powiedział?

- Proszę mi określić, z jak najdrobniejszymi szczegółami jego wygląd zewnętrzny, może wtedy będę mógł pani powiedzieć... - urwał nagle. Jak błyskawica przemknęła mu w myśli scena na lotnisku. Renard miał na ręku tatuaż!!!

- Czy mąż pani nie miał żadnego znaku szczególnego?

- Tak. Małe serduszko wytatuowane na dłoni. - Zrobił to sobie jeszcze w czasach narzeczeńskich i wyrył w nim...

- Inicjały "M.R.", czy tak?

- Tak - powiedziała bardzo cicho. Seymour usłyszał jak osuwa się z tapczanu na podłogę. Po omacku wyciągnął rękę i przytrzymał ją. Zemdląca.

Wstał i przy świetle zapalonej zapalniczki ruszył potykając się do łazienki.

Zaczerpnął wody do stojącego na umywalni kubka i spryskał nią twarz

nieprzytomnej. Poruszyła się. Po chwili usłyszał jej cichy głos.

- Już mi lepiej. Proszę powtórzyć wszystko to, co pan powiedział poprzednio. Chcę się upewnić, że nie śniłam.

- Zdziwił go jej odzyskany w tak krótkim czasie spokój.

Powtórzył jej

cały przebieg ich rozmowy. Kiedy skończył nie poruszyła się.

Zapadło

milczenie. Nagle zapłonęło światło. Seymour zmrużył oczy.

Otworzył je po

chwili i skoczył błyskawicznie naprzód. Kobieta stała obok

tapczanu. Jego

automatyczny pistolet unosił się powoli w jej dłoni. Lufa dotknęła skroni

dziewczyny. W chwili kiedy pociągnęła za spust ręka Seymoura podbiła broń.

Pistolet wyleciał wysoko w górę i upadł z trzaskiem na podłogę.

Dym

wystrzału rozwiął się powoli. Z sufitu opadały drobniuteńkie

kawałki tynku.

- Czy pani oszalała?

Stała blada i groźna patrząc nań zлыми, iskrzącymi się oczyma.

- Kto pana upoważnił do wchodzenia w moje życie

Seymour podniósł pistolet.

- Przede wszystkim nie sędzę, aby potrzeba było specjalnego upoważnienia

w wypadkach tego rodzaju, po drugie nie rozumiem dlaczego

musi się pani

zastrzelić akurat w tej chwili i to z mojego przydziałowego pistoletu?

Wiedział, że ośmieszenie może być w tej sytuacji najlepszym ratunkiem. I rzeczywiście na twarz niedoszłej samobójczyni wystąpił ceglasty, żywy rumieniec.

- Wiem dlaczego pan to wszystko mówi, chce pan odwrócić moją uwagę od myśli o odebraniu sobie życia. Proszę mi wierzyć, że nie jestem histeryczką. Szczęśliwa jestem, że Jean nie zginął wówczas, podczas bombardowania. Wiem jednak, że nigdy nie będę mogła go zobaczyć. Po tym wszystkim, co stało się od czasu, kiedy widziałam go po raz ostatni, nie mogłabym go dotknąć. Jestem brudna, a brudu tego nic nie jest w stanie zmyć.

- Myli się pani - Seymour podszedł do niej i wziął ją delikatnie za ręce.

- Słyszałem pani opowiadanie i mogę szczerze powiedzieć, że gdyby była pani moją żoną i gdybym wiedział wszystko to, co mi pani mówiła, byłbym dumny.

Wszystko to, co pani uczyniła kosztem największej ofiary, na jaką uczciwa

kobieta może się zdobyć, uratuje w przyszłości życie tysiącom młodych,

dzielnych ludzi, którzy przybędą z pierwszą falą atakujących wojsk i zdani

będą wyłącznie na informacje uzyskane przez panią lub też, przez kogoś

innego równie odważnego i gotowego do poświęceń jak pani.

Mąż pani jest, o

ile podczas naszej krótkiej znajomości mogłem osądzić, człowiekiem o

wysokiej inteligencji i umiarze. Ma pani teraz dwie drogi przed sobą:

jedna: to w dniu spotkania powiedzieć mu o wszystkim, druga: to utrzymać go

w nieświadomości. Możecie przecież wyjechać do kolonii, lub gdzie indziej,

daleko od Francji, gdzie nie będzie wisiała nad panią możliwość obmowy ze

strony przypadkowych osób. Człowiek taki jak pani, mogący prowadzić

odpowiedzialną pracę wywiadowczą w najtrudniejszych warunkach, będzie mógł

chyba z równym powodzeniem pokierować własnym życiem. Nie jest sztuką

pałać sobie w głowę ze słowami: "nie mam innego wyjścia".

Sztuką jest tego

wyjścia poszukać.

- Czy naprawdę pan tak myśli?

- Proszę mi wierzyć, że każde słowo, jakie przed chwilą wypowiedziałem,

było wynikiem mego najgłębszego przekonania. Nie chcę patrzeć na tragedię

dwóch osób, które mogą być szczęśliwe.

- Dziękuję panu - wyciągnęła do niego rękę - pomyślę jeszcze nad tym.

Proszę mi przyrzec coś.

- Słucham panią.

- Proszę mi przyrzec, że nie powie pan mojemu mężowi o naszym spotkaniu.

Popatrzył na nią uważnie.

- Przyrzekam - powiedział wreszcie - ale w zamian za to, pani także musi się zobowiązać do czegoś.

Do czego?

- Da mi pani teraz słowo, że nie spróbuje pani zrobić żadnego głupstwa jak przed chwilą.

- Dobrze. Będę czekała na wiadomości od pana. Jeżeli wyczuje pan, że warto zaczynać życie od nowa, uwierzę panu. Sama zresztą nie wiem, co

zrobię... - nagle przerwała i twarz jej ponownie powlekła się kredową

barwą. - Zapomniałam o jednym. Przecież w tej chwili nie będę mogła

powrócić do poprzedniej roli! Czy pan wie co to znaczy?

Zasepił się. Rzeczywiście, sytuacja była trudna, z jednej strony nie mógł

poradzić jej, aby powróciła teraz w ramiona niemieckiego oficera, z

drugiej, nie wolno mu było namawiać kluczową osobę rozpracowującą CD-5, do ucieczki z terenu.

- Czy przełożeni nie będą chcieli zrozumieć trudności na jakie napotka pani obecnie?

- Nie wiem. Może? - Usiadła na tapczanie i ukryła twarz w dłoniach.

Seymourowi cała ta scena wydała się nagle niesamowita. Gdyby ktoś

opowiedział mu o tego rodzaju wypadku nie uwierzyłby, że podobne powikłania

mogą mieć miejsce w rzeczywistości. Niedawne emocje związane ze skokiem i

lądowniem, a później z obławą, która gdzieś na górze trwała nadal, tkwiły

w nim nadal. Spojrzał na czerwoną lampkę. Paliła się nadal, świadcząc, że

niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Przeniósł wzrok na zegarek. Była

dziesiąta rano. A więc całą noc i rano przesiedzieli tutaj. Chciał zrekonstruować sobie przebieg rozmowy od chwili zgaszenia światła, lecz

myśli poczęły mu się plątać tak, że nie umiał powiedzieć w końcu, które z

nich pierwsze wpadło na nazwisko Renard. Siadł ciężko na tapczanie, W tym

momencie czerwona lampka zgasła.

- Alarm minął. - Powiedział to półgłosem, jak gdyby nie chcąc jej

przeszkodzić w rozmyślaniach. Podniosła głowę i zobaczywszy, że sygnał

zgasł, zerwała się na nogi.

- Zaraz powinien nadejść Michel.

Rzeczywiście po chwili usłyszeli cichy dźwięk dzwonka alarmowego. Ktoś

zapukał czterokrotnie do drzwi. Seymour sięgnął po pistolet.

Marianne

uspokoila go przeczącym skinieniem głowy. Otworzyła drzwi. Do pokoju wszedł

człowiek, który towarzyszył jej podczas spotkania z kapitanem.

- Czy już po wszystkim?

- Tak. Łazili po polu przez całą noc. Dwóch weszło do domu, ale nie

siedzieli długo. Rozejrzeli się trochę po kątach i wypili ostatnią butelkę

"calvadosu". Potem jeden wlażł nawet do piwnicy. Zdaje mi się, że nie

szukał spadochroniarzy, a tylko chciał znaleźć butelkę wina. Cała historia

skończyła się dwie godziny temu, ale wolałem zaczekać.

Posiedźcie tu

jeszcze, a ja tymczasem pójdę na górę i poczekam na łącznika ze wsi. Pański

kolega powinien dać znak życia.

Wyszedł. Znowu zostali sami.

- Powinien pan się trochę przespać. Po zmroku rozpoczniemy marsz w

kierunku wybrzeża. Ma was przejąć łódź rybacka i dowieźć do czekającej

łodzi podwodnej. Radzę więc trochę wypocząć.

- A pani? Przecież będzie pani nam towarzyszyć.

- Ach, ja! Ja i tak nie będę mogła usnąć. Spotkamy się może jeszcze

kiedyś, a wtedy będę mogła panu podziękować. Zanim nie przemyśle

wszystkiego gruntownie nie chcę, aby Jean dowiedział się
czegokolwiek o
mnie.

- Mam myśl - Seymour patrzył na nią z głębokim współczuciem
- może

umówimy się gdzieś, w przyszłości. Ja przez ten czas dołożę
wszelkich

starań, aby wybadać sytuację. Jeżeli da mi pani znać, że
zdecydowała się

pani na spotkanie z mężem, powiem mu gdzie panią znaleźć.

- Dobrze, może tak będzie najlepiej. Jeżeli będę żyła i chciała się
z nim

widzieć, może mu pan powiedzieć, że spotkać mnie będzie mógł
każdego dnia,

po uwolnieniu Paryża, o godzinie dziesiątej wieczór pod Łukiem
Tryumfalnym.

Będę się tam modliła nad Grobem Nieznanego Żołnierza. A więc
niech pan

czeka na wiadomość.

Pochyliła głowę i cichym, złamanym głosem dokończyła - Nie
ma pan pojęcia

jak bardzo czuję się winna. Mogłam przecież wiedzieć, że on
żyje. Nikt nie

widział jego zwłok. Dałabym pół życia, by móc zobaczyć go i
powiedzieć, że

nie ciąży na mnie żadna skaza.

- Proszę mi wierzyć, że spełnię wszystko to, o co mnie pani
prosi.

Żałuję, że nie mogę dla pani uczynić więcej.

Wyciągnął do niej rękę. Przyjęła ją i uścisnęła mocno.

- Nie wiem, co bym zrobiła bez pana.

- Wierzę, że wszystko będzie dobrze.
- Podniosła na niego oczy pełne łez.
- Dziękuję panu. Nigdy nie zapomnę tych słów.

ÓRozdział VII:
Boże skarż Anglię!...

Tyle, tyle dni! Gdzie byłeś tak długo? Myślałam, że oszaleję. Jak można robić tego rodzaju żarty? Wiedziałaś przecież, że zamartwię się na śmierć.

- Na razie nie wyglądasz jak nieboszczka. Co do pierwszego zapytania, to mam tylko jedno wyjaśnienie: "sprawy służbowe".

Seymour trzymał ją za rękę i patrzył rozkochanym wzrokiem w jej oczy.

- Nienawidzę twoich spraw służbowych!
- Elżbieta miała minę rozkapryszonej dziewczynki.
- Muszę cię pocieszyć. Nie przypuszczam, żeby wysłali mnie gdzieś znowu.

- Wysłali? - podniosła na niego roześmiane oczy - jesteś niedobry. Na pewno nikt cię nigdzie nie wysyłała pojechałeś do jakiejś swojej starej miłości i boisz się teraz mi o tym powiedzieć.

Roześmiał się.

- Gdybyś wiedziała, gdzie byłem, na pewno byś inaczej mówiła.
- No powiedz gdzie? Powiedz! - przytuliła się do niego całym ciałem, ale zaraz odsunęła się i spojrzała mu uważnie w oczy.

- Jaka ja jestem głupia. Przecież wam wojskowym nie wolno nic opowiadać pod karą mąk piekielnych. Bardzo cię przepraszam. Nigdy już nie narażę cię na tego rodzaju zapytania. Muszę jednak stwierdzić, że wy mężczyźni jesteście teraz w doskonałej sytuacji. Nie mówię o tobie, ale o tych wszystkich żonaty. Wyjedzie sobie taki pan, gdzie go oczy poniosą, a potem powiada żonie: "Słuchaj, musiałem wyjechać z miasta w sprawach służbowych". Co gorsze, nie wolno go nawet pytać o to gdzie był. No ale skończmy już z tym wszystkim. Jeżeli rzeczywiście gdzieś tam musiałeś być, na pewno nie było ci zbyt wesoło. Wobec tego proponuję, abyśmy poszli się gdzieś rozerwać. Mam ochotę tańczyć na rękach. Myślałam, że cię już nigdy nie zobaczę. Nie masz pojęcia, jakie głupstwa chodziły mi po głowie.

- Dobrze - Seymour także chciał odprężenia po niedawnych przejściach - będziemy dziś szaleli. Mam zresztą trzy dni urlopu i przyrzekłem sobie, że każdą jego minutę spędzę z tobą - zasępił się nagle. - Mam nadzieję, że nie znalazłaś jeszcze żadnej pracy?

- Nie. Wiesz że to straszne. Demoralizujesz mnie. Gdyby mi ktoś pół roku

temu powiedział, że będę szczęśliwa z powodu braku pracy, gdyż umożliwi mi to przebywanie na pewien okres czasu z jakimś mężczyzną, nie uwierzyłamby.

- Naprawdę cieszysz się? - przytulił ją ramieniem.

- Gdybyś wiedział jak tęskniłam, gdybyś tylko wiedział...

Niespodziewanym ruchem chwyciła jego rękę i przytuliła ją do ust. Potem

wspięła się na palce i zarzuciwszy mu ramiona na szyję wpiła się ustami w

jego usta. Trwali tak, póki Seymour nie zatoczył się jak pijany i nie oparł

ręką o ścianę.

- Chodźmy - rzekł ochryłym głosem - chodźmy, bo obawiam się, że wcale

nie wyjdziemy.

Kiedy byli już na ulicy spytał:

- Dokąd chciałybyś pójść?

- Wszystko mi jedno. Mam ochotę upić się ze szczęścia.

- A więc chodźmy się upić - zawyrokował. - Niedaleko stąd jest dobry

lokal z orkiestrą i jakim takim wyborem trunków.

W tym czasie Jan, który na prośbę Renarda pozostał w biurze, prowadził z

tym ostatnim rozmowę.

- Niech mi pan opowie w porządku chronologicznym wszystko to, co przeżył

pan podczas pobytu we Francji.

- Zasadniczo niewiele mam do powiedzenia. Wylądowałem gładko, prawie na

głowę oczekującego mnie łącznika, a później siedziałem całą
dobę w ukryciu
czekając na możliwość skontaktowania się z Seymourem. W końcu
przyjechał
jakiś człowiek na rowerze i udałem się z nim do jakiegoś domku
na skraju
lasu. Tam oczekiwał już kapitan Seymour w towarzystwie jakiejś
pani. Zdaje
mi się, że jest ona kierowniczką akcji na Sektorze CD-5.
Przesiedzieliśmy
we trójkę do wieczora w głębokim, doskonale urządzonej
schronie. W nocy
wsiedliśmy na rowery i z wielkim, przyznaję, strachem udaliśmy
się w stronę
morza. Na jakieś pięć kilometrów przed wybrzeżem zsiadliśmy i
pozostawiliśmy rowery w domu, którego położenia nie umiałbym
określić ze
względu na nieznajomość terenu i panujące ciemności. Resztę
drogi odbyliśmy
pieszo. Jak nam się udało, tego nie wiem. Wiem natomiast, że
cały ten
obszar jest gruntownie zaminowany i pilnie strzeżony. Osobiście
uważam, że
tego rodzaju przeprawy są wyczynem organizacyjnym
Francuskiego Ruchu Oporu.
Ludzie ci pracują z niesłychanym poświęceniem. W naszym
wypadku, na
przykład, jakiś młody człowiek posuwał się cały czas o mniej
więcej trzysta
metrów przed całą grupą służąc widocznie za obiekt dla
ewentualnych

zasadzek nieprzyjaciela. Kobieta, która była z nami, opowiadała mi, że przeszedł on już tę drogę około stu pięćdziesięciu razy... Na brzegu wsiedliśmy do małej łodzi. Morze było wysokie i obawiałem się przez cały czas, że łódka się przewróci. Sam nie wiem jakim cudem dotarliśmy do czekającej na nas łodzi podwodnej. Nie wyobrażałem sobie, aby tego rodzaju spotkania były możliwe bez użycia jakichkolwiek świateł sygnałowych i przyrządów. Dalszy ciąg naszej podróży jest panu znany.

- Tak. Czy nie mógłby mnie pan wyjaśnić, kim jest młoda dama przebywająca ostatnio często w towarzystwie pańskiego przyjaciela?

Pytanie to padło tak nieoczekiwanie, że Jan na chwilę stracił mowę.

- Czy chodzi panu o miss O'Connor?

- Tak. Mam wrażenie, że tak właśnie brzmi jej nazwisko. Czy nie mógłby

pan podać mi bliższych danych o tej pani. Oczywiście - tu głos wesołego

zazwyczaj kapitana nabrał metalicznego tonu - muszę pana prosić o zupełną

dyskrecję wobec kapitana Seymoura. Mógłby on zrozumieć moje zainteresowanie

zupełnie opacznie.

- Nie potrzebuje mi pan przypominać, kapitanie Renard, o tym, że jestem

oficerem wojsk alianckich, a przede wszystkim żołnierzem polskim. Nie przypuszcza pan chyba, że jestem za mało inteligentny na rozumienie pewnych zasadniczych faktów związanych z przysięgą wojskową.

Powiedział to ostrym tonem. Miał wewnętrzne przekonanie, że jest dobrym i odpowiedzialnym żołnierzem i nie znosił ciągle ponawianych próśb Renarda o dyskrecję. Ku jego zdumieniu ten ostatni rozpogodził się.

- Brawo kapitanie, brawo! Takiej właśnie odpowiedzi spodziewałem się po panu. Proszę mi się jednak nie dziwić. To, co chciałbym panu powiedzieć, dotyczy pańskiego dobrego przyjaciela. Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że przed zawierzeniem pewnych nurtujących mnie podejrzeń, chciałem upewnić się, czy mogę liczyć na pańską współpracę. Uprzedzam, że cała ta sprawa może się dla kapitana Seymoura zakończyć dość... hm... nieprzyjemnie, tak... nieprzyjemnie - powtórzył i uważnie spojrzał na Jana. Ten ostatni wpatrzył się weń otwartymi ze zdumienia oczyma.

- Nie chce pan chyba powiedzieć, że Seymour jest szpiegiem niemieckim.

Nawet gdyby przedstawił mi pan niezbite dowody...

- Chwileczkę, drogi przyjacielu, chwileczkę. Czy powiedziałem panu, że

uważam Mr. Seymoura za szpiega? Nie. Chodzi mi o zupełnie co innego.

Pragnąłbym, aby mi pan pomógł w... hm... zorientowaniu się, tak, zorientowaniu się w sytuacji. Bardzo jestem ciekawy z natury, a teraz w

czasie wojny cecha ta rozwinęła się u mnie do niebywałych po prostu

rozmiarów. Jeżeli myślę o kapitanie Seymour jako o człowieku, którego

spotkać może z naszej strony pewna przykrość, to mam na myśli jedynie

przykrość natury czysto moralnej, taką na przykład jaka spotyka człowieka,

który utraci ukochaną kobietę, lub przekona się, że miłość jej jest jedynie

grą.

Jan gwizdnął przez zęby.

- A więc o to panu chodzi! Że też wcześniej nie domyśliłem się tego. Czy

ma pan jakieś przesłanki, na podstawie których mógłby pan przypuszczać, że ta młoda osoba jest nieuczciwa.

- Szczerze przyznaję, że nie mam najmniejszej pewności, co do tego. Nie

wolno nam jednak zapominać, że może ona być na usługach nieprzyjacielskiego

wywiadu. Mógłbym kazać ją śledzić naszym ludziom, ale tego rodzaju

obserwacja nie zawsze daje wyniki, a poza tym mogłaby wzbudzić jej uwagę.

Dlatego wolę zwrócić się bezpośrednio do pana i omówić z panem sposób na "rozpracowanie" tej damy.

- Oczywiście, zrobię wszystko, co tylko jest w mojej mocy, aby panu pomóc, nie wiem tylko, czy będę na coś przydatny. Seymour nie bardzo lubi mówić o swoich miłośkach (czemu się zresztą wcale nie dziwię).

- Ależ drogi kapitanie - Renard roześmiał się wesoło - wydaje mi się, że źle mnie pan zrozumiał. Nie chcę prosić pana o szpiegowanie swego przyjaciela, ani też o wdzieranie się w jego prywatne... hm... przeżycia.

Chodzi mi o obmyślenie jakiegoś planu, który pozwoliłby nam sprawdzić, czy miss O'Connor jest lojalnym obywatelem tego kraju, czy też... hm...

nielojalnym. Wczoraj wieczorem myślałem o tym wszystkim przez dłuższy czas i wymyśliłem sobie jeden malutki planik. Otóż, jeżeli chodzi o nasze możliwości na terenie Anglii, to nie jesteśmy w stanie uzyskać informacji o

poruszających się w chwili obecnej na tym terenie szpiegach.

Rozumie pan,

co mam na myśli? Jeżeli dowiadujemy się o jakimś agencie, staramy się urządzić go tak, aby stracił swobodę ruchów. Natomiast na kontynencie

sprawa przedstawia się o wiele lepiej. Nie znam przebiegu tych ruchów dokładnie, ale wiem, że możemy w przybliżeniu ustalić, jakie informacje zostały zdobyte przez nieprzyjaciela. Oczywiście nie we wszystkich wypadkach i nie zawsze. Istnieją jednak duże możliwości sprawdzenia, czy jakaś fałszywa wiadomość specjalnie podana obcemu agentowi przedostała się za Kanał.

- Rozumiem - Jan gwizdnął z cicha przez zaciśnięte zęby. - Chciałby pan przekazać miss O'Connor jakąś nieprawdziwą wiadomość o naszych przygotowaniach inwazyjnych, a potem sprawdzić, czy wiadomość ta znajduje się w rękach nieprzyjaciela.

Renard rozpromienił się.

- O to mi właśnie chodzi, panie kapitanie, o to mi właśnie chodzi.

- I chciałby pan mnie użyć do tego celu?

- Taki właśnie miałem zamiar.

- Jestem oczywiście do pana dyspozycji, chociaż, szczerze mówiąc, wolałbym aby ta pani okazała się najzwyklejszą śmiertelniczką.

- I ja także. Cóż, kiedy czasy jakie przeżywamy zmuszają nas do patrzenia na każdego człowieka, jak na przypuszczalnego wroga.

W tej chwili na biurku zadzwieczał telefon. Renard uniósł słuchawkę. Po

twary jego przebiegł wyraz zadowolenia.

- Ach. Kapitan Seymour. Bonjour, monsieur Seymour! Jak się pan czuje na

swoim maleńkim urlopie?... Tak, to doskonale. Bardzo się cieszę... Kogo

poprosić? Kapitana Smolarskiego?... W tej chwili, właśnie jest u mnie i

rozmawiamy sobie o starych czasach... dobrze... oddaję mu głos...

Podał słuchawkę Janowi.

- Hallo, czy to ty John?

- Tak, stary rozpustniku, to ja.

- Może byś wpadł na pół godzinki do "Esplanady"? Jestem w towarzystwie

miss O'Connor i bardzo nam ciebie brak. Muszę przyznać, że moja towarzyszka

dopomina się o ciebie. Powiada, że chciałaby ci podziękować za uratowanie.

- Prośba pięknej kobiety jest dla mnie rozkazem. Za kwadrans pojawię się

tam. Mam nadzieję, że zamówisz przed moim przyjściem butelkę "White Horse".

Jestem dziś w takim nastroju, że mógłbym wypić na jednym posiedzeniu

całoroczną produkcję gorzelnianą Wysp Brytyjskich.

W słuchawce zadźwięczał śmiech.

- Oczekujemy cię za kwadrans. Pamiętaj, że punktualność jest najlepszym

sprawdzianem dyscypliny wojskowej, jak powiada Renard.

- Dobrze. Przyjadę na pewno.

Powiesił słuchawkę.

- Okazja nadarza się nawet łatwiej niż przypuszczałem. Seymour siedzi w tej chwili w "Esplanadzie" wraz ze swoją panią i prosi mnie, abym przyłączył się do towarzystwa. Obiecałem im, że zaraz tam przyjadę. Może uda mi się przemycić po pijanemu jakąś decydującą o losach wojny tajemnicę.

Roześmieli się obaj.

- A teraz - Renard spoważniał- niech pan sobie dobrze zapamięta to, co chciałbym panu powiedzieć. Otóż, jeżeli pan będzie miał okazję wtrącenia kilku słów tak, aby Seymour ich nie słyszał. Proszę powiedzieć, że był pan jako skoczek we Francji. Wylądował pan pod Cherbourgiem i czekał przez dwa dni na wiadomości o planie fortyfikacji portu. To, co pan otrzymał, było zupełnie nie zadowalające i musi pan jechać jeszcze raz za dwa tygodnie.

Może jej pan nawet zaproponować współpracę w wywiadzie.

Oczywiście każe jej

pan dać słowo honoru, że nie powie o pańskiej propozycji słowa do Seymoura.

- Dobrze. Postaram się wszystko załatwić tak, jak trzeba,

- No to, do jutra.

- Do jutra.

Kiedy wysiadał z taksówki przed drzwiami dancingu, przekonał się, że nie ma przy sobie ani pensa.

- Może mnie pan zawiezie z powrotem do gmachu, sprzed którego wyruszyliśmy - zwrócił się do szofera: - Zapomniałem pewnej rzeczy.

Zawrócili. Renard przyjął go ze zdziwieniem.

- Myślałem, że coś się stało, ale to dobrze, że pan przyjechał. Otrzymałem meldunek, który zdaje się potwierdzać w pewnej mierze moje przypuszczenia.

Wyjął z kasy plik banknotów i wręczył go Janowi.

- To są pieniądze przeznaczone na przeprowadzenie pańskiego zadania.

Proszę się nimi zupełnie nie krepować. Na to właśnie są.

Obliczenie zrobimy

sobie, kiedy uzna pan to za stosowne.

- To bardzo dobrze - Jan roześmiał się wesoło - obawiałem się, że mój

budżet może załamać się przy tego rodzaju eskapadach.

Kiedy zdejmował palto w szatni "Esplanade", podszedł doń Seymour.

- Obawiałem się już, że nie przyjdiesz. Ja sam trochę za dużo wypilem.

Niestety moja towarzyszka jest w doskonałym humorze i pragnie zrobić rajd

na jeszcze jeden dancing. Mam nadzieję, że zdejmiesz w połowie odpowiedzialność z moich ramion. Jan wziął go pod ramię i

wszedł z nim

razem do sali. Stolik jaki zajmowali znajdował się w zacisznej loży,

odgródzonej grubą kotarą od reszty lokalu. Elżbieta siedziała studiując

kartę, piękna i spokojna w błękitnej, doskonale uszytej sukni wieczorowej.

- Dobry wieczór, kapitanie. Myślałam, że już nigdy się nie spotkamy.

Czyżby naprawdę żałował pan tego, że wydobył mnie pan z tamtej piwnicy?

Jan skłonił się.

- Przeciwnie. Uważam to za jedyny mój atut, którym będę się posługiwał pukając do bramy nieba.

Usiedli. Seymour zadzwonił na kelnera.

- Butelkę "White Horse" i jakieś zakąski. Co byś pragnęła zjeść Elżbieto?

- Ja? Nic. Najchętniej napiłabym się kawy.

- Dobrze, a więc proszę trzy kawy i whiskey.

Kiedy kelner zniknął, Seymour przeprosił towarzystwo i wyszedł za nim.

- Muszę sobie przyłożyć do głowy kawałek lodu. Zdaje się, że przeholowałam.

Zostali sami. Elżbieta zwróciła się z promiennym uśmiechem w stronę Jana.

- Cóż tam słyhać, kapitanie, w wielkim świecie? Kiedy idziemy na wojenkę?

- Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł odpowiedzieć pani na to pytanie. Mnie samemu także zbrzydł już Londyn.

- Ach! Więc pan cały czas siedzi w Londynie? To straszne. Zdawało mi się, że kapitan Seymour wspominał mi o jakimś pańskim wyjeździe.

- Owszem, byłem na małej wycieczce krajoznawczej - zaśmiał się Jan - ale była ona przeprowadzona w celach służbowych. Trudno więc nazwać ją wypoczynkiem.

- Jaki pan niedobry. Myślałam, że podróż po Anglii, nawet w celach służbowych da panu wiele przyjemności.

- Kiedy ja nie byłem... - uderzył się ręką w usta jak człowiek, który omal że nie powiedział za wiele. W tym samym momencie orkiestra rozpoczęła tango. Wstał i skłonił się przed młodą kobietą.

- Czy mogę prosić?

Kiedy znaleźli się na parkiecie objął ją delikatnie i poprowadził. Po chwili oparła głowę na jego ramieniu.

- Kręci mi się trochę w głowie. Zdaje się, że i ja także nieco za wiele wypiałam.

- Czy mam odprowadzić panią do stolika?

- Za nic w świecie. Jest pan taki wielki i silny, że może mnie pan uratować, kiedy się potknę.

Przywarła doń tak mocno, że z trudnością tylko mógł poruszać się po natłoczonym parkiecie. Kiedy dźwięki melodii rozplynęły się w zadymionym powietrzu, trwała tak jeszcze chwilę, wreszcie oderwała się od niego, jak gdyby z wysiłkiem i poszła w stronę łoży.

Usiedli. Po chwili zjawił się kelner.

- Ten pan, który był razem z państwem, kazał mi przeprosić panią i pana.

Czuł się bardzo źle i pojechał do domu.

- Biedny Seymour - zaśmiał się Jan - tak bardzo chciał opić swój powrót i zabawić się na całego. No, ale trudno, gdzie jest wojna muszą być i trupy.

Czy mam panią odwiedzić teraz do domu? - zwrócił się do Elżbiety. Spojrzała nań z lekkim wyrzutem.

- Jeżeli towarzystwo moje męczy pana, nie pozostaje mi nic innego, jak poddać się losowi.

- Ależ wprost przeciwnie. Jestem do pani dyspozycji. Nie mogłem nawet marzyć o miłszym spędzeniu wieczoru.

- No to chodźmy stąd. Tu jest za poważna atmosfera. Chciałabym poznać Londyn od strony mniej arystokratycznej.

- Dobrze. Zaprowadzę panią do lokalu, gdzie jest może mniej wytworknie, ale za to zabawa odbywa się w temperaturze o wiele wyższej.

- Doskonale - ścisnęła lekko jego dłoń. - Oddaję się panu w opiekę.

W taksówce milczeli oboje przez chwilę. Elżbieta oparła się miękko o ramię towarzysza.

- Zdaje mi się jednak, że naprawdę wypiałam za dużo. Nie wezmę teraz do ust nic poza lemoniadą. - Podniosła kołnierz płaszcza - brrr... zimno mi.

- Niestety nie mogę pani mimo najszczerzych chęci pomóc.

- Może pan. Niech mnie pan obejmie ramieniem. Tylko proszę być grzecznym.

Jan przytulił ją delikatnie do siebie. Oparła się o niego i ruchem sennego dziecka położyła mu głowę na ramieniu.

- Niech pan powie szoferowi, żeby nas jeszcze trochę powoził. Chciałabym otrzeźwieć przed wejściem.

Jan zapukał w szybę.

- Piętnaście minut spaceru po mieście.

Szofer kiwnął głową nie odwracając się.

Elżbieta przymknęła oczy. Głowa jej osunęła się Janowi na piersi. Sennym

ruchem uniosła rękę i owinęła mu ją wokół szyi. Leżała teraz prawie na jego

kolanach, a usta jej znajdowały się tuż przy jego ustach. Jan pochylił się

tak, że usta jego znalazły się tuż nad jej twarzą. Widocznie wyczuła to,

gdyż nagle uniosła się i przywarła do nich wargami. Przycisnął ją do siebie

mocno i trzymał tak przez dłuższą chwilę. Kiedy ją puścił, opadła na

poduszki. Przez dłuższy czas nie mogła złapać tchu. Wreszcie przysunęła się

do niego i szepnęła gorąco.

- Jedźmy już!

Wysiedli przed niskim wejściem jednego z nieco zakonspirowanych klubów

londyńskich, gdzie żołnierze urlopowani z frontu mogli sobie pozwalać w

czasie pobytu na znacznie więcej, niż to przewidywały brytyjskie przepisy o moralności publicznej. Sala była mała i niska. Wokół niej znajdował się krąg ocienionych kotarami łóż. W podziemiu było kilka starannie urządzonych gabinetów. Do jednego z nich Jan zaprowadził Elżbietę.

Usiedli oboje na stojącej za stolikiem otomanie.

- Proszę nam dać butelkę dobrego wina - zwrócił się Jan do oczekującego przy drzwiach kelnera. - a potem coś do jedzenia. Proszę ustalić menu według pańskiego uznania.

- Rozumiem, panie kapitanie - kelner zniknął bezszelestnie. Jan odwrócił się i spojrzał w kierunku Elżbiety. Była bardzo piękna, tak piękna, że w pierwszej chwili wszystkie przypuszczenia Renarda wydały mu się niedorzeczne. Oczy miała na wpół przymknięte, a czerwone jej usta były nieco rozchylone. Nie patrzyła nań.

- Wie pan, wstydzę się bardzo tego dziwnego odruchu. Nie powinnam się tak zachowywać, ale szumi mi w głowie. Proszę bardzo, niech pan zapomni o tym wydarzeniu.

- Będę się starał, ale nie mogę ręczyć za to. Jest to jedno z moich najmilszych wspomnień.

- Mój Boże, jacy ci mężczyźni są podli - w głosie jej dźwięczał śmiech -

niech pan z łaski swojej włączy ten aparat - wskazała na głośnik -
Jan

przekreślił kontakt. Z paszczy głośnika popłynęły dźwięki
dyskretnego
slowfoxa.

- Czy podły mężczyzna może zaprosić panią do tańca?

- Trudno. - Wstała, powoli zdjęła narzutkę. - My kobiety
jesteśmy jedynie
igraszką w waszych rękach.

W tej chwili wszedł kelner niosąc zamówione wino.

- Niech pan nam przyniesie następne danie za jakieś pół godziny

- Jan

skinął głową w odpowiedzi na pytające spojrzenie kelnera - teraz
będziemy

tańczyć, a beef spożyty na zimno przestaje być beefem.

Tańcząc przesunął się niepostrzeżenie w stronę drzwi i lekkim
ruchem

przełożył na nich małą zasuwkę. Wiedział że od tej chwili nad
drzwiami

gabinetu zapłonie małe czerwone światełko oznaczające, że ludzie
znajdujący

się w nim nie życzą sobie niczyich odwiedzin.

Kiedy przebrzmiał ostatni akord, podeszli do stołu.

- Miss O'Connor - rzekł Jan - chciałbym wznieść toast za
zdrowie

najpiękniejszej kobiety jaką znam. Toast za zdrowie miss
O'Connor.

- Przesadza pan, ale nie mam nic przeciwko temu, każda kobieta
lubi,

kiedy jej się mówi tego rodzaju rzeczy, chciałabym tylko, aby nie
mówił pan

do mnie w tak oficjalny sposób. Proszę mnie nazywać po prostu Elżbietą.

- W moim kraju - rzekł Jan skłoniwszy się, jest zwyczaj, że gdy dwie osoby chcą sobie mówić po imieniu, wtedy piją wspólnie kieliszek alkoholu i potem całują się trzykrotnie.

Pogroziła mu palcem.

- Nie dziwię się wobec tego, że polska ma prawie największy przyrost naturalny w Europie, no ale trudno. Ponieważ jestem w pana towarzystwie zastosuję się do zwyczajów tam panujących.

Jan nalał dwa kieliszki wina. Wypiła. Podeszła do niego i przymykając oczy uniosła głowę. Spojrzał na jej nagie ramiona. Sukni, w którą była ubrana, nie można było nazwać skromną. Pochylił się i lekko pocałował ją w policzek. Zapach jej ciała odurzył go. Wziął ją w ramiona i począł pokrywać pocałunkami jej zarumienioną twarzyczkę. Broniła się słabo, w końcu ją samą ogarnął pożar. Przywarła do niego i oddawała pocałunki coraz namiętniej.

Pociągnął ją na sofę. Jedno ramiączko sukni zsunęło się obnażając małą dziewczęcą pierś. Jan zsunął drugie i począł całować jej obnażone ciało póki kobieta nie krzyknęła cicho i nie zdarła z siebie sukni. Mała lampka

na stoliku rzucała nikłe światło na pokój. Z głośnika płynęły
słowa
smutnej, tęsknej piosenki. Kiedy ocknęli się była prawie północ.
Po raz
ostatni Elżbieta przytuliła się do Jana i odsunęła od niego
zarumieniona i
drżąca.

- Odwróć się.

Szybko naciągnęła suknię i usiadła przy nim na sofie. Objęła go
rękoma za
szyję i zajrzała mu w oczy.

- Posłuchaj. Nie chcę być stereotypowa, ale chciałabym
wiedzieć, co
myślisz o mnie.

- Dlaczego? - Jan pogłaskał ją po włosach. - Czy uważasz, że
oddając się
mężczyźnie tracisz u niego kredyt moralny do tego stopnia, że
zmuszona
jesteś potem dowiadywać się o skutkach jakie wywarł twój
uczynek?

- Nie. Nie o to mi chodzi. Chciałabym po prostu wiedzieć, co
myślisz o
mnie.

- Właśnie w tej chwili myślę o tobie i dochodzę powoli do
pewnego
wniosku, ale zanim przejdę do omawiania propozycji, którą
zamierzam ci
uczynić, muszę ci wyjawić kilka szczegółów dotyczących mej
pracy i
niedawnych przeżyć.

Jan mówił długo. Słuchająca go kobieta nie przerwała mu ani jednym słowem.

Kiedy rankiem następnego dnia powtórzyła zasłyszane wieści pewnemu człowiekowi w Soho, ten ostatni zamyślił się głęboko. Po jej wyjściu podszedł powoli do okna i w zadumie popatrzył na morze ciągnących się aż po krańce widnokregu dachów.

- Gott strafe England - mruknął do siebie - lecz, czy można zaufać inteligencji kobiet?

Odwrócił się i powoli wypisał na małej kartce papieru pewien szyfr.

ÓRozdział Viii:
ÓLądujemy szóstego
czerwca...

W południe dnia dziesiątego maja, naczelny dowódca połączonych armii alianckich na terenie Wielkiej Brytanii, Generał Dwight D. Eisenhower siedział przy biurku w swoim gabinecie pisząc list do szefa Sztabu Armii Stanów Zjednoczonych Generała George C. Marshalla. Pisał powoli, namyślając się nad każdym słowem, gdyż zdania, które kładł w tej chwili na papier,

miały znaczenie wiążące nie tylko dla niego, lecz i dla milionów ludzi

pozostających pod jego rozkazami.

Przebiegł oczyma najważniejszy urywek listu.

"...nie mam żadnych wątpliwości, co do gotowości naszych wojsk. Są one

doskonale przygotowane do walki w specyficznych warunkach i zdolne do

natychmiastowej akcji. Wśród żołnierzy daje się odczuć pewne zniecierpliwienie. Wielu z nich znajduje się na Wyspach

Brytyjskich prawie

od dwóch lat. Wszyscy marzą o tym, aby raz już mieć poza sobą najważniejszy

moment. Istnieje mniemanie, że po usadowieniu się na kontynencie potrafimy

dać sobie szybko radę z wyczerpanym nieustannymi atakami z powietrza i

wojną na froncie wschodnim przeciwnikiem. Przyznać muszę, że ja sam i

większość sztabowców, zarówno naszych, jak brytyjskich, podziela to zdanie.

Oczywiście, można jeszcze poczekać, lecz sądzę, że zarówno pora roku, jak i

osłabienie przeciwnika ostatnimi wydarzeniami na wschodzie dają nam do ręki

duże atuty. Prócz tego, ciągle spędza mi sen z oczu myśl o postępie

uczonych niemieckich w produkcji pocisków atomowych i rakiet.

Co prawda

wywiad nasz posiada dość dokładne informacje na ten temat, lecz są sprawy,

które na pewno wymykają się spod jego obserwacji. Korzystając więc z

pełnomocnictw uzyskanych podczas konferencji "Sextant" w Cairo i

otrzymanego wtedy rozkazu, który mówił:

"...wkroczy pan na kontynent europejski i wraz z innymi narodami

alianckimi podejmie pan operacje, mające na celu wdarcie się do serca

Niemiec i zupełne zniszczenie ich sił zbrojnych..."

Mam zamiar przystąpić do ustalenia, na dzisiejszej konferencji z dowódcami brytyjskimi, ostatecznej daty ataku. Wywiad nasz dzięki ofiarnej

pracy tysięcy ludzi, zdołał zebrać zupełny obraz umocnień i stanu armii

przeciwnika. Plan nasz, jak to już panu kilkakrotnie szczegółowo opisywałem, polega na wysadzeniu silnych oddziałów początkowych, które

zabezpieczą pole dla lądujących za nimi dywizji pancernych.

Wojska

spadochronowe, wysadzone na zapleczu frontu, odegrają rolę ognia zaporowego

nie pozwalającego nieprzyjacielowi na szybkie ściągnięcie rezerw. Dziś

jeszcze ustalę niektóre fragmenty akcji, podczas konferencji, którą będę

miał z Gen. Montgomery..."

Generał złożył list we czworo i wsadził go do długiej niebieskiej koperty. Zadzwonił na adiutanta.

- Proszę wysłać to natychmiast specjalnym samolotem do Washingtonu.

Chciałbym, aby jutro rano list ten znalazł się w Sztabie Generalnym.

Równocześnie nada pan szyfrowaną depeszę.

Napisał kilka zdań na kartce papieru i podał ją podwładnemu. Spojrzał na zegarek.

- Niech zaraz podjeżdża samochód. Jedziemy do Brytyjskiego Sztabu Generalnego.

Po kilkunastu minutach siedział już za stołem w wielkiej sali konferencyjnej. Przez dziewięć godzin trwała rozmowa dwóch ludzi, na których barkach walczące demokracje złożyły odpowiedzialność za wynik największej operacji wojennej w dziejach świata. Liczni oficerowie do zadań specjalnych przedkładali kolejno stan i możliwości swoich resortów, oraz ich stopień przygotowania.

Wreszcie około północy Montgomery zabrał ponownie głos.
- A więc, proszę panów, z tego, co usłyszeliśmy dzisiaj, wywnioskować można tylko jedno: jesteśmy gotowi. Teraz pozostaje nam jedynie omówienie daty ataku. Czy zgadza się pan ze mną, generale? - zwrócił się do Eisenhowera.

Amerikanin potwierdził zdecydowanym ruchem głowy.

- Zgadzam się z panem w zupełności.

Anglik mówił dalej.

- Pod uwagę musimy wziąć w pierwszym rzędzie dane meteorologiczne. Nie

wszystkie okręty, jakie mamy do dyspozycji, nadają się do operacji na wzburzonym morzu. Kanał La Manche potrafi być czasem równie niespokojny jak najburzliwsze morza świata. Nie możemy zaryzykować więc, że w dzień po wyładowaniu pierwszych oddziałów burza uniemożliwi nam łączność z nimi.

Musimy także mieć na uwadze fakt, że raz rozpoczętej operacji nie możemy

przerywać. Abstrahując od znaczenia moralnego tego rodzaju niepowodzenia,

odbiłoby się to fatalnie na wojskowej stronie przedsięwzięcia, gdyż

nieprzyjaciel wiedziałby już, gdzie nas może oczekiwać i jak wyglądać

będzie lądowanie. Tak więc, znikłby element zaskoczenia, niezwykle ważny

dla powodzenia tego rodzaju operacji. Poza tym wszystkim, pamiętać musimy,

że wyładunek pierwszych oddziałów odbywał się będzie na pełnym morzu.

Dlatego też, sędzę, że najwłaściwsze byłoby lądowanie przed świtem w

momencie, kiedy meteorologowie zapewnią nas, że mamy przed sobą, co

najmniej kilka dni względnej pogody.

- Oczywiście!

Eisenhower otarł zroszone potem czoło. Na sali unosiła się atmosfera

wielkich decyzji. Siedzący za długim stołem ludzie słuchali z zapartym oddechem. Dowódca amerykański milczał przez chwilę, wreszcie rzekł:

- Według powziętych przez nas uprzednio planów, pierwsze wylądować mają na zapleczu dywizje wojsk spadochronowych. Równocześnie, lotnictwo przystąpi do kruszenia fortyfikacji nadbrzeżnych. Wstępne bombardowanie artyleryjskie zostanie przeprowadzone przez ciężkie jednostki floty i wreszcie, po nim nastąpi lądowanie amfibialnych jednostek piechoty.

- Tak. Plan ten został szczegółowo opracowany już od miesiący i nie widzę powodu, aby zmieniać w nim cokolwiek. Czy ktoś z panów ma jakieś zastrzeżenia?

Spojrzał na dwa rzędy skupionych twarzy. Odpowiedziało mu milczenie.

...a więc - ciągnął dalej Montgomery - pozostaje nam tylko ustalenie daty i wydanie odpowiednich rozkazów. Jednostki przeznaczone do wykonania zadań pozostają już od dawna w gotowości bojowej i nie przypuszczam, aby przygotowanie ich było niedostateczne. - Zwrócił się do dowódców poszczególnych dywizji mających wziąć udział w pierwszym rzucie inwazji:

- Ile czasu potrzeba nam na skoncentrowanie wojsk i przygotowanie ich do uderzenia?

- W ciągu dwunastu dni możemy doprowadzić wszystko do ostatecznego punktu. Wypełnienie luk w oddziałach, spakowanie wojsk na samochody i odwiezienie ich na punkty załadunku wymagać będzie koło trzech, czterech dni. Oczywiście, w razie konieczności da się to wykonać dużo szybciej.

Prawdę mówiąc, wszystko jest już od dawna przygotowane - odparł szef transportu Armii Amerykańskiej. Jego brytyjski kolega był tego samego zdania.

Montgomery spojrzał na Eisenhowera.

- Jak pan przypuszcza, generale, czy trzy tygodnie czasu nam wystarczą?

- Tak. - Odpowiedź Amerykanina była lakoniczna. Mówiąc myślał o latach nadludzkiej pracy i miesiącach gigantycznych planowań, które pozwoliły mu wypowiedzieć to jedno decydujące słowo. Często myślał o dniu, w którym będą musieli powziąć ostateczną decyzję, on i Montgomery. Nigdy nie przypuszczał, że przyjdzie im to tak łatwo. Tymczasem sytuacja dojrzała sama i nie było już siły na kuli ziemskiej, która mogłaby zmienić bieg

przeznaczenia. Za trzy tygodnie ludzie na całym świecie wstając rano

dowiedzą się, że wojska alianckie uderzyły. Nagle przypomniało mu się, że w

Australii będzie wtedy wieczór, a w Stanach Zjednoczonych północ.

- Boże! O czym ja teraz myślę! - roześmiał się w duchu. Czuł jednak, że

nerwy ma napięte do ostatecznych granic. Za trzy tygodnie serca milionów

matek w Ameryce, w Anglii, Australii, Polsce i tylu innych krajach zabijają

ponownie z niepokojem. Ich synowie ruszą do ostatecznej walki, aby pomostem

utworzonym ze swych ciał dać drogę pokoleniom, które nadejdą po nich.

Daleko w Rosji, miliony ludzi czekały na pomoc. Już trzeci rok wytrzymywali

Rosjanie cały napór niemiecki i powoli, po okresie początkowego załamania,

powracali na swe ziemie, pchając przed sobą nadludzkim wysiłkiem,

okupującego ich kraj nieprzyjaciela. Gdyby inwazja na zachodzie nie

powiodła się, wszystkie wolne dywizje niemieckie pognałyby po wspaniałych

autostradach Rzeszy na wschód. I wtedy... Znowu ogarnęły go wątpliwości. A

jeśli się coś nie uda? Jeśli nie wzięli czegoś pod uwagę? jeśli?...

Uniósł

głowę i spojrzał na Montgomery'ego.

- Czy nie sądzi pan, generale, że warto by raz jeszcze wysłuchać szczegółowego raportu o działalności naszego wywiadu?

- Ależ oczywiście, chociaż wierzę, że jesteśmy aż nadto dobrze poinformowani o ruchach przeciwnika... - Montgomery zwrócił się do siedzącego przy nim wysokiego człowieka ubranego w mundur generała dywizji.

- Może pan, generale... przedstawi nam w szczegółowym zarysie osiągnięcia w pracy na terytorium okupowanym przez przeciwnika, oraz obraz tego, co dzieje się u nas.

Człowiek, do którego skierowane były te słowa, chrząknął i suchym, bezbarwnym głosem rozpoczął:

- Jeżeli chodzi o najbardziej nas interesujące w tej chwili odcinki pracy

wywiadu alianckiego, to na podstawie znanych mi raportów oświadczyć muszę,

że stan fortyfikacji nieprzyjaciela pomiędzy Le Havre, a Cherbourgiem, jest

nam najdokładniej znany. Podczas ostatnich trzech tygodni wydrukowaliśmy

kompletne mapy tego terenu. Wszystko to, co może mieć jakąkolwiek wartość

dla atakujących jednostek naszych armii, jest tam zaznaczone.

Mapy zostaną

w przeddzień lądowania rozdane odpowiednim oficerom.

Specjaliści

przeegzaminują dowódców i pouczą ich w razie najmniejszych wątpliwości. W

czasie podróży, a więc już na pokładach okrętów żołnierze dowiedzą się, jak wygląda odcinek wybrzeża, na którym wylądują. Ponieważ plan lądowania jest nader ścisły i podaje dokładne miejsce debarkacji dla każdej, najmniejszej nawet jednostki, nie będzie sprawą trudną dać naszym oficerom i żołnierzom obraz zasadniczych przeciwności na jakie natrafia, nie dając im równocześnie spojrzenia na całokształt planu. Chodzi o to, aby całość projektu spoczywała w umysłach jak najmniejszej ilości ludzi. Nawet oficerowie pracujący obecnie przy różnych fragmentach planu, nie wiedzą, czy chodzi nam właśnie o ten, a nie inny odcinek terenu. Staramy się rozpuszczać fałszywe wiadomości nawet wśród swoich, gdyż jest rzeczą stwierdzoną, że wywiad niemiecki wychodzi z siebie, aby dowiedzieć się choćby fragmentu naszych przygotowań. - Przerwał na chwilę i zajrzał do notatnika - ...Ścisła łączność istnieje pomiędzy naszymi ludźmi we Francji, a nami. Najmniejsze zmiany, jakie zajdą w terenie do chwili inwazji, zostaną natychmiast przekazane w odpowiednie ręce i zaznaczone na mapach. Równocześnie jest w toku akcja mająca na celu rozbudowę francuskiej sieci

wywiadowczej w głębi kraju. W tej chwili już mogę powiedzieć, że posiadamy sieć komórek na całym zapleczu frontu, aż do granicy niemieckiej. Wysyła się tam wielkie ilości ludzi, pieniędzy i koniecznego sprzętu, aby doprowadzić pracę do perfekcji. Musimy pamiętać, że po lądowaniu nastąpi druga część akcji, mianowicie: atak w głąb kontynentu. Powracając do inwazji, powiedzieć jeszcze muszę, że opracowaliśmy plan mający za zadanie przerzucenie pewnej ilości naszych ludzi na teren Francji i odwrotnie, przerzucenie pewnej ilości ludzi z terenu francuskiego na nasz. W jednym, jak i w drugim wypadku ludzie ci będą odgrywali rolę kontaktową dla lądujących wojsk. Część z nich wyruszy wraz z pierwszym rzutem desantowym, inni ze spadochroniarzami.

Jeżeli chodzi o nasz front wewnętrzny, to, oczywiście, główną uwagę przykładamy do zwalczania wywiadu nieprzyjacielskiego na terenie Wysp Brytyjskich. Ze względu na niesłychaną w dziejach koncentrację wojsk i materiału oraz na charakter wojny nowoczesnej, gdzie każda, najmniejsza nawet niedyskrecja spowodować może daleko idące konsekwencje, praca nasza

jest nadzwyczaj uciążliwa. Mamy tak wiele tajemnic do strzeżenia, że czasem po prostu brak nam ludzi do wypełnienia wszystkich zadań. Z tego też względu musieliśmy niedawno "zaimprovizować" dodatkowe kontyngenty służby tajnej przeprowadzając ankietę w poszczególnych sztabach alianckich i wyłuskując najbardziej odpowiednie jednostki. Metoda ta dała niezłe rezultaty. W sumie, jestem przekonany, że żadna tajemnica o treści zasadniczej dla prowadzenia wojny nie przedostała się do nieprzyjaciela. Mamy bardzo wiele informacji na ten temat, pochodzących z Niemiec. Nasz wywiad na terenie Rzeszy jest, jak gdyby, instytucją kontrolną dla operującej na Wyspach Brytyjskich defensywy. Z chwilą, kiedy dowiadujemy się, że jakaś pilnie strzeżona tajemnica przedostała się do Berlina, rozpoczynamy systematycznie śledzić jej drogę. W wielu wypadkach metoda ta okazała się bardzo skuteczna. Nie chcąc odbiegać od tematu, raz jeszcze stwierdzić muszę, że informacje nasze, przynajmniej jeżeli chodzi o początkową fazę inwazji, są bardziej niż dostateczne. Rozpoczęte na rozkaz Naczelnego Dowódcy, działania koordynacyjne pomiędzy oficerami wywiadu, a

dowódcami poszczególnych jednostek bojowych dają, sądząc z raportów, dobre wyniki. Tak więc, jeżeli chodzi o nasz dział, zameldować mogę z całym spokojem, że jesteśmy gotowi.

- Dziękuję panu, generale. - Eisenhower odetchnął głęboko. Nic nie stało

już na przeszkodzie. Jeśli teraz lądowanie nie powiedzie się, będzie to

wynikiem jakiegoś niesamowitego przypadku. Zwrócił się do Montgomery'ego.

- Widzę, że możemy przystąpić do omawiania momentu lądowania. W

zmęczonych oczach brytyjskiego dowódcy zamigotał błysk.

Spojrzał na leżący

przed nim arkusz papieru i począł mówić:

- Do wykonania lądowania potrzebne nam są dwa zasadnicze elementy:

spokojne morze i księżycowa noc, umożliwiająca operacje desantowe wojsk

spadochronowych. - Wyjął z leżącego przed nim stosu papierów, raport

meteorologiczny. - Obliczenia znawców wykazują, że tego rodzaju kombinacja

powinna nastąpić pomiędzy pierwszym, a dwunastym czerwcem.

Co do pogody, to

wszyscy opiniodawcy są zgodni w jednym punkcie:

przypuszczają, że pomiędzy

ostatnimi dniami maja, a pierwszymi czerwca przejdzie przez kanał fala

burzliwej pogody. Około trzeciego lub czwartego czerwca,
rozpocznie się
uspokojenie. Piątego lub szóstego mieć będziemy naprawdę
sprzyjające
warunki, a więc...

Znowu zapadła cisza. Niewidzialny, lecz uchwytany powiew
historii

przemknął ponad głowami obradujących.

- A więc - Eisenhower mówił jasno i dobitnie - lądujemy piątego
lub

szóstego czerwca. Może będzie pan łaskaw zawiadomić o tym
Mr. Churchilla.

Ja ze swej strony połączę się natychmiast z Washingtonem. Jeżeli
głowy

naszych państw zaakceptują datę, spotkamy się jutro o ósmej z
rana, w celu

ostatecznego omówienia szczegółów. Czy dogadza to panu?

- W zupełności. A więc najpóźniej szóstego czerwca?

- Tak. Szóstego czerwca.

W cztery godziny później, kiedy prezydent Roosevelt, premier
Churchill,

oraz szefowie połączonych sztabów przesłali na ręce

Głównodowodzącego

Zjednoczonych Armii swoją zgodę, pozostawiając mu w całej
rozciągłości

swobodę decyzji, plan operacyjny, który od roku rozwijał się pod
nazwą

operacji "Overlord" wszedł w życie. W tym samym dniu, setki
tysięcy ludzi

rozpoczęły intensywną pracę przygotowawczą, nie mając pojęcia
o tym, co

będzie jej ostatecznym rezultatem. W dowództwach Admiralicji, Sił Lądowych i Powietrznych, najwyżsi oficerowie dowiedzieli się, że uderzenie, na które od dawna oczekiwał cały świat, rozpocznie się dnia Szóstego czerwca 1944 roku.

ŃRozdział IX: Marianne zmienia teren

Tego wieczoru Merll był w doskonałym humorze. Przyszedł wcześniej niż zwykle i na samym wstępie wyciągnął w stronę Marianne zawinięty w bibułę bukiet kwiatów.

- Masz. To dla ciebie. Musiałem posyłać aż do Cherbourga. W Caen nie ma nawet przyzwoitej kwiaciarni.

Odwinęła papier i spojrzała z zachwytem na wspaniałe róże.

- Kochany! Myślałam, że już o mnie zapomniałeś.

Tyle dni cię nie było. czy zaszło coś ważnego?

- Nie. Nic specjalnego. Zwykła podróż służbowa. Jak ci się podobają? -

przeniósł wzrok na leżące na stole kwiaty.

- Cudowne! Nigdy w życiu nie spodziewałam się tego. O tej porze roku nie

łatwo je tu dostać. Ale żeby posyłać aż do Cherbourga! Ty głuptasku... -

przytuliła się do niego - Od dnia twojego powrotu z urlopu, nie widzimy

się zbyt często. Czy teraz kwiatami chcesz nadrobić pustkę w sercu?

- Ale skądże? - Wziął ją na kolana i począł kołysać jak dziecko - po

prostu zapominasz o tym, że jestem żołnierzem. Nie mogę robić tego, co

chcę. Gdybym mógł, siedziałbym teraz z tobą na końcu świata, jak najdalej

od tej całej zawieruchy. No, ale miejmy nadzieję, że to się niedługo

skończy, a wtedy postawimy nogę na karku tych wszystkich idiotów z tamtej

strony - wskazał ręką na siniejące w blaskach zachodzącego słońca morze. -

Tak, tak. Niedługo wykończymy to operetkowe imperium. Zaczęli z nami, teraz

przekonają się, że nie ten jest mocniejszy, kto ma więcej pieniędzy, ale

ten, kto ma więcej oleju w głowie. Nasi uczeni gotują im taką niespodziankę, od której zadrży ta cała wyspa.

Umilkł na chwilę ważąc słowa. - Nie mogę za wiele powiedzieć, gdyż jest

to tajemnica wojskowa, ale w zaufaniu mogę ci się zwierzyć, że wczoraj na

własne oczy widziałem nową broń, która zniszczy Anglię i Amerykę. Czekamy

tylko na moment, w którym zaatakują nas, wtedy pokażemy im, do czego zdolny

jest geniusz Narodu Niemieckiego!

Mówił z takim przekonaniem, że na chwilę straciła pewność siebie.

Niewiele słyszała o tak zwanym "V1". Doszły ją kiedyś słuchy, że jest to jakaś broń raketowa będąca obecnie w przygotowaniu. Churchill w jednej ze swych mów skierowanych do mieszkańców Wysp Brytyjskich wspominał o niej, więc nie przypuszczała, aby Anglicy nic o tym wynalazku nie wiedzieli. A jeżeli było to coś innego: jakieś pociski bakteriologiczne lub nowe gazy trujące? Odrzuciła jednak tę myśl. Jeżeli byłaby to broń mogąca decydować o wygraniu wojny w krótkim czasie, wtedy strzeżono by jej tak pilnie, że żaden niepowołany nie mógłby o niej usłyszeć. A trudno było nazwać jakiegoś kapitana piechoty powołanym. Nie. Na pewno chodziło mu o pociski raketowe.

Mieli zresztą ostatnio okólnik, aby w razie dostrzeżenia zdaleka tajemniczych budowli w formie sztucznych torów saneczkowych, donieść o tym natychmiast do centrali. Roześmiała się niedowierzająco.

- Wybacz mi, Helmut, ale tyle razy słyszałam i czytałam najrozmaitsze

wypowiedzi niemieckich mężów stanu na temat nowej, tajemniczej broni, że

uważałam to i uważam dotychczas za chwyt propagandowy.

- Chwyt propagandowy, powiadasz he! he! he! - śmiał się na cały głos -

przekonasz się, jak działa ten chwyt, w dniu, kiedy pocisk poszybkuje w

stronę Londynu. Każdy z nich może zniszczyć kilkadziesiąt domów. A będą wylatywać nad Anglię z całego obszaru wybrzeża. Mówię ci o tym, gdyż niedaleko stąd, na zapleczu stanie jedna taka wyrzutnia. Tak czy inaczej więc, za kilka dni sama zobaczysz na własne oczy, jak "Pociski Zwycięstwa" wyruszą do celu. Dlatego właśnie zostałem przedwczoraj wezwany do sztabu dywizji. Mamy zaostrzyć ochronę terenu i nie dopuścić żywego ducha do punktów, w których staną lawety. Przepuszczalnie część pozostającej dotychczas w okolicy wybrzeża ludności zostanie usunięta. Pozostaną jedynie ci, którzy są w naszych oczach uważani za pewnych, a i oni będą mogli się poruszać wyłącznie za pisemnym pozwoleniem dowódcy odcinka poświadczonym przez Sicherheitsdienst.

- Mój Boże! Mniejsza o te twoje latające kolubryny, ale w związku z tym stracę możliwość swobody ruchów. Mam nadzieję, że uznasz mnie za pewną - roześmiała się wesoło - a może także jestem podejrzana o antyniemieckie sympatie?

- Ty? Nie. Ty nie jesteś podejrzana. Teraz dopiero mogę ci w zaufaniu

powiedzieć, że jeszcze przed rokiem zastanawiałem się poważnie,
co taka
piękna i wykształcona kobieta jak ty, może robić w tym
oderwanym od świata
zakątku? Przeprowadzono o tobie wywiad. Przez miesiąc czasu
wszystkie twoje
ruchy były śledzone. Badanie dało oczywiście wynik negatywny.
Teraz mogę
cię uważać za znacznie pewniejszą od niejednego żołnierza w
mojej kompanii,
o którym nie wiem absolutnie nic, poza tym, że urodził się w
Niemczech z
niemieckich rodziców i został powołany do wojska. Nie, moja
droga, nie
sądz, że jesteśmy głupcami. - Mówiąc patrzył w okno. Nie
widział, jak twarz
jej powlokła się trupią bladością, która w chwilę później ustąpiła
miejsce
gwałtownemu rumieńcowi. Wtedy spojrział na nią.
- Dlaczego jesteś taka zarumieniona?
- Ty, ty... ty śmiałaś, wiedząc jak cię kocham, przeprowadzić o
mnie
wywiad. Ty... - patrzyła na niego z pogardą - Chciałaś się
upewnić, że
Francuzka, z którą śpisz, nie wyciągnie ci podczas snu tajnych
dokumentów z
kieszeni - roześmiała się drwiąco. - ...a po tym wszystkim
potrafiłaś
przychodzić do mnie i mówić, że mnie kochasz... Och!
Nienawidzę cię!!!

Upadła na łóżko i rozplakała się. Przez chwilę siedział nie rozumiejąc.

Dopiero po pewnym czasie przez mózg jego przeszła myśl o tym, jak bardzo

musiała go kochać, skoro tego rodzaju wzmiankę potraktowała jak śmiertelną

obrazę. Wstał i podszedł do łóżka. Leżała cicho. Jedynie od czasu do czasu,

ciałem jej wstrząsało gwałtowne łkanie. Pochylił się nad nią i nieśmiało

pogładził jej rozrzucone w nieładzie włosy.

- No, nie płacz. Wiesz przecież dobrze, że nie chciałem cię urazić.

Przypomnij sobie, że wtedy stosunki pomiędzy nami nie układały się jeszcze

tak, jak w chwili obecnej.

- Wiem - odpowiedziała przerywanym głosem - teraz jestem "pewna". Teraz

możesz mówić ze mną o czym chcesz. Wiesz przecież, że rodacy moi nienawidzą

kobiet przyjmujących u siebie Niemców. Gdyby mogli, zabiliby mnie przy

pierwszej nadarzającej się okazji. Los mój jest związany ściśle z losem

armii niemieckiej. W państwie rządzonej przez De Gaulle'a pozostanie dla

mnie miejsce jedynie na szubienicy... - znowu ukryła twarz w poduszkach i

utonąła w nowej powodzi łez.

- Nie martw się. De Gaulle ani też żaden inny człowiek jego pokroju nie

pokaże się tu nigdy. Gdybyś widziała to, co ja wczoraj widziałem, byłabyś pełna jak najlepszych myśli. Nigdy w życiu nie przypuszczałem, że można dokonać takiego wynalazku!!! Całe tony materiałów wybuchowych przelecieć mogą setki kilometrów, bez żadnej pomocy ze strony człowieka. Szybkość ich jest większa od szybkości, jaką osiągnąć może najnowszy samolot myśliwski.

Aby zniszczyć Anglię, potrzeba tylko usiąść sobie wygodnie na krześle i

naciskać jeden guziczek po drugim. Pomyśl tylko!!!

Podniosła głowę i otarła łzy. Oczy miała zaczerwienione.

- Czy to prawda? Mam wrażenie, że chcesz mnie jedynie pocieszyć.

- Klnę się na mój honor oficerski, że na własne oczy widziałem wczoraj

wyrzutnie tych pocisków koło Cherbourga. Znajdują się one o kilkanaście

kilometrów na południowy wschód od miasta. Gołym okiem nie zobaczyłabyś

ich, tak świetnie są zamaskowane. Z góry także trudno je dostrzec, gdyż

wyglądają jak zwykły kawał czarnej, ornej ziemi. Boki ich są bardzo

zręcznie zamaskowane, a same pociski znajdują się o kilkaset metrów w tyle,

ukryte pod ziemią. Diabła zjedzą Anglicy zanim je odkryją. Nie martw się. -

Wojna skończy się niedługo, a wtedy... - urwał namyślając się.

- A wtedy? - powtórzyła.

- A wtedy zabiorę cię stąd i zaczniemy nowe życie.

Przypuszczam, że każdy

niemiecki oficer otrzyma od Führera kawał ziemi gdzieś w Polsce
czy na

Ukrainie, jeśli o nią poprosi. Pomyśl sobie, co za życie! Będziemy
opływać

we wszystko. Nie będzie już nalotów, frontu i dyscypliny
wojskowej.

Będziemy tylko my we dwoje: ty i ja.

- Tak, to by było cudowne - powiedziała cicho - za cudowne na
to, aby

mogło być prawdziwe. Życie zwykle wiele obiecuje, ale
rzeczywistość ma to

do siebie, że potrafi w ciągu minuty zniszczyć najpiękniejsze,
latami snute

sny.

- Póki istnieje Rzesza Niemiecka, póty żołnierze jej mogą śnić.

Chciała odpowiedzieć, że właśnie na tym fakcie opiera swoje
wątpliwości,

lecz powstrzymała się. Mimo smutku, jaki przepętniał jej serce,
odczuwała

dumą: Zagrała dzisiejszą komedię jak najlepsza, najdoskonalsza
artystka.

Rozmawiali długo w noc. Rano, kiedy Helmut wyszedł, ubrała się
szybko i

wybiegła z domu. Meuraines było tak brudne jak zwykle. Uliczki
tonęły w

błocie, mimo że słońce świeciło jasno, a na niebie nie było ani
jednej

chmurki. "Albatros" siedział w domu, pogrążony w pracy. Zajęty był właśnie poprawianiem zeszytów klasowych swoich uczniów. Od kilku miesięcy był nauczycielem w miejscowej szkole powszechnej. Kiedy weszła, przywitał ją z roztargnieniem. Popatrzyła nań uważnie.

- Czy coś się stało?

- I tak, i nie. Nic takiego, co mogłoby wywołać panikę w ludziach o słabych nerwach. Jest natomiast wiele wiadomości, które mogą panią zainteresować. Wydaje mi się, że niedługo praca nasza w tej części kraju dobiegnie końca.

- Co pan przez to rozumie?

- Prawdopodobnie rozpoczną się tu w najbliższej przyszłości innego rodzaju zmagania.

Schwyciła go za rękę.

- Nie chce pan chyba przez to powiedzieć, że...

- Tak. Właśnie to mam na myśli. Nie wiem nic pewnego, ale mogę bez ryzyka podzielić się z panią kilkoma otrzymanymi dziś rano informacjami. Przede wszystkim, mamy się niedługo przenieść.

- Dzięki Bogu! - była uszczęśliwiona. Po rozmowie z Seymourem odwiedziny Mertla stały się dla niej fizyczną torturą.

- A dlaczego?

- Tego nie wiem. Przypuszczam, że chodzi tu o zwinięcie akcji

wywiadowczej na odcinku, który w najbliższym czasie stanie się terenem działań wojennych. Świadczy o tym także i druga wiadomość. Przybywają do nas z Anglii ludzie, którzy dotychczas pracowali tam nad tym obszarem. Mamy zająć się ich "zakwaterowaniem".

- No dobrze, ale jak pan chce połączyć fakt naszego odjazdu z ich przybyciem?

- Ja pozostanę tutaj, jako człowiek, który "najwięcej wie". Pani natomiast wraz z szeregiem innych osób, zostanie przeniesiona do jednego z ośrodków dyspozycyjnych w głębi kraju. Nie mam jeszcze definitywnego rozkazu co do daty, sądzę jednak, że nadejdzie on niezadługo.

- Mam do pana prośbę. Czy nie mógłby pan wyprawić mnie jako pierwszego człowieka opuszczającego ten teren? Istnieją ważne powody osobiste, które mnie do tego skłaniają.

- Nie chciałbym, aby pani mylnie oceniła to, co teraz powiem, lecz sądzę, że agent wywiadu pozostający na eksponowanej placówce, nie może mieć życia osobistego. Niech mi pani wierzy, że ja także zapomniałem już o swoich bliskich.

Po krótkim wahaniu opowiedziała mu o spotkaniu z Seymourem. ...rozumie pan chyba - zakończyła - że ani spotkanie z moim mężem, który,

jak mam prawo przypuszczać, może tu się niespodziewanie
zjawić, ani też
pozostawanie w towarzystwie Mertla, nie jest dla mnie możliwe.
Chciałam
powiedzieć panu o tym już przed kilkunastoma dniami, lecz
wstrzymała mnie
świadomość, że nikt, poza mną, nie będzie mógł dobrze operować
na terenie
odcinka. Obostrzenia dla nowoprzybyłych są tak wielkie, że nie
wyobrażam
sobie zupełnie, jak nowi ludzie będą mogli rozpocząć prace tuż
przed
wybuchem działań.

- Tak źle nie będzie. Pozostaje tu pewna liczba osób
koniecznych dla
kontynuowania akcji i dokonywania spostrzeżeń związanych z
ostatnimi
ruchami nieprzyjaciela. Jeżeli chodzi o pani opowieść natomiast,
to muszę
przyznać, że jest ona co najmniej niezwykła. Gdyby nie zupełne
zaufanie,
jakie w pani pokładam, nigdy nie uwierzyłbym, że podobny zbieg
okoliczności
jest możliwy. Proszę się nie martwić. Francja, nawet w tej sytuacji
w
jakiej się znajduje, musi ocenić poświęcenie swoich żołnierzy.
Jutro opuści
pani ten teren na zawsze. Dziś jeszcze powiadomię nasz punkt
kontaktowy w
Paryżu o pani przyjeździe. Tam panią natychmiast zatrudnią.
Jeżeli

wykombinuje pani przepustkę od Mertla - tym lepiej. Jeśli nie będzie pani uważała za stosowne powiadamiać go o swoim wyjeździe, wtedy otrzyma pani papiery ode mnie. Na razie muszę panią pożegnać. A więc do jutra!

- Do jutra!

Rankiem następnego dnia powiedziała Helmutowi, że pragnie wyjechać na dwa dni do Paryża.

- To dobrze - powiedział - to bardzo dobrze.

- Dlaczego?

- Bo niedługo pobyt na wybrzeżu może stać się bardzo niebezpieczny.

- Czy masz na myśli wzmożone naloty Anglików?

- Ach nie! - machnął z lekceważeniem ręką - bomby to jeszcze nie wszystko. Z ostatnich przez nas otrzymanych instrukcji wnioskować można, że chwila porachunku nadchodzi.

- A więc inwazja? - uniosła brwi - chyba się jej nie obawiasz?

Jeżeli mam

brać twoje wczorajsze słowa za dobrą monetę, to zostanie ona zgnieciona

natychmiast dzięki waszym cudownym latającym bombom. Nie rozumiem więc, czemu się martwisz?

Machnął ręką. Nie chciał jej mówić, że w świetle całonocnych rozmyślań, widziane dwa dni temu wyrzutnie straciły wiele na atrakcyjności. Jeżeli

broń ta była tak wszechmocna, czemu wydano załogom
fortyfikacji rozkaz
stałego pogotowia? Dlaczego, od dnia dzisiejszego obsługa spać
miała przy
działach i karabinach maszynowych? Po trzeźwej analizie doszedł
do wniosku,
że tego rodzaju broń mogła mieć jedynie zastosowanie przeciwko
miastom lub
innym olbrzymim obiektom. Nie kierowana ręką ludzką, nie
mogła ona
wyrządzić żadnej szkody posuwającym się naprzód okrętom lub
oddziałom
wojska. Jej wartość dla powstrzymania atakujących wybrzeże
wojsk była
żadna. Poza tym rozumowaniem kryła się jeszcze pewna myśl, do
której nie
chciał się przyznać nawet przed sobą samym. - Bał się! Bał się
tych
niesamowitych ludzi, którzy wylądują w nocy z twarzami
pomalowanymi na
czarno i będą darli się przez zaminowane plaże w kierunku
umocnień.
Wiedział, że w tej walce nie będzie jeńców. Bitwa o przyczółek w
Europie
rozgrywać się musiała na śmierć i życie. Marianne przerwała jego
rozmyślenia.

- Nie chciałabym cię zamęczać prośbami, ale potrzebna mi jest
przepustka
na wyjazd. Czy mógłbyś mi wypisać coś takiego? Wydaje mi się,
że tego
rodzaju sprawy zależą tutaj od ciebie.

- Ależ oczywiście! Przyjdź przed południem do kancelarii kompanii. O ile by mnie nie było, pozostawię memu zastępcy polecenie, aby załatwić twoją sprawę przychylnie.

Kiedy wyszedł, spakowała do walizki najpotrzebniejsze drobiazgi. Zapukała w ścianę. Jak spod ziemi wyrósł przed nią Jean.

- Muszę wyjechać na pewien czas. Chciałam się z tobą pożegnać.

- Nie chcesz chyba powiedzieć Marianne, że opuszczasz nas?

- Obawiam się, że właśnie tak jest. - Widząc jego zrozpaczoną minę

starła się go pocieszyć. - Muszę, Jean. Wierz mi, przyzwyczaiałam się tu i nie chcę odjeżdżać, lecz wojna ma swoje prawa.

Wyciągnęła do niego rękę. Ujął ją delikatnie i pocałował. Potem wybiegł bez słowa z pokoju. Takie było ich rozstanie.

- Ciekawa jestem, czy za rok będzie jeszcze pamiętał o moim istnieniu? -

pomyślała - Przypomniał jej się jeszcze raz, kiedy siedziała w pociągu. O

kapitanie Helmucie Mertl nie pomyślała ani razu. Daleko przed nią leżał

Paryż. Tam był koniec i początek wszystkiego. W Paryżu zdecydować się miał

jej los. Uśmiechnęła się blado i oparła głowę o poduszki.

ÓRozdział X:

ÓOżywił pan

martwego człowieka

Kapitan Renard wyciągnął nogi daleko przed siebie i usadowił się wygodniej w fotelu.

- A więc, proszę panów, mamy nowiny!

- Co się stało? Chyba nie jakaś wpadka na sektorze albo zmiany w fortyfikacjach? Przez cały zeszły tydzień dostawaliśmy kręćka przy tych rysownikach, a teraz prawdopodobnie trzeba zmieniać wszystko od nowa. Nigdy w życiu nie myślałem, że szkicowanie map, to taka przewlekła historia. -

Jan był zły i zmęczony nadmiarem pracy, jaka spadła na ich plecy podczas ostatnich dni.

- Nie. Na szczęście nic podobnego nie zaszło. Jutro z rana wyruszamy do Francji. Oczywiście odlot nastąpi wieczorem, ale już o ósmej musimy być wszyscy na miejscu.

- Jak to, więc będzie pan skakał z nami? - Jan był szczerze zdziwiony.

Nie wyobrażał sobie Renarda w roli skoczka spadochronowego.

- Tego nie wiem. W każdym razie musimy wszyscy pozostawać w gotowości do odlotu, przez cały jutrzejszy dzień. Mam wrażenie, że jeden z nas pozostanie w Londynie. Kto, tego nie umiem panom powiedzieć.

- Ach, więc to tak! - Seymour był zadowolony. Miał już dosyć pobytu w

Londynie. Nie mógł się otrząsnąć z niesamowitego wpływu jaki miała nań

Elżbieta. Instynktownie wyczuwał, że nie kocha go ona. Szał nie mijał

jednak i kapitan w najtrzeźwiejszych swych chwilach nie umiał powiedzieć

czemu właściwie nie kończy tej wyczerpującej ciała i dusze znajomości.

Przygody, jaką miała z Janem, nie domyślał się nawet. Wiedział, że ten

ostatni nigdy nie postąpiłby w ten sposób z kobietą będącą przyjaciółką

kolegi. Nie miał zresztą żadnych na ten temat podejrzeń. W każdym bądź

razie, zadowolony był z obecnego obrotu rzeczy. Raz czy dwa razy wyrwało mu

się przy Elżbiecie niebaczne słowo dotyczące jego pracy wywiadowczej.

Pamiętał o tym. Nie mógł jednak wypowiedzieć się z tego nawet przed Janem.

Wstrzymywał go wstyd i absolutna pewność, że Elżbieta nie może mieć żadnej

łącności z wywiadem obcego mocarstwa. W tej chwili jednak, rozważając tę

możliwość, podczas kiedy Jan i Renard zajęci byli rozmową, zawahał się.

Ostatecznie nie było w jej zachowaniu nic podejrzanego, ale...

Odrzucił od

siebie tę niewiarygodną myśl. Trzeba się jednak będzie mieć na baczności -

pomyślał i począł przysłuchiwać się rozmowie.

- Więc przypuszcza pan, że pozostaniemy we Francji, aż do czasu inwazji?

- Spytał Jan.

- Tak. - Renard był w doskonałym humorze - Daj Boże, aby tak się stało.

Ja osobiście przypuszczam, że atak naszych wojsk musi nastąpić lada dzień.

Po cóż by w innym wypadku, tak gorączkowo rysowali i drukowali te mapy?

- Nie wiem. Czy na wojnie rozumie się kiedykolwiek coś? Ja sam, przyznaję się do tego, nigdy jeszcze nie wyczułem z góry żadnego ważnego wydarzenia.

Cała sztuka polega na tym, aby przekazać przeciwnikowi wrażenie, że się coś robi w jednym miejscu, podczas, kiedy robi się zupełnie co innego w innym.

- Wydaje mi się, że nie masz racji - rzekł Seymour - nie wiem dokładnie w jaki sposób będzie przeprowadzone lądowanie naszych wojsk na kontynencie, ale przypuszczam, że będzie to przedsięwzięcie na gigantyczną skalę, inaczej w ogóle nie jest ono do pomyślenia. Nie sądzę, aby można było skoncentrować kilka czy też kilkanaście dywizji wojska, i naładować je na okręty w kraju tak gęsto zaludnionym jak Anglia, nie budząc żadnych podejrzeń.

- Oczywiście, oczywiście - Renard był rozradowany - Ale czy nie wziął pan pod uwagę jednego faktu. Oto jesteśmy tu my, ludzie z "wywiadu", mający więcej może wspólnego z tą całą imprezą niż wielu generałów. Siedzimy w gmachu, który jest mózgiem i nosem Zjednoczonych Armii, Mamy wgląd w wiele tajemnic, a jednak nie wiemy zupełnie nic. Nie wiemy nawet, czy cała praca, którą tutaj wykonujemy, nie jest przeznaczona jedynie po to, aby zmylić przeciwnika. Ci wszyscy rysownicy, którym tak gorliwie pomagaliśmy, także nie wiedzą, czy praca ich będzie kiedykolwiek wykorzystowana. Proszę panów, jeżeli mam być szczery, to powiedzieć muszę, że nigdy jeszcze żadna operacja wojenna nie była przeprowadzona takim nakładem pracy i wysiłku, jak ta, którą będziemy przeżywać. Wszyscy jesteśmy jedynie kółeczkami w olbrzymiej maszynie, obracającej się według zupełnie nam nieznanym koncepcji ruchu. Wszyscy musimy wykonywać ślepo, nałożone na nas obowiązki. Tak, czy inaczej, odpowiedzialność każdego żołnierza w tej wojnie jest często większa, niż odpowiedzialność wysokich oficerów w wojnach

poprzednich. Wojny obecnej nie można wygrać jedynie na froncie. Losy jej decydują się już podczas przygotowań. Na całe miesiące przed rozpoczęciem operacji wodzowie obmyślają plan, który musi działać, albo... Właśnie, to "albo" czyni z wojny wielką niewiadomą... Wyobraźmy sobie, że któryś z nas nieostrożnie zwierzy się komuś ze spraw, które są tu omawiane. Na drugi dzień, Adolf Hitler zadysponować może koncentrację wojsk na sektorze CD-5. Łądujące oddziały alianckie spotka wtedy takie przyjęcie, że nie będą mogły nawet opuścić okrętów. - Popatrzył na Seymoura. - Czy żaden z panów nie popełnił dotychczas jakiejś małej, powiedzmy, niedyskrecji w rozmowie z osobą trzecią?

- Tak. Ja popełniłem. - Seymour był blady ale zdecydowany.
- Mianowicie? - głos Renarda był miły i zachęcający.
- Powiedziałem pewnej młodej damie, że byłem niedawno we Francji -

Seymour wyrzucił ze siebie te słowa jednym tchem i zamilkł. Na twarz wystąpił mu ceglasty rumieniec. Jan patrzył nań ze współczuciem. Nie mógł zrozumieć, co pchnęło tego zrównoważonego człowieka do takiej nieostrożności. Seymour nie był także nowicjuszem w służbie wywiadowczej. Ku zdumieniu Jana, Renard zapytał swobodnym tonem:

- Czy jest pan pewien, - że dama ta zasługuje w pełni na nasze zaufanie?

Jeśli opowiedział pan jedynie o swoim pobycie we Francji, nie jest to jeszcze samo w sobie niczym niebezpiecznym.

- Nie. Więcej jej nie powiedziałem. Nie starała się, zresztą, niczego więcej dowiedzieć.

- Przypuszczam, że i tego nie chciała się dowiedzieć.

- Oczywiście, że nie - Seymour zaśmiał się nerwowo to ja sam nieopatrznie... ot, po prostu wyrwało mi się...

- Ależ tak. Oczywiście! Proszę się tym nie przejmować. Ja sam kiedyś...

zresztą nie chcę panów zanudzać moimi wspomnieniami. Jeżeli uważa pan,

kapitanie Seymour, że osoba ta zasługuje na stuprocentowe zaufanie, nie mam

nic więcej w tej sprawie do powiedzenia. Prawie wszyscy popełniamy omyłki

tego rodzaju. Gdyby nie to, agenci wywiadu nieprzyjacielskiego nie mieliby

co robić w tym kraju. No! Nie zatrzymuję panów. Proszę się przygotować do

jutrzejszego wyjazdu. Może spotkamy się w jakimś nocnym lokalu, gdyż ja

także mam zamiar uczcić dziś wigilię powrotu do ojczyzny.

Kiedy byli już na korytarzu, wychylił głowę przez drzwi i zawołał Jana.

- Zupełnie zapomniałem, kapitanie Smolarski, że nie wykończył pan jeszcze

skrótowi perspektywicznego tego wzgórzka na Sektorze, gdzie stoją działa "88".

Musimy go jutro oddać. Może więc zostanie pan jeszcze chwilę i uzupełni

brakujące szczegóły.

- Ależ to zajmie mi co najmniej trzy go... - począł Jan i zamilkł widząc

znaczące spojrzenie Renarda. - Dobrze - westchnął. Zwrócił się do Seymoura.

- Zadzwoń do ciebie, jak tylko skończę. Może przyjedziemy razem z

kapitanem Renard. Czy wybrałby się pan z nami, Renard, na czysto męski

wieczór w jakiejś przyzwoitej knajpie?

- Ależ z chęcią - Renard wydawał się uszczęśliwiony - umówmy się!

- A więc o szóstej w "Esplanadzie", zgoda?

- Zgoda - odpowiedzieli jednocześnie. Seymour machnął ręką na pożegnanie

i wyszedł.

Kiedy zostali sami, Renard zwrócił się żywo w kierunku Jana.

- Oczywiście wie pan, że nie prosiłem pana o pozostanie tutaj z powodu

tego głupiego szkicu. Zresztą sam go wykończyłem dziś rano.

- Domyśliłem się tego. Chodzi więc o Miss O'Connor?

- Tak.

- Czy ma pan jakieś nowe wiadomości?

Renard rozglądał się po pokoju, jak gdyby żałując, że nie ma przy sobie

większego audytorium. Wążąc w ustach każde słowo, powiedział cicho.

- Otrzymaliśmy dziś alarmujące wiadomości z kontynentu. Jeden z naszych ludzi donosi, że w Londynie grasuje pewna agentka nosząca kryptonim "B-432". W zeszłym tygodniu uzyskała ona tajemnicę wojskową niezwyklej wagi od pewnego oficera polskich wojsk spadochronowych. Oficer ten wyznał jej, że był niedawno we Francji, na zachód od Cherbourga i tam zebrał obfity materiał w związku z robotami fortyfikacyjnymi. "Atlantic Wallu". Raport jej szefa jest dość... hm..., entuzjastyczny:

- I pomyśleć, że moja skromna osoba narobiła tyle hałasu po tamtej stronie. - Jan roześmiał się, lecz nagle urwał i zamilkł - zupełnie o tym zapomniałem. Więc to oznacza, że...

- Tak, - Renard był poważny i zamyślony - to oznacza, że Miss Elizabeth O'Connor jest zwykłym szpiegiem niemieckim.

- I proszę sobie wyobrazić, że to Seymour i ja wyciągnęliśmy ją na pół żywą z piwnicy. Nie można powiedzieć, aby nas specjalnie szukała, ot, po prostu nawinęliśmy się jej w ręce.

Renard myślał intensywnie.

- Jak pan przypuszcza, czy lepiej jest zaarrestować ją od razu, czy też poczekać, aż naprowadzi nas na kogoś większego.

- Nie jestem urzędnikiem śledczym - Jan nie chciał wydawać żadnych opinii. W pamięci miał jeszcze wieczór spędzony z Elżbietą. Nie lubił mówić o kobietach, które zahaczyły o jego życie w ten specyficzny sposób.

- Nie o to chodzi. Chciałbym tylko zasięgnąć pańskiej rady. Ta młoda dama jest pod naszą nieustanną obserwacją. Teraz właśnie oczekuję telefonu, gdyż jej aniołowie stróże zmieniając się podają mi przebieg swego dyżuru. Osobiście sędzę, że należało by ją unieszkodliwić. Nawet jeżeli nie uda nam się schwycić nikogo prócz niej, gra jest warta świeczki, gdyż wprowadzi zamęt do komórki wywiadowczej i spowoduje panikę. Teraz w przededniu inwazji chodzi nam przede wszystkim o unieruchomienie jak największej ilości agentów. W tym celu zresztą zażąda się teraz zamknięcia konsulatu niemieckiego i japońskiego w Irlandii. Mamy wiele danych na to, że większa część wiadomości przesiąka do Niemiec właśnie tą drogą.

- Chętnie zrobię, co będę mógł, dla pana - Jan był nieco speszony. Do ostatniej chwili przypuszczał, że Elżbieta okaże się zwykłą, szukającą przygód dziewczyną - Jeżeli potrzebuje mnie pan do czegokolwiek, jestem na

pańskie usługi.

- To dobrze. Widzi pan, mam taki plan: podczas, kiedy kapitan Seymour będzie oczekiwał nas w "Esplanadzie", my postaramy się zaarrestować tę młodą damę. Chciałbym zrobić to wszystko tak dyskretnie, aby nazwisko pańskiego przyjaciela nie było łączone z tym wypadkiem. Miss Elizabeth będzie sądzona w trybie doraźnym, a kapitan Seymour, nawet jeżeli będzie o nim mowa, nie ukaże się na widowni. Ja, jako jego bezpośredni w chwili obecnej przełożony, sprzeciwię się ściągnięciu od niego zeznań na piśmie, tłumacząc się wyższą koniecznością wojenną. Przypuszczam, że dowody, jakie zdołamy obaj przedstawić, wystarczą sądowi do wydania orzeczenia.

- No! Mam nadzieję! - Jan pogodził się już z losem. Był zadowolony, że Seymour nie będzie wiedział o niczym. Nagle przypomniało mu się coś.

- Jakże będziemy mogli zeznawać na procesie O'Connor, jeżeli w tym samym czasie znajdziemy się we Francji.

- We Francji będzie jedynie kapitan Seymour. Jego sytuacja tutaj stała się trochę... hm... delikatna... tak, delikatna... W terenie natomiast jest

on bardzo dobry. Zna okolice Caen lepiej niż ktokolwiek z nas, gdyż
mieszkał tam przez pięć lat. Poza tym orientuje się nie gorzej niż
kto
inny. My także wyruszymy, lecz mam wrażenie, że stanie się to
dopiero w
dniu uderzenia. Oczywiście, jedynie w tym wypadku, jeżeli
uderzenie pójdzie
w kierunku naszego sektora. Jeśli nie, wtedy prawdopodobnie
pozostaniemy
tutaj, aż do otrzymania innych rozkazów.

W tej chwili na biurku zadzwieczał telefon. Renard uniósł
słuchawkę.

- Tak... to ja... kapitan Renard... tak, to dobrze... proszę się
stamtąd
nie oddalać... Jaki adres?... Tak. Dziękuję... Za piętnaście minut
tam
będziemy.

Powiesił słuchawkę.

- Nasza perła znajduje się obecnie w pewnym domu w Soho -
powiedział
wesóło - mieszkanie, do którego weszła, pozostaje od kilku
tygodni pod
obserwacją Scotland Yardu. Mieszka tam pewien młody
człowiek, który, jak mi
się wydaje, trudni się pokątnym handlem aparatami radiowymi, a
wie pan, co
można zrobić, mając w mieszkaniu wszelkiego rodzaju części do
radioaparatów! Zresztą, nie przesądzajmy sprawy. Trzeba zbadać
na miejscu,
jak się rzecz ma.

Zadzwoił na dyżurnego żołnierza.

- Poproście tu do mnie porucznika Gilesa, pokój "F 131"!

Po kilku minutach wszedł młody człowiek ubrany w jasny garnitur i miękki

kapelusz. Renard przedstawił go Janowi, po czym rzekł:

- Potrzebny nam jest nakaz aresztowania. Biorę wszystko na swoją

odpowiedzialność.

Piękny młodzieniec uśmiechnął się rozbrajająco.

- Ach! Jeżeli tylko o to panu chodzi, jestem zawsze do dyspozycji.

Wyciągnął z kieszeni maty bloczek i wręczył go Renardowi.

- Proszę wypisać sobie na tej oto karteczce nazwisko i adres potrzebnej

panu osoby. Zresztą, jeżeli pan chce, mogę z panem pojechać. I tak nie może

pan nikogo w tym kraju zaaresztować bez pomocy urzędnika brytyjskiej

policji.

- To świetnie - Renard był najwyraźniej ucieszony - chodzi mi o pewną

młodą damę, która... hm... zamiast zajmować się sprawami, jakie przystoją

dziewczętom w jej wieku, trudni się wydobywaniem tajemnic od oficerów Jego

Królewskiej Mości i przekazywaniem ich wprost do Berlina.

- Ach! Więc to taki ptaszek! - Młody człowiek zatarł ręce. - Dawno już

nie mieliśmy czegoś podobnego. Auto czeka. Czy potrzeba będzie większej

ilości ludzi do obsadzenia domu?

- Nie wiem. Niech pan lepiej zadzwoni do Scotland Yardu.

Po kilku minutach siedzieli wszyscy trzej w aucie mknącym w kierunku

Soho.

- Muszę panu powiedzieć - rzekł Renard do Jana - że porucznik Giles jest

oficerem kontaktowym pomiędzy nami, a Scotland Yardem, i ma nie ograniczone

wprost pełnomocnictwa. Jest on jednym z nielicznych ludzi w tym kraju,

którzy mogą wejść bez nakazu rewizji do czyjegoś mieszkania, lub zatrzymać

Bogu ducha winnego człowieka na ulicy.

Giles roześmiał się z zażenowaniem.

- Kapitan Renard wyolbrzymia moje znaczenie. W każdym bądź razie, z

radością pomogę panom przytrzymać tę panienkę.

Auto zwolniło i zatrzymało się przed starą, odrapaną rudera.

Pierwszy

wysiadł Renard i dał znak człowiekowi, który stojąc koło przystanku

tramwajowego zajęty był w tej chwili studiowaniem najnowszego wydania

"Daily Telegraph". Człowiek zbliżył się powoli.

- Czy jest tu jeszcze?

- Jest, panie kapitanie.

- Niech pan stanie na rogu i zatrzyma samochód policyjny. Nie chcę tu

robić widowiska. Niech obstawią z daleka dom i wszystkie wyjścia z

dzielnicy. Nigdy nie wiadomo, jakie niespodzianki mają w zanadrzu tego rodzaju ludzie. Czy wie pan dokładnie, w którym mieszkaniu znajduje się ta pani?

- Tak. Pierwsze piętro od frontu. Drzwi na wprost.

- Dobrze.

Weszli do bramy przyległego domu. Renard pierwszy zabrał głos.

- Jak myślicie, panowie, czy jest sens wpadać do mieszkania człowieka, przeciwko któremu nie ma wielkich poszlak i aresztować tam kobietę, która zawsze powiedzieć może po prostu, że przyszła do niego w odwiedziny?

Giles uśmiechnął się.

- Tak czy inaczej, chce pan przecież zobaczyć dzisiaj tę młodą damę pod kluczem. Lepiej więc będzie, jeśli wpadniemy niespodziewanie do

podejrzanego lokalu i pochwycimy ją tam. Przy okazji, zawsze będzie można

powęszyć. Nie sądzę zresztą, aby obecny okres działań wojennych sprzyjał

długiej obserwacji szpiegów i pozostawianiu ich na swobodzie.

- Zgoda - Renard dał się łatwo przekonać. Sam miał ochotę na przetrząśnięcie mieszkania, w którym znajdowała się w tej chwili Elżbieta

O'Connor.

Minęli bramę i weszli na piętro. Giles zapukał energicznie do drzwi.

Usłyszeli wewnątrz kroki. Jakiś męski głos zapytał:

- Kto tam?

- W imieniu Jego Królewskiej Mości proszę otworzyć! - głos Gilesa brzmiał

twardo i stanowczo. W tej chwili za drzwiami rozległ się lekki, ledwie

dosłyszalny trzask. Giles odskoczył poza framugę. W ręce trzymał ciężki

pistolet automatyczny. Jan i Renard poszli za jego przykładem.

- Proszę otworzyć! - Giles stanął tuż za framugą drzwi. Broń w jego ręku

skierowana była na wysokość piersi człowieka, który stał po ich przeciwległej stronie. W tej chwili padła krótka seria strzałów. Z drzwi

poleciały drzazgi. Tynk na przeciwległej stronie klatki schodowej osunął

się z hałasem. Jan wystrzelił dwukrotnie pod ostrym kątem, nie chcąc

wystawiać się na ogień ukrytego poza framugą przeciwnika.

- Ma pistolet maszynowy - Giles stwierdził ten fakt z zupełnym spokojem.

- Trzeba wykurzyć go w inny sposób.

Pobiegł na dół. Po chwili powrócił niosąc w ręku małą teczkę.

Na ulicy

zaczęli gromadzić się ludzie. Kordon trzymających się za ręce policjantów

utrzymywał ciekawych z dala od miejsca walki. Jan wyjrzał przez okno

znajdujące się na klatce schodowej. Na przeciwległym dachu, w bramach i w

oknach sąsiedniej kamienicy dostrzegł hełmy policjantów.

Scotland Yard

działał jak zwykle z niesamowitą szybkością. W tej chwili na schodach

ukazał się umundurowany oficer policji w towarzystwie kilku szeregowych.

- Czy potrzeba panu czegoś, sir? - zwrócił się do Gilesa.

- Na razie, nie. Sam spróbuję sobie dać radę. Niech wszyscy cofną się do

bramy. Chcąc nie chcąc Renard i Jan musieli posłuchać.

Tymczasem Anglik

wyjął z teczki jajowaty granat i szybkim ruchem podłożył go pod drzwi.

Jednym skokiem znalazł się na półpiętrze. Stamtąd zjechał po poręczu w dół.

Kiedy był już na dole, ścianami domu zatrzęsa silna detonacja.

Klatka

schodowa napełniła się kurzem powstałym z eksplozji i opadającego ze ścian

tyнку. Gdzieś na chodniku zabrzęczała upadająca szyba.

- A teraz jazda! - pobiegli na górę. Drzwi leżały wyłamane do wewnątrz

mieszkania. Giles skradając się wsunął głowę do przedpokoju.

Wyprostował

się, i z pistoletem w ręku przekroczył próg. Oczom wchodzących przedstawił

się mrozący krew w żyłach widok. Na podłodze, ściskając w pokrwawionych

rękach pistolet maszynowy, leżał człowiek. Jeden rzut oka wystarczył Janowi

na stwierdzenie, że z ciała jego odeszło życie. W tym samym momencie, za na wpół uchylonymi drzwiami prowadzącymi do wewnątrz mieszkania coś poruszyło się. Zamarli w bezruchu. Jan, powoli, stąpając na palcach, zbliżył się do drzwi. Nagle padł strzał. Po chwili wszyscy usłyszeli łoskot padającego ciała. Renard podsunął się do framugi i szybko zajrzał do wewnątrz. Objął wzrokiem pokój i powolnym, zmęczonym ruchem założył pistolet za pas. Weszli. Obok łóżka leżała kobieta. Jej szeroko otwarte oczy zdawały się wpatrywać we wchodzących z wyrazem wielkiego, spokojnego zdziwienia. Powieki drgały lekko. Palce zacisnęły się konwulsyjnie na rękojeści rewolweru. Kiedy Giles podbiegł do niej i wyrwał broń z drobnej, opalonej dłoni, całe jej ciało przebiegł dreszcz. Wyraz zdziwienia zastygł na wieki w olbrzymich, zielonych oczach. Na podłodze rosła powoli ciemna, szkarłatna plama krwi.

Kiedy wieczorem przybyli na umówione miejsce, Seymour przywitał ich z pewnym roztargnieniem. Elżbieta nie przybyła na umówione spotkanie. Telefonował do jej gospodyni, lecz ta odpowiedziała mu, że Miss Elizabeth

wyszła wczesnym rankiem i jeszcze nie wróciła. Seymour westchnął. O ile nie wróci wieczorem, nie zobaczy jej już przed odlotem. Poza tym, ostatnia rozmowa z Renardem nastroiła go minorowo. Przez całe swoje życie był uczciwym człowiekiem, a od czasu pełnienia służby w "Intelligence Service" często otrzymywał bardzo odpowiedzialne prace. Nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się nic podobnego. Przedtem nie uwierzyłby w ogóle, że może popełnić tego rodzaju niedyskrecję. Nie winił zresztą Elżbiety, lecz siebie. Ostatecznie, nie prosiła go o zwierzenia. To on sam zachował się jak smarkacz. Myśl ta trapiła go, więc pił wiele i nalewał wszystkim. Po kilku kieliszkach humory poprawiły się. Jedyne Jan pozostał milczący. Pożegnał się wcześniej niż przypuszczali, wymawiając się zmęczeniem i chęcią wyspania przed jutrzejszym zadaniem. Pozostali sami. Seymour nie czuł działania alkoholu. Znajdował się jednak w nastroju, kiedy człowiekowi łatwiej przychodzi powiedzieć, coś, co na trzeźwo wymagałoby dłuższego namysłu. Jadąc na wyprawę, z której nie wiedział czy powróci, musiał spełnić prośbę Marianne.

- Czy pan jest żonaty? - zwrócił się nagle do Renarda - Proszę wybaczyć mi tego rodzaju zapytanie, lecz za chwilę wytłumaczę panu, o co mi chodzi.

- Tak. Jestem żonaty, a właściwie byłem, gdyż o żonie mojej, mimo największych starań, nie mam wiadomości. Nie wiem gdzie ona jest.

- Ale ja wiem.

Twarz Francuza powlekła się trupią bladością.

- Jest pan pijany - powiedział nie podnosząc głosu - ale nawet w tym wypadku zabraniam panu mówić na ten temat. Dziwię się, że człowiek pańskiego...

- Nie. Nie jestem pijany. - Seymour mówił bardzo szybko. Nie mógł patrzeć spokojnie na mieniącą się gniewem twarz Francuza - Pana żona ma na imię Marianne i poznała pana na uniwersytecie...

Renard zerwał się z krzesła, lecz opanował się natychmiast i usiadł. Na czoło wystąpiły mu maleńkie kropelki potu.

- Skąd pan o tym wie!!?

- Widziałem się z pana żoną we Francji. Pracuje ona w F.F.I. Prosiła mnie, abym nie wspominał o niej panu, ani jednym słowem. Bała się, że może nie doczekać (proszę wybaczyć mi moją szczerłość) końca wojny i nie chciała

w obecnej trudnej chwili niszczyć pańskiej równowagi duchowej.
Dopiero po
uwolnieniu Paryża, miałem powiedzieć panu o tym wszystkim.
Będzie
przychodziła co dnia na grób Nieznanego Żołnierza, by modlić się
o pewnej
określonej godzinie. Oczywiście, nie powiedziałbym panu nic o
tej całej
rozmowie, gdyby nie to, że jutro wylatujemy na dość ryzykowną
wyprawę. Nie
mogę brać na swoją odpowiedzialność szczęścia dwojga ludzi.
Gdybym nie
powrócił, wtedy moglibyście się już nigdy nie spotkać... Nie
wspomniał, że
Marianne jest agentem CD-5. Nie wolno było ułatwiać Renardowi
poszukiwań.
Dał na to słowo tej nieszczęśliwej kobiecie i musiał go dotrzymać.
Kiedy
opuszczali lokal, Francuz był innym człowiekiem. Oczy świeciły
mu jasno, a
z twarzy znikł poprzedni wyraz zamyślenia.
- Nigdy panu nie zapomnę tej przysługi - powiedział przy
pożegnaniu. -
Ożywił pan martwego człowieka...

ÓRozdział Xi:

Przed wybuchem

Kiedy odgłos silników samolotu, w którym Seymour udawał się
na południe,

ucichł i rozplynał się we mgle otaczającej nieprzeniknionym
całunem

lotnisko, Jan uderzył Renarda lekko po ramieniu.

- Chodźmy!

Ruszyli w kierunku samochodu. Noc była wietrzna. Rękaw
powiewający nad
dachem hangaru łopotał na wietrze wynurzając się z oparu jak
wielki,
nieforemny palec utajonego w mroku olbrzymia. Smolarski mimo
woli wzdrygnął
się. Nie zazdrościł przyjacielowi tej podróży. Pomyślał o tonącej
w deszczu
nadmorskiej równinie. biedny Seymour! Niedługo już zawiśnie w
lodowatym
powietrzu i kołysząc się na linkach spadochronu wyszukiwać
będzie oczyma
upragnionej ziemi.

W czasie drogi nie odzywali się prawie do siebie. Kiedy auto
pomknęło po
jednej ze śródmiejskich ulic stolicy, Renard pochylił się w stronę
siedzącego za kierownicą Jana.

- A może byśmy wpadli do biura? Ostatnio ciągle są jakieś
wiadomości.

- Dobrze - Jan przystał na to. Przystałby zresztą na wszystko, co
zapropozowałby mu w tej chwili Renard. Śmierć Elżbiety, odjazd
Seymoura i
zbliżająca się szybkimi krokami inwazja, wytrąciły go z
równowagi. Nie
znosił problemów psychicznych. Niebezpieczeństwo grożące ze
strony

uzbrojonego nieprzyjaciela można było łatwiej znieść.

Nadchodząca inwazja

niosła z sobą gorączkowe wizje zwycięstwa. W myśli widział już dzień, w

którym Niemcy zostaną powalone. Przez szereg lat starał się myśleć jak

najmniej o rodzicach, domu i Kraju. Była to najlepsza recepta na nostalgię.

Obecnie wszystko to wydawało się denerwująco bliskie.

Weszli do biura. Panował tu zwykły, codzienny nastrój. Dyżurni wartownicy

drzemali z palcami na spustach pistoletów maszynowych.

Służbowy podoficer

podniósł się na widok wchodzących i zasalutował:

- Captain Renard and Captain Smolarsky?

- Yes?

- Orders for both of you!

Podał im dwie długie, zalakowane koperty.

- Szukaliśmy panów wszędzie. Miałem co godzina wysyłać gońców do domów,

aby przekonać się, czy panowie jeszcze nie wrócili.

- Czy to tylko o nas chodzi?

Podoficer uderzył ręką w stos kopert wyglądających identycznie jak te,

które wręczył przed chwilą obydwu oficerom.

- Od siódmej wieczór rozsyłam wszystkich ludzi, jakich mam do dyspozycji.

Przyzna pan, że znalezienie człowieka w Londynie natrafia jednak na pewne przeszkody.

Renard roześmiał się.

Rozdarł kopertę i przebiegł wzrokiem kilka linijek maszynowego pisma.

"Stawi się pan natychmiast, po otrzymaniu tego rozkazu w..."
podpisano (-)

Popatrzył spod oka na Jana. Nie chciał wypytywać go o treść otrzymanego

rozkazu, lecz przysiąc mógł, że brzmi on dokładnie tak samo.

Wątpliwości

jego rozwiał sam Smolarski. Odprowadziwszy Renarda na stronę, tak aby

podoficer nie mógł ich usłyszeć, powiedział:

- Otrzymałem rozkaz natychmiastowego stawiennictwa w ... Nie wiem, kiedy

wrócę. Muszę więc pana pożegnać.

- Niech pan sobie wyobrazi, że i ja tam teraz jadę.

- To świetnie - Jan ucieszył się, lecz już po chwili spoważniał.

Widocznie rozkaz zaskoczył go.

W gmachu "XX" obaj oficerowie znaleźli natychmiast wskazane w rozkazie

biuro. Na pukanie Jana odpowiedział głośny okrzyk z wewnątrz.

Rumiany

kapitan siedzący za biurkiem rzucił okiem na ich papiery i

natychmiast

przywołał żołnierza.

- Odprowadzicie panów do autobusu!

Zamienili zdumione spojrzenia, lecz bez słowa udali się za idącym na

przedzie kapralem. Prawie natychmiast po ich wejściu autobus ruszył.

Znajdowało się w nim jeszcze kilkunastu wojskowych. Nie słychać było

żadnych rozmów: Widocznie wszyscy jadący porwani zostali wprost z domów lub z miejsca pracy i nie znali się między sobą.

Po kilkunastu minutach znaleźli się poza miastem. Jan szepnął do siedzącego przy nim Renarda.

- Ciekaw jestem, co to wszystko znaczy?
- Mam przeczucie - Francuz uśmiechnął się.
- Nie myśli pan chyba, że to już...

Renard nie odpowiedział lecz kiwnął potakująco głową. Po godzinie zatrzymali się. Miejsce, w którym się obecnie znajdowali, wyglądało jak obóz wojskowy. W świetle przedzierającego się przez chmury księżyca, Jan dostrzegł zarysy baraków. Ciągnęły się one daleko. Reszta obrazu tonęła w mroku. W tej samej chwili z ciemności wynurzył się człowiek. Głos miał jasny i ostry. Kiedy zaczął mówić, wszyscy zwrócili głowy w jego stronę.

- Proszę panów. Od tej chwili jesteście odizolowani zupełnie od świata zewnętrznego. Jeżeli ktokolwiek ma jakąś niezwykle, powtarzam: niezwykle ważną sprawę do załatwienia na zewnątrz, proszony jest o przedłożenie jej natychmiast w biurze oficera "Intelligence". Postara się on w miarę możliwości załatwić ją. Reszta panów, a więc ci, którzy nie mają naglających

spraw do załatwienia, proszę za mną na kolację.

Weszli do dużej, żołnierskiej jadalni, gdzie czekały już zastawione stoły. W trakcie jedzenia na salę wszedł ten sam człowiek. Teraz dopiero

Jan zauważył, że mimo młodego wieku ma na ramionach odznaki pułkownika.

- Po ukończeniu posiłku, wyczytani przeze mnie panowie udadzą się pojedynczo na odprawę do kasyna oficerskiego, które znajduje się na przeciw drzwi jadalni.

Jan, który skończył już jeść, podał rękę Renardowi.

- Przy tego rodzaju niespodzianych przejściach, niewiadomo, kiedy się znowu zobaczymy. Wolę wobec tego pożegnać się z panem.

- Szczęśliwej podróży! - Renard mocno uścisnął jego dłoń. Jan udał się do niskiego budynku na wprost jadalni. Skierowano go do dużego pokoju, w którym stały dwa biurka. Za każdym z nich siedział oficer. Jan zameldował jednemu z nich swoje przybycie.

- Captain Smolarsky? - gruby pułkownik długo szperał w pliku rozłożonych na stole papierów. - O yes! Samochód czeka już na pana. Miałem nawet przed godziną telefon z zapytaniem, czy pan już przybył.

- Ale o co właściwie...?

Pułkownik przyłożył palce do ust.

- Wszystkiego dowie się pan, aż za prędko. Proszę mnie nie pytać, gdyż ja sam wiem nie wiele więcej niż pan.

Po tej pocieszającej odpowiedzi Jan udał się do auta. Milczący żołnierz w

hełmie i bojowym rynsztunku, podał mu koce do owinięcia nóg.

Noc była

chłodna. Od wschodu wiał zimny, przejmujący wiatr. Ruszyli.

Kołysanie wozu

i jednostajny szum motoru uspiły Jana. Kiedy ocknął się, auto stało.

Żołnierz wysiadł i otworzył drzwiczki. Znajdowali się wewnątrz czworoboku

utworzonego z budynków podobnych do widzianych przez Jana

uprzednio. W

ciemności zajaśniał prostokąt otwierających się drzwi. Jakiś głos zawołał:

- Czy auto z "Camp Wallace" powróciło już?

- Tak jest, panie kapitanie! - odparł żołnierz.

- Przywieźliście pasażera.

- Tak jest! Oczekuje w aucie.

- To świetnie. Dawaj go tu!

Jan wysiadł z samochodu.

- Wydaje mi się, że to o mnie mowa.

Z ciemności wyrósł przed nim wysoki człowiek ubrany w nieprzemakalny

plaszcz.

- Captain Smolarsky? Proszę. Niech pan wejdzie! Mam wrażenie, że szklanka

herbaty doskonale panu zrobi po takiej drodze.

- Dziękuję! - Jan wszedł do jasno oświetlonego pokoju. Sprawiał on

wrażenie magazynu wojskowego, w którym przez dłuższy czas szalał huragan.

Na podłodze leżały najrozmaitsze części ekwipunku żołnierskiego. Na

krzesłach, na stole i wieszakach stały i wisiały najbardziej nieprawdopodobne przedmioty, jakie znaleźć można jedynie w obozie

wojskowym.

- Proszę nie zwracać uwagi na ten... hm... artystyczny nieład, jaki

panuje w moim pokoju. Właśnie jesteśmy wszyscy w trakcie pakowania się.

- Nie jestem specjalnie spostrzegawczy, ale mam wrażenie, że co dnia nie

można tu ujrzyć takich porządków - uśmiechnął się Jan.

- Tak. Ma pan słuszność - Oficer roześmiał się i, jak gdyby teraz dopiero

uświadamiając sobie w pełni obecność gościa, podszedł do niego i wyciągnął dłoń.

- Jestem Brickett, kapitan George Brickett. Mam polecenie zaprowadzić

pana natychmiast do dowódcy pułku. Czekają tam na pana jak na zbawienie.

- Wobec tego zrezygnuję ze szklanki herbaty, którą mi pan łaskawie

zaofiarował. - Jan chciał się wreszcie dowiedzieć, na czym polegała jego

rola w tym nieznanym mu zupełnie obozie.

Udali się na pierwsze piętro. W niskiej, jasno oświetlonej sali, młody, liczący nie więcej jak trzydzieści pięć lat, pułkownik stał przed wielką mapą i cienką, trzymaną w ręku laseczką wskazywał na niej jakiś punkt. Jan nie potrzebował przyglądać się długo karcie, aby stwierdzić, że przedstawia ona wycinek wybrzeża, na którym leżał "Sektor CD-5". Uczuł jak serce zaczyna mu bić przyspieszonym tętnem. A więc jednak Renard miał słuszność? Zebrani wokół mapy oficerowie nie zwrócili najmniejszej uwagi na wejście nowych osób. Na twarzach ich malowało się napięcie. Oczy nie schodziły z niebiesko-zielonego obrazu, na którym jasnym pasmem odcinała się szeroka plaża. Brickett cicho podszedł do stołu i powiedział coś do ucha pułkownikowi. Ten ostatni opuścił natychmiast laskę i odwrócił się.

- No. Nareszcie! Gdzie on jest?

- Tutaj.

Teraz dopiero wzrok dowódcy pułku przeniósł się na stojącego w cieniu Jana.

- Ach! To pan! Czekamy już od ośmiu godzin. Panowie - zwrócił się do otaczających go ludzi - to jest kapitan, mniejsza o nazwisko, który udzieli

nam wyczerpujących objaśnień w związku z mającą nastąpić akcją. Poza tym

będzie on towarzyszył pułkowi także podczas uderzenia.

Cichy szmer przeszedł po sali. Oczy wszystkich spoczęły na młodym Polaku, który stał spokojnie, siłą woli starając się ukryć ogarniające go zdumienie. Był przyzwyczajony do oryginalnych metod Sztabu Generalnego.

Ostatecznie, o ile chodziło o "Sektor CD-5", mógł śmiało poruszać się po jego terenie nawet z zamkniętymi oczyma. Podczas ostatnich tygodni on,

Renard i Seymour spędzili tak wiele czasu nad stołem plastycznym i tak

długo wykuwali na pamięć fragmenty fortyfikacji oraz zasięg ogniowy

poszczególnych punktów oporu, że nie czuł żadnych obaw.

Wysunął się na środek.

- Czy chciałby pan, panie pułkowniku, abym dziś jeszcze objaśnił panów dokładniej w charakterze i jakości umocnień tego odcinka - wskazał ręką na wiszącą na ścianie mapę - czy też posiada pan dostateczny zasób informacji.

- Otrzymaliśmy tę mapę dziś rano w zapieczętowanym worku. Od tego czasu

jesteśmy więźniami we własnym obozie. Żandarmeria pilnuje wszystkich wyjść

i nikt nie ma prawa wydalać się poza obręb drutów. Nawet żołnierz, który

pojechał po pana, jest przysłany z jakiegoś innego punktu. Do mapy przyłączone były instrukcje, lecz większa część objaśnień ma pochodzić właśnie od pana. Kazano nam szukać pana, od godziny piątej po południu w "Camp Wallace". Poza tym dodać muszę, że nie mamy prawa wypytywać pana o jakiegokolwiek nazwy terenowe.

- Dobrze - Jan wiedział już, jak ma postępować. W tej chwili dopiero przypomniały mu się wszystkie instrukcje specjalne, których uczyli się z Seymourem. W duchu podziwiał dowództwo alianckie, które w tak prosty sposób potrafiło połączyć konieczne restrykcje wojskowe z wyszkoleniem. Prawdopodobnie żaden ze stojących wokół niego ludzi nie wiedział, w jakim punkcie nastąpi lądowanie. On sam, choć miał być ich przewodnikiem, dopiero przed kilkoma minutami dowiedział się, że bierze udział w inwazji. Do tej pory nie wiedział, gdzie się znajduje i nie znał nazwy pułku, do którego go przydzielono. Ludzie byli wyszkoleni w manewrach tego rodzaju, przeszli wiele próbnych lądowań i wiedzieli czego mogą się spodziewać po nieprzyjacielu. Dla oficerów problem nie przedstawiał także wielkich

trudności. Byli oni szkoleni na odcinkach podobnych do tego, w jakim nastąpić miało lądowanie. Nie byli zresztą zdani na własne siły. Tuż za nimi postępować będzie olbrzymia armia wraz z całym swym precyzyjnym aparatem rozdzielczym korygującym najmniejsze błędy dowódców poszczególnych jednostek.

Niemniej jednak, od powodzenia osiągniętego przez pierwszą falę atakujących zależał los całej gigantycznej imprezy.

Przeprosiwszy go skinieniem głowy, Jan wyjął laseczkę z rąk pułkownika i tak jak stał w płaszczu i berecie, zaczął tłumaczyć zebranym układ punktów ogniowych i pól minowych nadbrzeża.

... każdy centymetr na tym terenie znajduje się pod krzyżowym ogniem wszystkich rodzajów broni. Nie wiem, jak to będzie wyglądało w praktyce, ale sądzę, że najpierw do akcji musi wejść lotnictwo i okręty wojenne. W momencie kiedy dojdziemy do skał, wszystko będzie w porządku. Najgorsza historia jest z plażą. Dalej w głębi także istnieją szeroko rozbudowane fortyfikacje, lecz jest tam wiele miejsca dla atakujących. W pierwszej chwili, natomiast, wystawieni będziemy na nieustanny ogień. Proszę pamiętać

- powtórzył dosłownie wyuczoną na pamięć instrukcję - że na tym sektorze
głównym zadaniem jest przedarcie się do skał. Zdobyć
górujących nad
terenem punktów nadbrzeżnych da drugiej fali naszych wojsk
możność
lądowania...

ŃRozdział Xii:

Atak...

Rankiem nastąpiło załadowanie. Jan stojąc obok dowódcy pułku,
patrzył z
przyjemnością na roześmiane twarze żołnierzy, żartujących
podczas
przeгляdu. Powoli pluton za plutonem wchodził na stojące długim
szeregiem
samochody ciężarowe. Pułkownik spojrział na zegarek.

- Za piętnaście minut powinniśmy wyruszyć.

W tej samej chwili wpadł do obozu goniec na motocyklu i
zatrzymał się
przed komendantem wręczając mu zapieczętowaną kopertę, w
której mieścił się
rozkaz wyjazdu. Wszystko odbywało się z zadziwiającą
dokładnością. Ruszyli
konwojowani przez żandarmerię brytyjską. Na skrzyżowaniach
dróg i na trasie
dostrzec można było licznych agentów policji. Jan jadący w wozie
dowódcy
pułku, rozmawiał z tym ostatnim o możliwościach ataku, był to
jedyne temat,

który mogli obecnie poruszać. Przed nimi za nimi i koło nich
ciągnął na
południe nie kończący się sznur pojazdów. W pewnym
momencie, kiedy droga
wspięła się na szczyt wysokiego pagórka, Jan rozejrzał się szybko
po
okolicy. To, co zobaczył, przyspieszyło bieg krwi w jego żyłach.
Wszystkimi
drogami ciągnęły czołgi, samochody i "half - trucki". W
powietrzu unosił
się monotony szum tysięcy silników. Wydawało się, że cała
Anglia ruszyła
do walki. Ludzie stali milcząc w oknach domów i po obu stronach
drogi.

Nastrój był poważny. Nie było prawie domu na Wyspach
Brytyjskich, gdzie by
nie modlono się w tej chwili o szczęśliwy powrót kogoś bliskiego.
Zajechali
na miejsce. Samochody, które wyrzuciły już swój żywy ładunek,
zawracały
teraz po nowy. Nie było jednak żadnych zatorów. Nigdzie nie
można było
usłyszeć głośniejszego przekleństwa.

Nad krajem rozpostarł się gęsty welon milczenia.

Dopiero na pokładzie okrętu atmosfera uległa pewnemu
odprężeniu. Czekali:
godziny mijały. Nadszedł zmrok. W kabinie dowódcy konwoju,
starszy,
siwiejący generał wtajemniczył ich w szczegóły planu lądowania.
Od tej

chwili byli już częścią największego w dziejach wysiłku mającego na celu przywrócenie wolności milionom ludzi, którzy śpiąc w tej chwili w swych łózkach, nie domyślali się nawet, że od brzegów Anglii odbiło już tysiące okrętów.

Zegar historii przyspieszył swój bieg.

Jan wyszedł na pokład. Okręt płynął cicho. Wydawało się, że nawet grzywiaste grzebienie fal ześlizgują się bezszelestnie po jego ciemnych burtach, jak gdyby nie chcąc zdradzić go przed ukrytym w cieniach nocy nieprzyjacielem. Na pokładzie stały blisko siebie długie, płaskodenne łodzie motorowe. Ludzie mający je prowadzić spali wewnątrz pookręceni w koce. Dopiero teraz, kiedy oczy jego przywykły w dostatecznym stopniu do ciemności, Jan dostrzegł sunący blisko za rufą okrętu kształt. Spytał stojącego przy nim oficera marynarki.

- Czy płyniemy w dużym konwoju?

- W największym jaki kiedykolwiek płynął po wodach tego świata! Sądząc z marszruty i niektórych wytycznych, jakie otrzymaliśmy tuż przed wyruszeniem, mam wrażenie, że w tej chwili na Kanale znajduje się ponad tysiąc różnorodnych jednostek.. W tej chwili obowiązuje nas na morzu taki

sam sposób poruszania się jak pojazdy na najruchliwszej ulicy Londynu.

Okrety płyną obok siebie tak gęsto, że gdyby był dzień, nie zobaczyłby pan ani skrawka widnokregu.

Generał także wyszedł na pokład i zatrzymał się przy rozmawiających.

Usłyszeli dźwięk zbliżających się silników. Wysoko ponad konwojem przelatywały samoloty. Musiało ich być setki. Generał spojrzął na zegarek.

- To spadochroniarze. Za kilkanaście minut zaczną lądować w rejonie mostów na Orne.

Samoloty przechodziły falami. Jan mimo woli pomyślał o ludziach siedzących w ich wnętrzu. Wiedział, aż za dobrze, jaki nastrój panuje przed skokiem. W duszy wyobraził sobie dwa rzędy postaci siedzących naprzeciw siebie w mroku. Niecierpliwe ręce raz po raz obmacują sprzączki i pasy spadochronu. Pod czaszką kłębią się myśli o pozostawionych w dole ludziach...

Znowu zaległa cisza. Po kilkunastu minutach ponownie zajęczały w górze silniki. Tym razem głos ich był głębszy i pełniejszy.

- Bombowce - powiedział spokojnie oficer marynarki.
- Tak - generał powtórnie opuścił wzrok na fosforyzujące wskazówki -

zaraz zacznie się kruszenie umocnień.

Po pewnym czasie dobiegł ich uszu daleki przytłumiony huk.
- Zaczyna się! - Jan zszedł do kabiny i założył hełm. Pistolet od chwili
zaokrętowania miał już na pasku. Wziął leżący pod ścianą pistolet
maszynowy, kilkoma ruchami sprawdził funkcjonowanie zamka i
lekko
przewiesił go sobie przez plecy. Wyszedł na pokład. Noc nie
ustępowała
jeszcze. Śpiący w łodziach i na pokładzie ludzie poczęli wstawać
po cichu i
przygotowywać się do akcji. Nie słychać było prawie rozmów.
Morze było
wzburzone, lecz powoli uspokajało się. Niemniej, pogoda nie
sprzyjała
zbyt amfibialnemu lądowaniu. Szarzało już, kiedy poprzez
wzrastający
łoskot bomb usłyszeli pierwsze salwy ciężkich jednostek
bojowych floty
brytyjskiej.

- To "Nelson", "Rodney" i "Warspile". Ale wał! - oficer
marynarki zatarł
ręce. - Jeszcze pół godziny takiego ognia, a nie będzie potrzeba w
ogóle
wynosić broni na brzeg!

Rzeczywiście grzmot dział stał się tak ogłuszający, że mimo
dość znacznej
odległości ludzie na statku z trudnością tylko mogli się ze sobą
porozumieć. Co prawda, nikt nie miał specjalnej ochoty do
rozmowy. Wszyscy

myśleli o wstrząsanym wybuchami brzegu normandzkim, na którym za kilkadziesiąt minut rozstrzygnąć się miały losy uderzenia. Rozpoczęto szybkie sprawdzanie załóg. Żołnierze wychodzili z luków stając w pełnym ekwipunku bojowym koło wyznaczonych sobie łodzi. Jan spojrział na morze. Jak okiem sięgnąć, widać było niezliczone kontury płynących okrętów. Brzeg normandzki tonął w chmurze dymu. Wybuchy znaczyły jego linię wysokimi wykwitami piasku i kawałków skały.

- Boże, co za piekło! - powiedział cicho jakiś żołnierz. Jan spojrzawszy nań zobaczył, że twarz człowieka jest trupio blada. Sam także nie czuł się najlepiej. Było coś niesamowitego w tym natarciu. Patrzącym wydawało się, że w tej chwili wszystkie moce piekielne szaleją na bielejącym w oddali brzegu. Byli coraz bliżej. Kapitan okrętu z zegarkiem w dłoni stał obok dźwigu. Machnął ręką. Pierwsza łódź wypełniona po brzegi żołnierzami zjechała w dół. Przez chwilę kołysała się na falach, wreszcie pomknęła naprzód. Jan zobaczył, że inne, jadące równoległe do nich okręty zwalniają. W tej samej chwili nad głowami patrzących przeleciał pierwszy pocisk.

Nadbiegł tak niespodziewanie, że wszyscy instynktownie rzucili się na pokład. Przemknął z przeraźliwym gwizdem tuż nad masztami i wystrzelił białym gejzerem wody niedaleko od jednej ze spuszczonej na wodę łodzi. W tej samej chwili przyszła kolej na Jana. Wskoczył ostatni. Blok zazgrzytał i niespodziewanie znaleźli się na wodzie. Przykucnęli pochyleni pod osłoną opancerzonych burt. Wyjrzał przez wąską szczelinę obserwacyjną. Brzeg był tuż, tuż. W tym samym momencie zobaczył, jak jadąca koło nich łódź zniknęła nagle, jak gdyby zdmuchnięta w czarodziejski sposób. Wybuch rozniósł ją na drobne kawałki.

- Myny kurwa ich mać! - zaklął krępy sierżant siedzący obok Smolarskiego.

W tej chwili łódź zatrzymała się. Przednia kłapa pomostu opadła i ludzie, jeden za drugim zaczęli wskakiwać do wody. Jan przewiesił sobie pistolet ciasno wokół szyi. Maszynowy chwycił w obie wzniesione ku górze ręce i zanurzył się. Woda sięgała mu po pas. Posuwali się teraz wśród gradu pocisków. Szybkim spojrzeniem objął leżący przed nimi odcinek wybrzeża.

Wiedział dokładnie, gdzie się znajdowali. Idący przed nim żołnierz osunął

się w wodę. Jan chciał się schylić, aby wyciągnąć leżącego, lecz przypomniał sobie instrukcje o zamoczeniu broni, odwrócił więc się tylko i krzyknął w kierunku łodzi.

- Człowiek w wodzie, tuż za mną!

Głos jego rozpląnął się jednak w huku dział. Nie było czasu na rozmyślanie. Grunt począł się powoli podnosić. Biegli teraz jak szaleni, rozpryskując wysoko wodę. Gdzieś tam słychać było wybuchy min. Ogień broni maszynowej zamiatał wybrzeże siejąc takie spustoszenie, że w płytkiej wodzie przybrzeżnej tworzyć się zaczęły zatory z leżących ciał. Ogień z morza ustał i atakujący zdani byli od tej chwili na własne siły. Przebiegli odcinek płycizny i padli na płask tuż przed poszarpaną pociskami zaporą z drutu kolczastego. Jan kilkoma ruchami wykopał sobie łopatką płytką osłonę. Powoli nie unosząc prawie głowy rozejrzał się. Ogień szedł ze skał. Nie przypominały one teraz pięknych zielonych wzgórków na stole plastycznym w biurze Renarda, lecz mógłby z pamięci wyliczyć jakie typy broni ukryte były w ich załamaniach. Nie mógł jedynie zrozumieć, na co potrzebna tu była jego wiedza fachowa. Sektor CD-5 przedstawiał w tej chwili obraz zupełnego

chaosu. W ciągu pierwszych dziesięciu minut atakujący zajęli zewnętrzną kawałek plaży i okopali się na nim. Mimo to, sytuacja była prawie tragiczna. Wyglądało tak, jak gdyby siedzący bezpiecznie w skałach Niemcy wyszukiwali sobie spokojnie cel dla karabinów maszynowych i dział, podczas kiedy Anglicy szamotali się bezradnie w dole nie mogąc postąpić kroku naprzód. Dowódca batalionu przyczołgał się do Jana.

- Gówno nie wojna! - krzyknął - Jeżeli planowanie zajęło naszym sztabowcom dwa lata, to trzeba było poczekać jeszcze dziesięć! Jan pochylił się ku niemu.

- Trzeba będzie zebrać ludzi i ruszyć na "hurra"! Lecz major nie odpowiedział. Leżał cicho oparłszy głowę na rękę jak człowiek śmiertelnie znużony. Spod jego hełmu ciekła wąska smuga krwi.

Smolarski przyciągnął go do siebie. Jedno spojrzenie wystarczyło. Dowódca

batalionu nie żył. Uczuł wzbierającą w sercu rozpacz. Nie tak wyobrażał sobie atak na przedpole Niemiec. Odwrócił głowę i kiwnął ręką na leżących

za nim żołnierzy. Wskazał na skały. Zrozumieli go. Wszyscy czuli, że

jeszcze godzina, a na plaży nie pozostanie ani jeden żywy człowiek. Cała

olbrzymia stojąca za nimi armia nic na to nie mogła poradzić. Jan powiódł

oczyma po morzu. Horyzont czerniał od wszelkiego rodzaju okrętów. Nowe łodzie płynęły w stronę brzegu. Zdawał sobie jednak sprawę, nie będzie można wysadzić na brzeg ani jednego czołgu, działa lub radiostacji nie mając choćby jednego punktu na wybrzeżu w rękach. Dwóch żołnierzy przypełzło ku niemu.

- Panie kapitanie. Wyduszą nas tu jak pluskwy!

- No to jazda!

Sam nie wiedział w jaki sposób znalazł się ponad krawędzią dołka. Ruszyli za nim. Biegł jak szaleniec. Tuż przed nimi eksplodował pocisk rzucając ich siłą wybuchu na ziemię. To prawdopodobnie uratowało im życie. Po kilku

sekundach znaleźli się pod wielkim leżącym u stóp skał głazem.

- Jest pan cały, sir?

Jan podniósł palce w ruchu churchilowskiego pozdrowienia. Ku swemu

zdumieniu zobaczył pod okapami hełmów uśmiechy. Przez chwilę wsłuchiwali

się w grzmiot dział. Gdzieś na prawo, mniej więcej o kilometr wrzało istne

piekło.

- To Kanadyjczycy szturmują brzeg, sir. Musi tam być gorąco!

Leżeli teraz na najbardziej wysuniętym punkcie odcinka.

Niemcy powinni

byli znajdować się o kilkanaście metrów od nich, nieco w górze.

Jan

przypuszczał, że tylko dlatego nie otwarto do nich ognia z granatników, ponieważ wybuch pocisku zasłonił obrońcom miejsce, w którym się ukryli.

Nagle jak błyskawica przeszła mu przez mózg myśl. Nikt z atakujących nie mógł użyć granatnika, gdyż trudno było się zorientować, gdzie właściwie znajdują się Niemcy. Wydawało się, że cała powierzchnia skał zionie ogniem

wprost w twarz atakujących. Lecz on wiedział!!!

Zwrócił się do żołnierza:

- Czy mamy tu gdzieś blisko granatnik?

- Był jeden, tam - Anglik wskazał palcem na odległy o kilkanaście metrów punkt, gdzie mały okop wskazywał na obecność żołnierzy.

- Gdyby go tak tu mieć! - Jan zmierzył okiem odległość. Nie. Niemożliwością było powrócić z ciężkim, nie dającym się łatwo unieść

przedmiotem. Spojrzał na podrzucane nieustannym ogniem karabinów

maszynowych grudki ziemi. Niestety! Nie było to już ryzykiem, a zwykłym

samobójstwem. A gdyby tak spróbować stamtąd? Nie. To także nie dawało

wyniku. Niemcy już po pierwszym strzale zorientowały się skąd idzie

ogień. Całe wybrzeże leżało przecież przed nimi jak na dłoni.

Nagle stało

się coś zupełnie niespodziewanego. Jeden z żołnierzy szybkim ruchem oparł

pistolet maszynowy o kamień i poprawiwszy pasek przytrzymujący hełm skoczył nagle na otwartą przestrzeń. Błyskawicznie przeokoziółkował w dół i zniknął za krawędzią okopu. Jan patrzył w osłupieniu. Nawet w tej chwili nie przeszło mu przez myśl, że...

Żołnierz ukazał się ponownie. Towarzyszył mu drugi człowiek. Trzymali w rękach czarny, rurkowaty przyrząd osadzony na krótkim trójnóżku. Jeden z nich dźwigał na pasku małą skrzynkę z amunicją. Tknięci jedną myślą, Jan i siedzący koło niego żołnierz skoczyli ku nim. Przez nieskończenie długą chwilę pięli się ku górze. Wreszcie granatnik znalazł się pod głazem. W tej samej chwili po powierzchni kamienia zagrzechotały kule. Ostatni z żołnierzy, który nie zdążył jeszcze ukryć się za załamaniem głazu, rozłożył szeroko ręce i osunął się w dół. Jak zahipnotyzowani patrzyli na jego wstrząsane uderzeniami pocisków ciało. Niemiecki karabin maszynowy pastwił się przez chwilę z wściekłością nad martwym już człowiekiem, wreszcie przeniósł swój ogień w inne miejsce.

Jan spojrział na otaczających go ludzi.

- Wielki Boże! - powiedział jeden z nich - Wielki Boże!

Odwrócili głowy. Nikt nie chciał patrzeć na to, co pozostało z człowieka,

który z pogardą śmierci wyrwał się z ukrycia, aby bez rozkazu wykonać tak

niebezpieczne zadanie. Jan spojrział na zegarek i zdumiał się.

Dopiero

dwadzieścia minut minęło od chwili, kiedy dotknął nogą suchego gruntu.

Wyjrzał spod kamienia. Na lewo, tuż przed nimi ciągnął się poszarpany zrąb

skalny przecięty małą, w skale wykutą platformą. Tam właśnie tkwiło gniazdo

karabinów maszynowych. Własnoręcznie nastawił granatnik.

Pocisk wyleciał z

sykiem i przez chwilę słyszeli go, jak piał się prawie prostopadle ku

górze. Po sekundzie począł opadać. Świst wzmógł się. Mimo woli przytulili

głowy do kamienia. Nastąpił krótki, gwałtowny wybuch. Nad platformą unosił

się mały obłoczek dymu. Ogień karabinu maszynowego ustał.

- Jeszcze go raz! - W zacierzewieniu powiedział to po polsku.

Trzymający

pocisk żołnierz spojrział nań ze zdziwieniem, lecz zrozumiał znaczący ruch

ręki. Znowu chwila oczekiwania. Tym razem wybuch nastąpił na pewno wewnątrz

stanowiska. Jan śledził lot pocisku przez cały czas.

- A teraz naprzód! - Skoczyli. Upadli na dźwięk nadlatującego pocisku

artyleryjskiego i natychmiast po wybuchu poderwali się. Jan skinął na strzelca, aby podsadził go do krawędzi. Dwu innych stanęło tuż pod nią z pistoletami maszynowymi gotowymi do strzału. Jedną ręką chwycił za brzeg. Skąła była wilgotna i oślizła. Ostrożnie uniósł się na ramionach podtrzymującego go żołnierza. Wysunął głowę i nie zobaczywszy nikogo zaryzykował przerzut. Kiedy uderzył nogami o skałę, padł natychmiast i rozejrzał się błyskawicznie dokoła. W szczelinach tkwiły dwa ciężkie karabiny maszynowe wymierzone w kierunku plaży. Przy nich leżało kilku niemieckich żołnierzy. Byli martwi. Widocznie zginęli podczas pierwszego wybuchu, gdyż jeden z nich trzymał jeszcze w rękach taśmę amunicyjną.

Jan przechylił się na zewnątrz i dał znak żołnierzom. Po chwili wszyscy znaleźli się na górze. Przysiedli i Smolarski zastanowił się. Drugie gniazdo powinno być znajdować się na prawo. Ogień jego miał wspólną ogniskową z ogniem przed chwilą zdobytego karabinu. Podszedł doń.

Szczerliwym trafem broń była nienaruszona.

- Musimy dać znać Niemcom, że tu jesteśmy!

Wspólnymi siłami przestawili jeden z karabinów bardziej na lewo. Przez

lornetkę począł obserwować przeciwległe zgrupowanie skalne. Po chwili

zobaczył wąską smugę ognia i usłyszał szybki szczekot. Mały dymek. Smuga

ognia. Dźwięk... Wiedział już.

- Chłopcy! Musicie przez cały czas trzymać pod ogniem ten bunkier. -

Wskazał ręką zamaskowany otwór. - Jeżeli pošlecie im parę celnych i

niespodziewanych serii, zamilkną. Ja tymczasem skoczę po ludzi.

- Po co, panie kapitanie? - jeden z żołnierzy uśmiechnął się - możemy

zaraz dać chłopcom znać!

Wyciągnął z kieszeni czystą, równo złożoną flagę brytyjską i przywiązał

ją do lufy karabinu. Zszedł na najniższy punkt platformy i wychylił się

wymachując. Mimo nieustannego huku dział, usłyszeli, jak przez plażę

przeleciał głośny okrzyk. W tej samej chwili zagadał niemiecki karabin

maszynowy. Żołnierz oczekujący przy celowniku nacisnął spust. Zatrzaśkała

długa, przejmująca seria. Karabin w skałach ucichł.

Jan stanął na parapecie i począł wymachiwać rękoma. Na dole zrozumiano

go. Mimo flankowego ognia dział i oporu ukrytych w wewnętrznych

umocnieniach Niemców, przygwożdżona przez długi czas do plaży piechota

ruszyła naprzód. Po półgodzinnym boju, na najwyższym punkcie nadbrzeża załopotał Union Jack.

Pierwszy wyłom w pasie nadbrzeżnych fortyfikacji był dokonany.

ÓRozdział Xiii: Na przyczółku

Jan spotkał się z Renardem zupełnie przypadkowo w kilka dni po wylądowaniu. Francuz był w doskonałym humorze.

- A więc już po wszystkim! Cieszę się, że pana widzę żywego. W życiu nie miałem takiego stracha, jak podczas tego szturm. Wysiadłem na brzeg z pierwszą falą atakujących, na samym krańcu naszego sektora. Początkowo Niemcy dali nam takiego łupnia, że nie wiedziałem, czy żyję jeszcze, czy nie. Powiadam panu, coś okropnego! Formidable!

Jan roześmiał się.

- Niech pan nie sądzi, że mnie ominęła ta przyjemność. W pierwszej chwili miałem wrażenie, że nigdy nie dostaniemy się do skał. Cały plan inwazyjny wydał mi się bezsensowny. Okazało się później, że znacznie wyprzedziliśmy innych. Podobno Amerykanie dostali się na niektórych odcinkach w tak

straszliwy ogień, że przez kilka godzin leżeli na plaży nie mogąc poruszyć się naprzód ani w tył. Dopiero strzelające z bezpośredniej odległości kontrtorpedowce i precyzyjne bombardowanie lotnicze z niskiego pułapu "zgasiły" Niemców.

Zamilkł wsłuchując się w niedaleki odgłos dział. Stojący blisko brzegu wielki krążownik amerykański słał co minutę serię pocisków w szumiącą odgłosami wybuchów dal. Nad wybrzeżem kołysały się grube cielska balonów zaporowych. Morze, jak okiem sięgnąć, pokryte było najrozmaitszymi statkami, od wielkich transatlantyków, aż do małych łodzi motorowych, które bez przerwy krążyły pomiędzy okrętami a wybrzeżem. Płaskodenne barki desantowe przybijały do brzegu. Pierwsza z nich uderzyła lekko o piasek i zastygła w bezruchu. Przednia burta tworząca szeroki dziób, opadła z trzaskiem i na brzeg wyjechał ciężki, huczący motorami "Sherman", za nim drugi.

Jan patrzył na ten obraz z niemym podziwem.
- Wie pan? W pierwszej chwili nie zdawałem sobie zupełnie sprawy z tego, co się wokół mnie działo. Później, kiedy dowiedziałem się o sposobie, w

jaki akcja została zaplanowana, zabrakło mi słów na wyrażenie podziwu dla naszego dowództwa. Teraz dopiero rozumiem, jakiego geniuszu trzeba było, aby ułożyć "rozkład jazdy" dla czterech tysięcy różnorodnych statków i setek tysięcy ludzi mających pełnić najróżnorodniejsze, często nic z sobą pozornie nie mające wspólnego zadania. Nigdy ludzie czytający o tym nie zrozumieją, co naprawdę działo się tutaj podczas tych pierwszych dwóch dni.

- Tak. Ma pan rację. Cieszę się natomiast z czego innego: nikt teraz nie będzie mógł twierdzić, że żołnierz niemiecki jest lepszy od innych żołnierzy. W momencie lądowania sytuacja wyglądała w ten sposób, że naprzeciw czternastu dywizji Rommla stało w sumie sześć alianckich. Prócz tego, Niemcy siedzieli w tych swoich umocnieniach, podczas kiedy my byliśmy zdani na łaskę i niełaskę morza, pogody, wiatru i innych głupstw, które ich zupełnie nie obchodziły. Do końca życia nie zapomnę tego pierwszego szturm!

Siedli na wzgórku przyglądając się pracującym w promieniu plaży ludziom. Nieustanny strumień wojsk i materiału płynął bez przerwy z Wysp, dążąc

wszystkimi drogami na odległy zaledwie o kilkanaście kilometrów front.

- Ciekaw jestem, co słyhać z Seymourem? Powinien być gdzieś niedaleko,

po tej lub po tamtej stronie frontu, jeżeli oczywiście... - Jan wykonał w

powietrzu znaczący ruch ręką. Renard spojrzał nań z zainteresowaniem.

- Chciałby się pan z nim spotkać?

- Czy chciałbym? Pytania ani odpowiedzi tego rodzaju nie mają na tym

kawałku kuli ziemskiej żadnej racji bytu. Niech pan spojrzy na tych

wszystkich ludzi, którzy tu pracują lub walczą. Sądzę, że wielu z nich

wolałoby być w tej chwili gdzie indziej.

- Nie o to mi chodzi. Zapomniał pan, że Seymour tak, jak i my obaj,

należy wciąż jeszcze do pewnej jednostki wojskowej. To, że nikt nas w tej

chwili nie potrzebuje, nie świadczy jeszcze wcale, aby o nas zapomniano.

Fakt wypełnienia przez nas nałożonego przez dowództwo zadania, także nie

wyrzuca nas poza orbitę działań wojennych.

- Przyznam się panu szczerze, że wolałbym powrócić do swojej jednostki. -

Janowi nie uśmiechała się perspektywa dalszej służby wywiadowczej -

przypuszczam, że teraz dopiero spadochroniarze rozpoczną prawdziwe

operacje. Posuwająca się armia potrzebuje ciągle tego rodzaju wojsk dla przecięcia dróg na zapleczu nieprzyjaciela, lub obsadzenia mostów...

Urwał, gdyż w tej samej chwili do uszu jego doszło dziwne brzęczenie.

Jednocześnie podnieśli głowy. Wysoko w powietrzu leciały dwa dziwaczne samoloty. Artyleria przeciwlotnicza milczała przez chwilę. Nagle wszystkie prawie działa na lądzie i stojących koło brzegów okrętach zaczęły strzelać jednocześnie. Samoloty nie zmieniły wysokości, nie próbowały także uniknąć ognia rozlatując się w dwie przeciwne strony. Leciały dalej spokojnie i pewnie, jak gdyby wokół nich nie szalało piekło rozrywających się szrapneli. Po chwili znikły nad horyzontem lecąc w kierunku Anglii.

- Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Co to mogło być? - Jan przetarł oczy.

- Może to jakiś nowy typ myśliwca? A może - Renard urwał - a może jest to właśnie ta nowa broń niemiecka. Nie słyszał pan jeszcze o pociskach raketowych? Zeszłego roku próbowali Niemcy wybudować kilka wyrzutni dla nich w rejonie Calais, lecz nasze lotnictwo w porę wygniotło je. Chodźmy

gdzieś posłuchać radia. Może się czegoś dowiemy.

Zeszli w dół do miejsca, gdzie mieścił się warsztat reperacyjny dla

uszkodzonych podczas akcji czołgów. W małej, skleconej ze skrzyń

amunicyjnych budce, grał cudem jakimś wykombinowany przez obsługę

radiodbiornik. Wokół niego siedziało kilkunastu odpoczywających żołnierzy.

Wszyscy w tej chwili pochyleni byli w stronę głośnika, z którego nie

wydobywały się żadne dźwięki poza przeraźliwym, kłującym w uszy gwizdem.

Nagle manipulujący przy gałce żołnierz uchwycić zdołał stację.

Londyn

mówił:

"...Uwaga! uwaga! Podajemy komunikat specjalny! W dniu dzisiejszym

nieprzyjaciel rozpoczął od dawna przygotowany atak na Londyn przy pomocy

pocisków raketowych. Dowództwo obrony kraju poczyniło już odpowiednie

kroki w celu zneutralizowania tego niebezpieczeństwa. W toku jest obecnie

opracowanie metody obronnej. Na razie jednak, przy usłyszeniu charakterystycznego brzęczenia należy jak najszybciej szukać

ukrycia w

piwnicy lub jakimkolwiek innym miejscu mogącym służyć za schron

przeciwlotniczy. Działanie pocisku raketowego jest

równoznaczne z

działaniem jednotonowej bomby burzącej...".

Komunikat zakończył się. Ludzie spoglądali po sobie ze zdumieniem. A więc jednak Niemcy wymyślili coś nowego! Wszyscy myśleli tylko o jednym: czy środek ten da się rozwinąć do tego stopnia, aby powstrzymać marsz aliantów w głąb Francji, czy też jest jeszcze jedną nieudaną próbą Hitlera mającą na celu osłabienie morale brytyjskiego.

Renard i Jan odeszli powoli w stronę skał. Przez dłuższą chwilę milczeli, wreszcie Smolarski przerwał milczenie.

- Czy raportował pan już swoją obecność w dowództwie Korpusu?

- Tak, powiedzieli mi, że mam na razie pozostać na wybrzeżu. Nie mają rozkazów, dla mnie.

- Tak. Mnie odpowiedzieli to samo. Może wstąpiłby pan do mnie. Mieszkam sobie zupełnie nieźle w namiocie po drugiej stronie umocnień.

Kiedy przybyli na miejsce, Jan zastał oczekującego go gońca.

- Are you Captain Smolarski, sir?

- Yes.

Żołnierz podał Janowi długą, niebieską kopertę. Ten ostatni wziął ją do ręki i przeprosiwszy Renarda rozdarł papier. Rzucił okiem na zawartość

koperty. Nagle podniósł głowę i powiedział:

- Otrzymałem rozkaz zameldowania się w Sztabie Trzeciej Dywizji Piechoty.

Renard nie czekając na dalsze wyjaśnienia pognął do siebie. Na kwaterze oczekiwał go list o identycznej treści. Powrócił z nim do Jana. Ten ostatni ucieszył się.

- Samotność w czasie wojny jest gorsza od samej wojny - powiedział sentencjonalnie dla zadokumentowania swoich myśli. Jak pan przypuszcza, gdzie nas teraz przydzielą?

- Nie wiem - Renard rozłożył ręce - moja wiedza o wojnie miała jakie takie zastosowanie w Londynie. Obecnie jestem ciemny jak tabaka w rogu.

Kiedy udali się do kwatery dywizji, powitał ich tam ten sam tłusty major, który kiedyś przyjmował Seymoura i Jana w gmachu biura Informacji Połączonych Sztabów.

- Dobry wieczór panom - Swanson był w doskonałym humorze - cieszę się, że spotkanie nasze wypadło na uwolnionej ziemi francuskiej. Proszę, niech panowie siadają! - wskazał im dwa przewrócone do góry dnem "jerrypany" po benzynie.

- A więc - zagaił, kiedy usiedli i zapalili papierosy - mam dla panów rozkaz wyjazdu do Londynu. Na jego podstawie wolno wam korzystać ze

wszystkich pływających jednostek jakie są do dyspozycji -
wręczył im

papiery. - Życzę powodzenia!

się na zewnątrz.

- Cieszę się, że nareszcie coś się zacznie dziać. Dziesięć dni
pobytu na
tej wstrętnej plaży obrzydziło mi morze do tego stopnia, że nigdy
w życiu
nie pójdę już się kąpać, nawet w Kalifornii! Dojadło mi zresztą to
spanie
na ziemi i brak gorącej wody do mycia.

- Tak. Ma pan słuszność. Za to w Londynie będziemy mogli
podziwiać

wyczyny tych ślicznych latających rakiet. - Jan roześmiał się
widząc

przygnębiającą twarz Renarda.

- Zupełnie o tym zapomniałem. No, ale na pewno długo tam nie
zabawimy.

Wydaje mi się, że nie będą nas tam trzymać, jeżeli tylko mają
trochę oleju
w głowie.

- A no, zobaczymy.

Tej samej nocy wsiedli na pierwszy płynący w kierunku Anglii
okręt.

Podróż odbyli względnie szybko i o siódmej rano znaleźli się w
Portsmouth.

W południe byli już w Londynie. Miasto sprawiało wrażenie na
pół
obumarłego. Mniej więcej, co pół godziny rozlegały się głucho
eksplozje

świadczące o tym, że Adolf Hitler nie zaniechał jeszcze swego planu mającego na celu zniszczenie największej metropolii świata. Ponury nastrój udzielił się także obu przyjezdnym oficerom. Wrażenie, że za chwilę automatycznie prowadzona bomba mogła upaść gdziekolwiek w sąsiedztwie, nie należało do najmiłszych. Toteż Renard i Jan natychmiast udali się do biura. Jan ze zdziwieniem patrzył na szare mury potężnego gmachu. Dzień, w którym przybył tu po raz pierwszy, wydawał mu się bardzo odległy, a przecież nie minęły jeszcze od tego czasu trzy miesiące. Tak wiele przeżył od tej chwili...

Renard zameldował ich przybycie oficerowi służbowemu. Ten ostatni połączył się telefonicznie z kimś wewnątrz gmachu i po chwili oczekiwania skierował ich na pierwsze piętro.

- Biuro Wywiadu Francuskiego i Centrala Koordynacyjna generała de Gaulle z Francuskim Ruchem Oporu - szepnął Renard do ucha przyjacielowi, kiedy wchodzili po schodach.

Gdy powracali, humor Jana poprawił się znacznie. Zadanie jakie mieli wykonać było skokiem w paszczę lwa. Udali się do innego biura. Tam starszy

pan w mundurze pułkownika opowiedział im wszystko, co można było

opowiedzieć o wyrzutniach broni "V 1".

- Lądowiska broni i materiałów wybuchowych ustalone macie panowie już

przez FFI. Punkty zrzutu i kontaktu także. Jeżeli chodzi o finansową stronę

zagadnienia, otrzymacie pewien fundusz dyspozycyjny przed wyruszeniem. W

trakcie pracy, o ile wam będzie potrzebna większa ilość pieniędzy,

skontaktujecie się z naszą centralą na miejscu. Chcielibyśmy, aby rola

panów ograniczyła się jedynie do śledzenia wyrzutni. Oczywiście jeżeli

nadarzy się okazja możecie zająć się ich likwidacją na własną rękę. W dwa

dni po was zostanie zrzucony na tym samym terenie oddział "Commando de

France". Mam nadzieję, kapitanie Renard, że pan jako Francuz potrafi z nimi

wydatnie współpracować. Sprzęt radiowy oraz inne przybory potrzebne do

przewodzenia akcji znajdziecie panowie na miejscu. Połączenie iskrowe jest

utrzymywane w miarę możliwości stale.

- No, nareszcie! - Jan odetchnął pełną piersią. Pociągała go wojna na

zapleczu. Renard chciał coś odpowiedzieć, lecz w tej samej chwili usłyszeli

nad głowami charakterystyczne brzęczenie. Dali nura do najbliższej bramy.

Po kilkunastu sekundach brzęczenie urwało się. Usłyszeli odgłos niedalekiej detonacji. Wyszli.

Jan pogroził pięścią w górę:

- Czekaście taka wasza... - powiedział po polsku - spotkamy się niedługo!

Renard patrzył nań ze zdumieniem.

ŃRozdział Xiv:

Niespodziewani goście

Seymour siedział nieruchomo. Od dziesięciu minut czekał na sygnał, lecz w słuchawkach nie zadźwięczał żaden głos. Oparł się plecami o maszt antenowy i raz jeszcze rozpoczął:

- Marta... Marta ... Ewa szuka Marty... Ewa szuka Marty...

Odpowiedziało mu milczenie.

...Marta... Marta... Ewa szuka Marty... Ewa szuka Mar...

Nagle w słuchawkach zabrzmiał daleki, przytłumiony głos:

...sto dwadzieścia jeden... sto dwadzieścia jeden... Marta szuka Ewy...

Marta szuka Ewy...:

- Halo! - Seymour gwałtownie pokręcił gałką wzmacniacza. -

Halo! Tu

Ewa... tu Ewa... król zmarł nad ranem... król zmarł nad ranem...

halo...

Czy mnie słyszycie?... czy mnie słyszycie?... Król zmarł nad ranem...

To było hasło. W obozie ucichły rozmowy. Dwóch kłócących się żołnierzy zamarło w bezruchu z otwartymi ustami.

W słuchawkach zabrzmiał kobiecy głos. Speakerka radiostacji "France Libre" mówiła:

... król nie zmarł... król nie zmarł... umrze dziś wieczór... umrze dziś wieczór...

To był odzew. Teraz miała rozpocząć się zasadnicza rozmowa. Seymour położył na kolanach bloczek i ołówek. Głos ciągnął dalej:

- Dziś o pierwszej w nocy, to znaczy za dziesięć godzin, Jaguar spotka się z Dorotą... Jaguar z Dorotą... Czy słyszycie?...

- Tak. Słyszę was dobrze. Proszę nadawać dalej...

- Jaguar przybędzie z dwoma kolegami... z dwoma kolegami... będzie miał ze sobą koszyk... koszyk malin... i krokiet... krokiet... to wszystko...

czy będziecie nadawać?... czy będziecie nadawać?...

- Tak... poproście Jaguara, żeby włożył do koszyka angielskie papierosy... angielskie papierosy... bo tych nie mogę palić... nie mogę palić...

W słuchawkach zabrzmiał oddalony śmiech.

- Niech pan nie prowadzi prywatnych rozmów z narażeniem na szwank dobrej

opinii naszych ludzi. Postaram się zrobić, co będzie można - po tym szybko

wypowiedzianym zdaniu, głos wpadł znów w powolne stereotypowe brzmienie. -

...Halo!... Marta mówi do Ewy... Marta mówi do Ewy... kończymy odbiór...

kończymy odbiór...

... Halo!... Ewa mówi do Marty... Ewa mówi do Marty... odebrano bez

zakłóceń... odebrano bez zakłóceń...

Seymour zdjął z uszu słuchawki i położył je na kolanach. Wstał powoli i z

szyfrem w ręku udał się do dowódcy oddziału. Brodaty kapitan siedział na

pniu paląc wielką wiśniową fajkę. Anglik podszedł do niego wymachując rękami.

- Wielki Boże! Skąd bierze pan taki ohydny tytoń?

- To nie jest tytoń. To czysta kora brzoźowa suszona i preparowana na słońcu. - Kapitan spojrział z zainteresowaniem na kartkę w ręku Seymoura. -

Co tam słyhać w wielkim świecie?

- Są wiadomości. Dziś w nocy będzie lądowanie. Otrzymamy dwóch ludzi z

dyspozycjami i może parę paczek angielskich papierosów, o ile speakerka ma

tak przyjemne serduszko jak głos. Broń także ma być przysłana.

Nie wiem

tylko jaka.

- To dobrze. Wolałbym więcej broni, a mniej tych przemądrzałych młodych ludzi z instrukcjami - westchnął głęboko i zaciągnął się wypuszczając w stronę Seymoura olbrzymi kłęb dymu.

- Niech mi pan powie, kiedy się to wszystko nareszcie skończy?

- Mam wrażenie, że już niedługo. Jakby nie było, stoimy pewną nogą na ziemi francuskiej.

- Właśnie o to chodzi - Francuz pokiwał głową z wyrazem dezaprobaty. -

Nie rozumiem dlaczego stoicie? Czy nie można było przez te wszystkie lata

wyprodukować dostatecznej ilości broni, aby teraz dać tym Boszom dobrze w

tyłek? Mam wrażenie, że zanim pańscy rodacy tu przybędą, Niemcy wytluką nas

jak wróble. Sam pan chyba rozumie, że lasy w rejonie St. Quentin to nie

puszcza południowo-amerykańska, a Somma to nie Amazonka.

Jeżeli Niemcom

przyjdzie do głowy zrobić na tym obszarze przyzwoitą obławę przy udziale

dwóch, trzech dywizji wojska, wtedy nie zobaczymy już końca wojny.

- Nie obawiam się o to. Gdyby Rommel miał w tej chwili do dyspozycji trzy

dywizje wojska, na pewno nie bawiłby się w okrażanie małych, nie mających

wielkiego znaczenia oddziałów partyzanckich, a pchnąłby je natychmiast na

front.

- Niech pan nie będzie zanadto przekonany. Niemcy także nie śpią i zbierają rezerwy. Jedyne wyjątki, jakiego się obawiam, to możliwość ich ataku na przyczółek i zepchnięcie aliantów do morza.

- Wątpię. Nie mają na to koniecznej przy tego rodzaju operacji przewagi lotniczej, a wybrzeże leży pod osłoną ciężkich jednostek floty anglo-amerykańskiej.

- Daj Boże... daj Boże... - kapitan zamilkł i otoczył się chmurą dymu.

Seymour poszedł w kierunku swego szałas. Przeleżał w nim do wieczora

myśląc. Nie rozumiał dlaczego tu się znajduje. Po uderzeniu aliantów na

Caen, cofnął się wraz z człowiekiem działającym pod kryptonimem "Albatros

4". W Argentan rozstali się. Tam został na mocy rozkazu pochodzącego z

centrali, przeniesiony do operowania nową radiostacją zainstalowaną w

lasach, przy grupie "Maquis". Od tego czasu siedział tu prawie beczynnie

zajmując się przyjmowaniem depech z Anglii. Wreszcie przedwczoraj otrzymał

rozkaz osobisty. Brzmiał on:

"K zaczeka na Jaguara. W koszyku będzie miał zmianę..."

Teraz właśnie miał nadejść samolot. Seymourowi stanęła w oczach postać

Elżbiety. Dziwnie łatwo przeszła mu ta namiętność. Wiedział jednak, że przy najbliższym spotkaniu zmysły owładnęłyby nim na nowo.

Nadeszła noc. Oddział przygotował się do drogi. Zrzutowisko oznaczone w

kluczu szyfrowym kryptonimem "Dorota", leżało o kilka kilometrów na wschód

od obozu. Ruszyli gęsiego z radiostacją pośrodku. Po dwugodzinnym marszu

przybyli na miejsce. Lotnisko "Dorota" była to wielka polana leśna, na

której swobodnie mógł wylądować i wystartować bombowiec typu "Mitchell" lub

jakikolwiek samolot wywiadowczy. Co prawda okolice były gęsto zamieszkałe i

lądowania samolotu nie dałoby się dobrze ukryć, lecz od czasu inwazji nie

przejmowano się już zbyt wielu Niemcami. Małe oddziały policji stacjonowane po

miasteczkach i większych wsiach nie mogły w nocy zaatakować dużego lasu.

Prócz tego lotnictwo niemieckie było zupełnie niewidoczne tak, że przestano

je brać w rachubę. Sto pięćdziesiąt kilometrów na zachód grzmiał front.

Nie, stanowczo Niemcy nie byli już tymi samymi Niemcami, którzy wkraczali

tu kiedyś pod osłoną potężnego lotnictwa i nie kończących się kolumn

czołgów.

Zajęli stanowiska wokół polany. Wysunięte placówki penetrowały las chroniąc grupę od ewentualnych niespodzianek.

Powoli mijały minuty. Seymour spojrział na fosforyzującą tarczę swego zegarka. Była dwunasta minut czterdzieści pięć. Włączył baterię aparatu.

Nastawił falę i czekał cierpliwie. Znowu minęło pięć minut. Nagle w eterze zadźwięczał głos.

- Mewa szuka Rybitwy... Mewa szuka Rybitwy...

- Tu Rybitwa... tu Rybitwa... czekamy... tu Rybitwa...

Powtarzał jedno i to samo słowo bez przerwy. Uniósł na chwilę słuchawki.

Nad horyzontem niósł się głos silników lecącego nisko nad ziemią samolotu.

Spojrział na kompas.

- Słyszę was... słyszę was... nadlatujecie z kierunku H 1,5... H 1,5...

Głos silnika potężniał z każdą chwilą.

- Nadlatujecie wprost na nas... wprost na nas... czy mnie słyszycie?

- Słyszemy... zapalcie światło sygnałowe.

Seymour dał znak zapaloną latarką. Jednocześnie, w kilku miejscach na

krańcach polany zabłyśły światełka. Samolot przeleciał powoli nad nimi i

zawrócił wyłączwszy silniki.

- Tu Rybitwa... Czy widzicie dobrze światła?

- Widzę... schodzimy do lądowania... przygotować się do odbioru...

Maszyna przysiadła lekko na polanie i potoczyła się po trawie. Równocześnie rzucili się w jej kierunku specjalnie przygotowani do tego celu ludzie. Seymour zdjął z uszu słuchawki i pobiegł za nimi. Kiedy zbliżył się, ujrzał na ziemi kilka postaci. Pilot siedział wewnątrz i przynaglał wyładowujących do pośpiechu.

Po chwili wszystko było gotowe. Na przeciwległym krańcu polany zapaliło się światło. Jeden z ludzi siedział na najwyższym drzewie ukazując pilotowi wysokość, na jaką samolot musiał się wznieść natychmiast po starcie.

Maszyna ruszyła. Po kilku sekundach Seymour zauważył, jak ciemny jej kontur przemknął ponad szczytami drzew. Odgłos silników ucichł w oddali. Wszyscy ocknęli się. Dowódca oddziału przynaglał do pośpiechu.

- Szybko panowie. Przed świtem powinniśmy być z powrotem w obozie.

Bez słowa ruszyli naprzód. Reszta ludzi rozrzuconych poprzednio wokół polany zamykała pochód. Seymour szedł przy swej radiostacji rozmyślając nad tym, jakie instrukcje mogli mu przywieźć dwaj nieznani goście. Był

przedświt, kiedy weszli do obozowiska. Porozstawiano ubezpieczenia i wszyscy nie wyłączając nowoprzybyłych, ułożyli się do snu. O dziesiątej obudził go żołnierz przysłany przez dowódcę.

- Pan kapitan prosi.

Seymour zaklął i przetaił oczy. Droga weszła mu w kości. Był zziębnięty i niewyspany. Powoli wydobył się ze śpiwora. Na dworze lał deszcz. Kapitan zaklął ponownie i wciągnął nieprzemakalny płaszcz. Przeszedł przez wymarłe obozowisko i pochylając się nisko wsunął do szafasu komendanta.

- Czy nie mógł pan sobie wybrać innej pory do wzywania mnie. Przy tej pogodzie psa kulawego nie wyg...

Urwał i rozszerzonymi zdumieniem oczyma wpatrywać się począł w dwie siedzące za stolikiem postacie. One także zastygły ze zdumienia.

Kapitan spojrział pytającym wzrokiem na Seymoura, a potem na dwóch gości.

- Widzę, że panowie się znają...

Wtedy dopiero wszyscy trzej jednocześnie odzyskali głos. Jan zerwał się z za stołu i chwycił przyjaciela w objęcia.

- Seymour! Czy to możliwe?

- Tak, to ja we własnej osobie. Ale skąd, na miłość boską, wy się tu wzięliście?

- Po prostu spadliśmy z nieba. - Renard podszedł do Seymoura z wyciągniętą dłonią. - Wczoraj wieczorem wylądowaliśmy tu.

- Ach! Więc to wy byliście przyczyną mego piętnastokilometrowego spaceru!

No! No! Prędzej bym się spodziewał samego Hermana Goeringa, niż was!

Brodaty kapitan także powstał od stołu.

- Widzę, że jestem świadkiem bardzo miłego spotkania. Nie ma innej rady, tylko trzeba wyjąć ostatnią butelkę koniaku dla "chorych" i poświęcić ją na uczczenie tej okazji.

Jan popatrzył nań z uśmiechem.

- Nie miał pan za wiele kontaktu z polskimi spadochroniarzami, kapitanie.

Nigdy w życiu nie ruszyłem jeszcze w drogę bez odpowiedniego zapasu alkoholu.

Wyciągnął z plecaka pękatą butelkę i ręką odbił korek.

Renard popatrzył nań z podziwem.

- Jak pan to robi, kapitanie? Mam wrażenie, że w pańskiej ojczyźnie fabrykanci korkociągów mają bardzo liche dochody.

Seymour roześmiał się.

- Nie widział pan go jeszcze otwierającego palcami butelkę piwa.

Jan spuścił skromnie oczy.

- Nie wszyscy mogą być jednakowo uzdolnieni. Jeden posiada talent do rysunków, inny do pisania. Mnie Bóg odmówił przyrodzonych zdolności prócz tej jednej.

- A to jest właśnie największa sztuka - brodaty kapitan klepał się po kolanach. - Widzę, że nareszcie zdecydowano się w Anglii aby zrzucić nam

utalentowanych ludzi. Jeszcze dziesięciu takich jak pan, a wojna będzie wygrana.

Zasiedli do stołu. Podczas jedzenia Jan i Renard opowiedzieli Seymourowi o swoich przeżyciach. Patrzył na nich z zazdrością.

- Nie wyobrażacie sobie, co przechodziłem tam, na zapleczu, słuchając pierwszych salw naszych okrętów. Kiedy rano stało się jasne, że inwazja jest w toku, myślałem, że zwariuję. Jak na złość przyszedł dla nas wszystkich rozkaz ewakuacyjny.

W tym momencie przerwał mu Renard:

- A jej... czy pan nie widział?

- Nie.

Seymour porozumiał się z nim oczyma. Nikt z obecnych nie zauważył nawet tej przerwy.

W pewnej chwili Jan siedzący koło Seymoura powiedział cichym głosem:

- Mam dla ciebie smutną wiadomość.

- Jaką - serce kapitana zabiło niespokojnie. Czyżby ktoś w sztabie miał

mu za złe niedyskrecję popełnioną wobec Elżbiety?

- Miss O'Connor została przed kilku dniami ciężko raniona przez bombę "V".

- Czyżby? - głos Seymoura nie zdradzał wielkiego wzruszenia. W gruncie rzeczy był szczęśliwy, że nie stało się nic gorszego. - Biedne maleństwo.

Jak się czuje?

- Kiedy ostatni raz byłem w szpitalu, do którego ją przewieziono, lekarz

dyżurny powiedział mi, że stan jej jest beznadziejny.

Seymour pokiwał z politowaniem głową.

- ta wojna, to jednak straszna rzecz. Kiedy się pomyśli, że taka młoda

dziewczyna jak ona musi odejść z tego świata, robi się człowiekowi smutno

na duszy. - Nalał whisky do kieliszków.

- Koledzy. Mam nadzieję, że pomożecie mi w wychyleniu tego toastu.

Unieśli naczynia ku ustom.

- A więc, za szczęśliwy pobyt na tamtym świecie panny Elżbiety O'Connor,

jednej z najmiłszych i najciekawszych kobiet jakie znałem!

Kiedy wypili, Jan zauważył, że w oczach Seymoura błyszczą dwie wielkie

łzy.

Takie było podzwonne agentki występującej w kronikach

Abwehry pod numerem

"B-432".

Po chwili wyszli przed namiot. Wypogodziło się trochę. Deszcz przestał

padać, a na południu chmury poczęły się przecierać, ukazując postrzępione

skrawki nieba. Idąc rozpoczęli rozmowę.

- Czy macie dla mnie jakieś nowe instrukcje? - rozpoczął

Seymour - Dwa

dni temu nadano nam wiadomość, że samolot ma przywieźć je dla mnie.

- Tak. - Renard uśmiechnął się - został pan członkiem naszego "przedsiębiorstwa". Jest moc roboty na tym terenie. Cieszę się bardzo, że trafiliśmy właśnie na pana... ach tak! - przypomniał sobie po chwili - mam tutaj pudełko do oddania człowiekowi prowadzącemu radiostację. Czy nie chodzi tu przypadkiem o pana?

- Oczywiście! Ciekaw jestem, co w nim może być?

Udali się do namiotu kapitana, gdzie Jan i Renard mieli złożone swoje rzeczy. Ten ostatni wyjął z walizki długie, zawinięte w papier pudełko.

Seymour otworzył je szybko. Wewnątrz znajdowały się równo poukładane pudełka papierosów.

- Dostaliśmy to tuż przed odlotem. Jakaś Francuzka przekazała je podobno, na kilka godzin przed naszym wyruszeniem. Oczywiście musiała być ściśle skontaktowana z grupą operacyjną w tym rejonie, gdyż w innym wypadku nie wiedziałaby o naszym odlocie. Oficer z "Intelligence" telefonował podobno w różne miejsca po otrzymaniu tego pakietu, w końcu jednak wręczył go nam przed samym odlotem. Widocznie osoba wysyłająca była wysoko postawiona i zasługująca na zupełne zaufanie.

Seymour roześmiał się.

- Tak, to nasza speakerka radiostacji "France Libre". Obsługuje ona krótkofalówkę, która utrzymuje z nami kontakt. Wszędzie poznałbym ją po głosie. Wczoraj prosiłem pod koniec audycji o papierosy. Nie mogę palić tutejszego świństwa.

- No pomyślcie tylko - śmiał się Renard. - Jeżeli Niemcy przejęli tę rozmowę, połamią sobie zęby nad odszyfrowaniem jej. Żaden zdrowo myślący człowiek nie będzie przypuszczał, że chodziło panu po prostu o papierosy.

Pierwszy raz słyszę coś takiego!

Seymour zaciągnął się głęboko.

- Chodźmy do mojego namiotu. Chciałbym z wami pogadać o "interesach".

Kiedy rozsiedli się na kocach, Jan zagaił rozmowę:

- Jesteśmy tu, ni mniej, ni więcej, tylko po to, aby wyłuskać wszystkie wyrzutnie bomb "V1" znajdujące się na tym obszarze. Według doniesień wywiadu, większość pocisków wylatuje z rejonu leżącego pomiędzy Brukselą, a Neufchatel, a więc z terenów położonych na zapleczu portów Calais i Boulogne. Okolice St. Quentin leżące na środkowej osi tego obszaru, lecz nieco w tyle, nadają się świetnie do "rozprowadzenia" akcji. Jutro albo

pojutrze przybyć tu ma oddział specjalnie wyćwiczonych "Commandosów" z "Commando de France". Będą oni pracowali wraz z nami nad unieszkodliwieniem wyrzutni. Powiadam ci, będzie zabawa!

Seymour nie był przekonany.

- No dobrze, ale jaką właściwie rolę ja mam grać w tym wszystkim? Od

dawna już nie widziałem tak bardzo improwizującej instytucji, jak międzyaliancki wywiad. Człowiek nigdy nie wie, czego od niego właściwie

chcą. Przez miesiąc robi się to, przez drugi miesiąc tamto, a właściwie nie robi się nic.

- Przypuszczam - zabrał głos Renard - że koncepcja naszych władz idzie po następującej linii postępowania: Ludzie ci (to znaczy: my) zakończyli swoje prace nad Sektorem CD-5. Nie można ich już zużytkować w kraju, gdyż w kraju pozostali jedynie ci, którzy zajmują się jego sprawami. Ponieważ panowie

Seymour, Smolarski i Renard są ludźmi zaufanymi i członkami wywiadu, a poza

tym posiadają wszyscy przeszkolenie bojowe typu spadochroniarskiego i znają

język francuski, więc wyślemy ich na stanowisko, gdzie są obecnie

najbardziej potrzebni: do likwidowania i węszenia za bombami raketowymi.

Jest to robota wywiadowcza mająca wiele wspólnego ze zwykłą akcją wojskową.

Nasz wiek i wykształcenie są czynnikiem dodatnim. Proszę także nie zapominać,

że dla Anglii sprawa jak najszybszego opanowania ataków rakietowych jest

bardzo ważna. Gdyby pan był w ostatnich dniach w Londynie przyznałby mi pan

rację. Znowu, po trzech latach przerwy, ludzie zaczynają spać w tunelach

kolei podziemnej. Wydano zarządzenia ewakuacyjne dla dwóch milionów kobiet

i dzieci. Podczas pierwszych dziesięciu dni nalotów zginęło w samym

Londynie ponad dwa tysiące osób.

- Jeśli tak, to tym lepiej - Seymour zatarł ręce - będzie moc zajęcia. O

ile oczywiście wojska nasze nie przełamają się i nie wykończą tej całej

imprezy.

- Hm... o ile miałem możliwość stwierdzić, to przed sierpniem nie należy

liczyć na żadną poważniejszą akcję. Nie jestem fachowcem w tej dziedzinie,

ale wycucie mówi mi, że brak nam jeszcze wielu koniecznych czynników dla

podjęcia decydującej ofensywy.

- Ano zobaczymy. - Jan nie brał dużego udziału w dyskusji.

Przemyślał w

tej chwili nad wprowadzeniem w życie otrzymanych przed wyjazdem instrukcji.

Poza tym nęciła go bliskość "rodzinnego" Lille, które było odległe nie

więcej jak o sześćdziesiąt kilometrów od miejsca, w którym się znajdowali.

Gdyby tak móc wyskoczyć i zobaczyć choćby na chwilę rodziców. Nie mieli od

niego wiadomości już przez dłuższy czas. Przypuszczał, że kartka, którą

wysłał kiedyś przez bawiącego w Anglii delegata

Międzynarodowego Czerwonego

Krzyża, doszła do nich. Kiedy to było? Tak. Przypomniał sobie.

Dwa lata

temu. Oczywiście, jeżeli delegat kartkę wysłał i nie pochwyciła jej

cenzura.

Tymczasem Seymour omawiał z Renardem sprawę zorganizowania akcji.

- Mamy tu FFI, które wie prawie wszystko, co dzieje się na terenie

Francji. Są oni od lat już zorganizowani i mają doskonały aparat wywiadowczy. Przed wyjazdem byłem w ich biurze londyńskim.

Niech pan

zresztą nie zapomina, że ja sam jestem Francuzem i pełnię tylko chwilowo

rolę oficera w "Intelligence". Jesteśmy tu zresztą nie po to, by wziąć

akcję w swoje ręce, lecz aby pomóc innym. Oddział

"Commando", który

zostanie zrzucony w najbliższej przyszłości, także ma na celu dodanie

specjalistów do akcji partyzanckiej. Jutro uzyskam widzenie z
pewną
kierowniczą osobistością na tym obszarze i omówię z nią plan
działania. Do
tego czasu, trudno mi określić, co będziemy, a czego nie
będziemy robić.

Renard skończył i zwrócił się do zatopionego w swoich myślach
Jana:

- Czas na obiad, prawda? Uważam, że nic tak nie działa
uspokajająco na
nerwy, jak dobry posiłek.

ŃRozdział XV:

Wyrzutnia na odludziu

Helmut Mertl siedział przerzuciwszy nogi przez poręcz fotela i
odruchowo
bawił się magazynkiem leżącego na stole pistoletu. Noc miała się
ku
końcowi. Myśli kapitana krążyły wokół wypadków ostatnich
tygodni. Od czasu,
kiedy został rozkazem dowództwa armii przeniesiony, jako
komendant kompanii
ochronnej, do jednej z wyrzutni bomb "V1", życie jego doznało
gwałtownych
przeobrażeń. Pierwszym ciosem, który odczuł nadspodziewanie
boleśnie, było
zniknięcie Marianne. Nie wiedział, czy odeszła celowo, czy też po
prostu
bieg wypadków zmusił ją do pozostania w Paryżu. W każdym
bądź razie nie

było jej przy nim i to wytrącało go z równowagi.

Drugim ciężkim zawodem jakiego doznał było załamanie się przybrzeżnych umocnień "Atlantic Wall". Do dziś dnia nie rozumiał w jaki sposób atakujący mogli pokonać wszystkie piętrzące się na ich drodze przeszkody w tak krótkim czasie. Z rozpaczą i przerażeniem w sercu cofał się wóczas wraz ze swoimi ludźmi w głąb lądu. Walczyli jak lwy o każdy metr terenu, a jednak nie mogli dotrzymać placu Anglikom, wspieranym przez huraganowy ogień okrętów wojennych i nieustanne ataki lotnictwa. Dalej w głąb lądu atakujący nie posunęli się. Opór zaskoczonych obrońców okrzepł. Z głębi Francji przybyły sprowadzone na gwałt rezerwy. Front stanął. Ciągłe jednak w duszy Mertla tkwiło jak zadra pytanie, na które nikt zupełnie nie umiałby mu odpowiedzieć. Kapitan myślał, czemu Rommel nie skoncentrował w tym miejscu większej ilości wojsk? Istniał przecież wywiad na terenie Wysp Brytyjskich. Czemu więc nie mógł on ostrzec w porę obrońców? W jaki sposób potrafili Anglicy ukryć przed światem przemarsz setek tysięcy ludzi i niesłychaną w dziejach koncentrację okrętów? Coś nie było w porządku. Jeżeli teraz

żołnierz niemiecki nie zdobędzie się na ostateczny wysiłek i nie zepchnie atakujących na powrót do Kanału, wojna będzie przegrana. A wtedy... Mertl nie chciał nawet w myśli rozważać tego, co nastąpi wtedy. Ciężkim ruchem zsunął się z fotela, włożył nieprzemakalny płaszcz i wyszedł z pokoju.

Wyrzutnia wyłaniała się z mroku pochylonym, długim konturem. Mertl obszedł ją od przodu i znalazł się obok magazynu pocisków. W tej chwili kilkunastu ludzi nakładało na wózek podłużny, cylindrowaty kształt, z obu stron którego odstawały dwa krótkie skrzydła. Ludzie mówili półgłosem, jak gdyby obawiając się, że wszystko słyszające uszy agentów nieprzyjaciela, mogą usłyszeć ich nawet na tym odludziu. Nie na darmo tkwił nad barakiem dowództwa śmieszny, karykaturalny garbus, a pod nim napis: "Schweigen! Feind hört mit!"

Mertl zbliżył się do pracujących żołnierzy.

- No, cóż tam, chłopcy? Jak idzie robota?
- Dziękujemy, panie kapitanie! Alles in ordnung!

Od wózka oderwał się wysoki cień.

- Dobry wieczór, kapitanie! Myślałem, że pan już dawno śpi.
- Nie. Nie mogę usnąć. Jak pan myśli, inżynierze, ile czasu zajmuje wam wyprawienie tego pudła w powietrze?

Mertl nie znosił huku wywoływanego przez startujący pocisk.
Zawsze budził
go on podczas nocy.

- Za dziesięć do piętnastu minut będziemy gotowi - inżynier spojrzął na zegarek. - Potem ja także położę się na parę godzin. Czy sprawdzał pan zamaskowanie wyrzutni! Wydaje mi się, że trzeba będzie naciąć świeżych gałęzi i rozpiąć siatki jeszcze wcześniej niż wczoraj. Marzę o tym, aby mieć tak wyszkolonych ludzi, którym cała robota, włącznie z wystrzeleniem pocisku, nie zajęłaby więcej czasu jak pół godziny. Cały pozostały czas wyrzutnia może spoczywać pod siatką. Mam wrażenie, że obecny system maskowania nie jest zły. Anglicy szukają zresztą wyrzutni przeważnie w pobliżu szos lub linii kolejowych. Wiedzą, że transport pocisków i budowa pochylni wymaga dobrego dostępu dla pojazdów. Na pewno nie spodziewają się, że jedna z nich może stać na takim pustkowiu.

- A no, zobaczymy. W każdym bądź razie rozkazałem pogłębić i rozbudować schrony dla załogi. Sądzę, że nigdy nam to nie zaszkodzi, szczególnie ze względu na zupełny brak artylerii przeciwlotniczej w tych okolicach.

W momencie kiedy wymawiał ostatnie słowa żołnierze doprowadzili wózek do wyrzutni. Inżynier podszedł szybko w ich stronę. Z ciemności dobiegł Mertla jego spokojny monotonny głos:

- Powoli... powoli.. już!

Zaskrzypiał blok dźwigu. Uskrzydłona torpeda osiadła z lekkim, metalicznym chrzęstem u stóp pochylni. Kapitan odwrócił się i ruszył w kierunku łąki. Nie znosił huku powstającego w momencie kiedy pocisk miał wyprysnąć w górę. Odszedł kilkanaście kroków, kiedy nagle jak spod ziemi wyrosła przed nim jakaś postać.

- Kto idzie? - Mertlowi wydało się, że poznaje zarys twarzy jednego ze swych ludzi.

- To ja - odparł jakiś nieznajomy mu głos po niemiecku.

Kapitan opuścił rękę na kaburę pistoletu. Coś w głosie nieznajomego zaniepokoiło go. Chciał się cofnąć i wyrwać parabellum z pochwy, lecz głos osadził go na miejscu.

- Ręce do góry i ani słowa!

Powiedziane to było półgłosem, jednak Mertl wyczuł, że najmniejszy ruch oznacza w tym wypadku śmierć. Stał niezdecydowanie.

- Ręce do góry, powiedziałem!

Głos przybrał na ostrości. Przez mózg niemieckiego kapitana myśli

przelatywały w błyskawicznym tempie. Wiedział, że człowiek ten, kimkolwiek był, był wrogiem. Była noc i nie widzieli się prawie. Jeden skok w Ciemność i strzał na alarm, a ze wszystkich stron skoczą mu na ratunek jego własni ludzie. Powoli podniósł ręce do góry i w tej samej chwili skoczył w tył. Ostatnim wrażeniem, jakie odebrały jego oczy, był widok smugi ognia wykwitającej z niewielkiej odległości, lecz z zupełnie innego kierunku, niż ten, w którym znajdowała się nieznajoma postać. Kiedy osunął się bezwładnie do stóp Jana, był już martwy. W tej samej chwili, jakby na dane hasło, zabrzmiały strzały ze wszystkich stron. Zawrzała krótka, nierówna walka. Żołnierze byli tak zaskoczeni niespodziewanym atakiem, że stawiali jedynie rozpaczliwy, nie zorganizowany opór. Po kilku minutach wokół wyrzutni zapanowała cisza, przerywana jedynie głosami nawołujących się zwycięzców. Renard, Seymour i porucznik "Commandosów" zebrali się na krótką naradę przy drzwiach baraku mieszkalnego.

- Trzeba będzie zrobić zdjęcia, wybadać jeńców, o ile są, i wysadzić cały ten bałagan w powietrze!

W tej chwili podszedł do nich Jan.

- Mam tu żywego inżyniera. Prowadził on tę całą maszynę. Jest oprócz niego czterech żołnierzy żywych. Sam nie wiem, co z nimi zrobić. Nie możemy ich zabrać ze sobą i nie możemy pozostawić tutaj.

Zamienił krótkie spojrzenie z porucznikiem "Commandosów."

- Moi ludzie zajmą się nimi - młody oficer błysnął w mroku zębami.

Seymourowi uśmiech ten przypominał uśmiech wilka.

- Inżyniera trzeba zabrać - zakonkludował Renarda teraz zrobimy już wreszcie te zdjęcia.

Stojący przy nich żołnierz, podał mu małą skrzyneczkę i aparat. Zabłyśła magnezja. W jej świetle zobaczyli spoczywający na wyrzutni pocisk.

- Ależ to wielkie bydlę! - Jan czule poklepał "V 1".

- Podłożyć ładunki! - Renard wydawał rozkazy spokojnym, dźwięcznym głosem, jak gdyby nigdy w życiu nie zajmował się niczym innym prócz prowadzenia do akcji drużyn dywersyjnych. Jan patrzył nań z uznaniem nie pozbawionym pewnej dozy zdumienia. Nie znał Francuza takim i nie przypuszczał przedtem, że w tego rodzaju sytuacjach okaże on tyle spokoju i zimnej krwi. "Commandosi" uwijali się jak cienie. Pomalowane na czarno twarze czyniły ich w nocy prawie niewidocznymi. Mieli zresztą poza sobą dwa

i pół roku intensywnego szkolenia i zdążyli już zaznajomić się ze wszystkimi arkanami walki partyzanckiej. Każdy z nich mógł prowadzić wszelkiego rodzaju pojazdy, znał typy broni własnej i nieprzyjacielskiej, posiadał akrobatyczny trening fizyczny, mógł obsługiwać radiostację oraz zakładać wszelkiego rodzaju ładunki wybuchowe. Byli to ludzie stanowiący kwiat armii. Sposób, w jaki wykonali dzisiejsze zadanie, nappełnił Jana podziwem. W ciągu pięciu minut posterunki stojące w szerokim promieniu wokół wyrzutni, zostały unieszkodliwione, druty kolczaste przecięte, łączność telefoniczna przerwana, a reszta zadania wykonana tak składnie, że nie doszło prawie do żadnej walki. Oddział nie poniósł najmniejszych strat. Jan, będąc oficerem wojsk spadochronowych, miał szczery podziw dla sprawności żołnierza w tego rodzaju akcjach.

Tymczasem oddział zbierał się do odejścia. Renard szybko zbadał wnętrze budynku mieszkalnego. Zebrawszy wszystkie napotkane w czasie przeglądu papiery do teczki, wyszedł na plac i dał znak do pochodu. Ruszyli cicho jak cienie. Po kilkunastu minutach byli już w lesie. Marsz odbywał się w tak

szybkim tempie, że niemiecki inżynier musiał wyęźać wszystkie siły, aby unikać uderzeń kolbą pistoletu maszynowego, jakimi częstował go przy najmniejszej próbie zwolnienia kroku, idący za nim żołnierz. Kiedy odeszli spory kawałek drogi, rozległ się ogłuszający huk. Wszyscy mimo woli pochylili głowy. Ponad korony drzew wystrzelił w powietrze olbrzymi słup ognia i trwał tak przez chwilę, oblewając okolicę upiornym, purpurowym światłem. Jan pomyślał o kilkunastu stalowych pociskach, które nigdy już nie wzleczą w powietrze, aby popłynąć wprost w kierunku uśpionego Londynu. Nie pozostał z nich teraz z pewnością najmniejszy nawet ślad, znikły rozdarłe w miliony cząsteczek siłą wybuchu, tak jak zapewne znikło leżące nieopodal od nich ciało niemieckiego oficera, którego położył jednym strzałem na początku potyczki.

Przyśpieszyli kroku. Kiedy znaleźli się w obozie, słońce rzucało już pierwsze promienie na polanę. Seymour przypilnował, aby jeńca umieszczono w bezpiecznym miejscu, po czym natychmiast zajął się przekazaniem wiadomości o zdarzeniach nocnych do Anglii. Po krótkiej chwili uchwycił kontakt i

zaczął nadawać:

...zadanie A1 wykonano... zadanie A1 wykonano... czy mnie słyszycie?...

A1 wykonano...

- Tak słyszymy was... słyszymy was... wyniki przesłać drogą na Konstantynopol... na Konstantynopol...

- Złapaliśmy duży znaczek za pięć pensów... za pięć pensów... co z nim

zrobić... co z nim zrobić... jest nieuszkodzony... nieuszkodzony...

- Odpowiedź o dwunastej... o dwunastej...

- Dobrze... przyjęto... przyjęto...

Zawiesił słuchawki na gwoździu i udał się w kierunku namiotu dowódcy

grupy "Maquis", gdzie obradowali obecnie oficerowie. Gdy zakomunikował im

treść rozmowy z Londynem, Renard odezwał się:

- Jeżeli sobie tego życzą, będzie można przetransportować te papiery na

"Konstantynopol" (był to punkt kontaktowy w St. Quentin).

Radziłbym się

jednak wstrzymać z tym do czasu, kiedy otrzymamy odpowiedź mówiącą nam, co

mamy robić z tym Niemcem. Taki facet, specjalista od "V1" może im się tam

bardzo przydać.

- To zależy od tego, czy będzie chciał mówić - Seymour z powątpiewaniem

potrząsnął głową.

- Niech się pan o to nie obawia, już nasi ludzie znajdą sposób na to, aby

otworzyć mu usta.

- Ale, ale, byłbym zupełnie zapomniał - Seymour spoważniał. -
Co
zrobiliście panowie z tymi czterema żołnierzami, których wzięto
wczoraj do
niewoli?

Dowódca "Commandosów" spuścił oczy i cicho powiedział:
- Zostawiliśmy ich związanych koło wyrzutni. Obawiam się
bardzo, czy nie
spotkało ich tam coś złego podczas wybuchu.

Jedynie Seymour nie wyczuł śmiechu w słowach Francuza.
Twarz jego
powlokła się rumieńcem.

- Jak można było - słowa z trudnością wychodziły mu z ust -jak
można było
zostawić bezbronnych ludzi w ten sposób?..

Zapadło milczenie. Nagle nie biorący dotychczas udziału w
rozmowie Jan
podniósł się i stanął twarzą w twarz z Anglikiem.

- Czy mógłbym wiedzieć, co cię tak martwi? Prawdopodobnie
nie to, że
setki tysięcy Polaków i Francuzów zostało już zamordowanych
przez Niemców w
obozach koncentracyjnych i innych miejscach, gdzie dzieją się
rzeczy, wobec
których tortury średniowieczne bledną jak świeca koło żarówki
elektrycznej.

Sądzę, że także nie martwi cię świadomość faktu, iż żołnierze ci
zostali
specjalnie wybrani spośród tysięcy swoich towarzyszy, gdyż
ochotniczo

zgłosili się do zadania, które polega na wypuszczaniu w kierunku Wysp Brytyjskich pocisków nie mających nic wspólnego z zasadami humanitarnego prowadzenia wojny. Jak wiesz, bomby "V" padają zupełnie przypadkowo i dotychczas spowodowały największy procent strat właśnie wśród kobiet i dzieci. Niemcy nie są narodem, wobec którego można kierować się jakimikolwiek względami uczuciowymi, trzeba ich tępić! Tępić jak robactwo!

Zamilkł i siadł nieco speszony własnym wybuchem. W namiocie zaległo ciężkie milczenie. Brodaty kapitan "Maquis" pierwszy ocknął się z wrażenia i podszedł do Jana z wyciągniętą dłonią.

- Nareszcie spotykam człowieka, który ma głowę na karku. Gdyby ci wszyscy mężowie stanu myśleli tak samo jak pan i ja, wojna skończyłaby się już rok temu.

Seymour siedział przez chwilę namyślając się.
- Wydaje mi się, że masz rację, Johnny, tym niemniej nie mogę spokojnie myśleć o losie tych czterech obezwładnionych ludzi leżących koło wyrzutni z pełną świadomością tego, co ich za chwilę ma spotkać. Nie mogę zgodzić się, aby to było ludzkie. Lepiej było rozstrzelać ich od razu.

- Nie uczyniliśmy tego właśnie ze względu na ciebie. Zresztą nie ma o czym mówić. Nie mamy wspólnej płaszczyzny do dyskusji - Jan był nieustępliwy. - Wy, Anglicy, nigdy nie byliście w tej sytuacji, co my.

Myślę w tej chwili zarówno o Francuzach jak i o Polakach. Nikt nie zabijał "hurtowo" waszych bliskich i nie wrzucał w celach naukowych waszych żon do komór gazowych.

- Czy wierzysz, że te wszystkie historie odbywały się na taką skalę, jak to chcą przedstawić niektóre nasze dzienniki? - Seymour potrząsnął głową z powątpiewaniem. - Wiemy wszyscy, że istnieją w Niemczech obozy koncentracyjne, w których Hitler trzyma swoich przeciwników politycznych, ale nie wierzę, żeby działały się tam takie okropności, jak chcą nasze czynniki oficjalne. Pamiętaj, że propaganda zawsze ma skłonności do przesady, inaczej nie byłaby propagandą.

- Oczywiście, oczywiście! - brodaty kapitan popatrzył na Anglika dziwnym wzrokiem - ma pan zupełną rację Mr. Seymour. Żałuję jedynie, że pan sam nie przebył kilku tygodni w jednym z tych niemieckich pensjonatów. Wtedy na pewno zmieniłby pan zdanie i to radykalnie.

Wstał mrużąc cicho jakieś francuskie przekleństwa i wyszedł z namiotu.

- Co mu się stało? - Seymuur patrzył zdumionym wzrokiem za odchodzącym. -

Nie powiedziałem chyba nic takiego, co by mogło go urazić.

- Owszem, powiedział pan - Renard myślał w tej chwili o latach walki i

poświęceń milionów ludzi, o latach, których wysiłek pójdzie na marne,

jeżeli opinie ogółu ludności Anglii i Stanów Zjednoczonych będą równoznaczne z zdaniem wygłoszonym przed chwilą przez

oficera wywiadu

brytyjskiego, a więc jednego z najlepiej poinformowanych ludzi. -

Nie zna

pan istoty problemu i jako Anglik nie jest pan w stanie go

rozgryźć. Dajmy

więc pokój jałowym dyskusjom. Chodźmy lepiej posłuchać tego, co ma nam do

powiedzenia Londyn. - Wyszli z namiotu.

Wieczorem nadjechał z punktu kontaktowego goniec na rowerze przywożąc

instrukcje. Zatrzymał się na noc w obozie, gdyż szosy prowadzące do St.

Quentin zawałone były dosłownie kolumnami ciągnących na front wojsk. Jego

samego omal że nie schwytała żandarmeria polowa podczas drogi.

W okolicy

roiło się od mundurowych i przebranych po cywilnemu agentów policji

niemieckiej. Wieść o zniszczeniu wyrzutni rozeszła się już

szeroko po

okolicy. Zresztą, potężny słup ognia, spowodowany przez wybuch, był widziany w promieniu wielu kilometrów. Według danych lokalnej placówki wywiadu, Niemcy nie planowali obecnie żadnego pościgu.

Ograniczono się jedynie do wzmocnienia garnizonów ochronnych wokół innych wyrzutni. W

raporcie, który goniec przywiózł z centrali, zaznaczono kilkanaście nowych punktów, na których, według wszelkiego prawdopodobieństwa, stały wyrzutnie.

Seymour złożył znajdujące się przy raporcie szkice sytuacyjne do teczki. I

przesłał natychmiast relację do Anglii. Wieczorem otrzymali rozkaz. Po

rozszyfrowaniu brzmiał on następująco:

"Kapitanowie: Renard, Smolarski i Seymour wsiądą do pierwszego lądującego w miejscu ich pobytu samolotu (przyłot nastąpi w razie pogody dziś w nocy o trzeciej punktualnie) i udadzą się do Anglii. Proszę zabrać ze sobą jeńca i

wszelkie dokumenty dotyczące broni "V". Oddział "Commando" przechodzi pod rozkazy miejscowej komendy Ruchu Oporu dla celów ostrej dywersji na zapleczu nieprzyjaciela".

Wszyscy trzej popatrzyli na siebie z niedowierzaniem.

- Co u diabła? - Zaklął zdumiony Seymour. - Czy oni tam zmysły

postradali? Nie dadzą człowiekowi niczego zacząć, a już odwołują go na powrót do Londynu. Można by pomyśleć, że Londyn jest miejscem, w którym jesteśmy obecnie najbardziej potrzebni.

- A no, zobaczymy - Jan powtórzył flegmatycznie swoje ulubione zdanie. W gruncie rzeczy było mu wszystko jedno, gdzie się znajdował, skoro nie mógł być przy rodzinie lub w Kraju.

Wieczorem tego dnia pożegnali się z pozostającymi na terenie ludźmi.

Brodaty kapitan przed wyruszeniem w drogę odwołał Seymoura na bok.

- Niech pan nie ufa Niemcom, kapitanie Seymour. Wydaje mi się, że powinienem panu opowiedzieć wiele wypadków, które widziałem tu na własne oczy. Niech pan pamięta, że nie wolno ich traktować jak ludzi.

Nie chciałbym, aby w przyszłości błędy popełniane w okresie pomiędzy dwiema ostatnimi wojnami powtórzyły się. Dobrze jest dostać raz lekcję, ale źle jest jeśli się jej nie zapamięta. Potrzebny nam jest kult nienawiści, tak

nienawiści! - dokończył z naciskiem i potrząsnął dłonią stojącego Anglika, na którego twarzy malował się wyraz bezgranicznego zdumienia.

Kiedy w nocy lecieli nad spowitym w ciemności krajem, Seymour długo

jeszcze myślał o tej rozmowie. Myślał o niej nawet później, kiedy koła lądującego samolotu dotknęły ziemi.

ŃRozdział XVI: Przełom

Tej nocy Jan spał w mieszkaniu Seymoura. Rankiem mieli wyjechać najwcześniejszym pociągiem do Southampton, a stamtąd do Francji. Renard, mający jechać tym samym pociągiem, udał się wieczorem na miasto, aby - jak sam mówił - sprawdzić, gdzie w Londynie można się jeszcze solidnie upić. Seymour, znający przyczynę zdenerwowania Francuza, nie nastawał nań zbyt, wiedząc, że ten ostatni będzie wołał, przed ostatecznym wyjazdem z Anglii samotność.

Człowiek, który od lat nie widział ukochanej kobiety, a w najbliższej przyszłości nie miał żadnych szans na uzyskanie z nią jakiegokolwiek kontaktu, nie mógł zrobić nic innego, jak tylko pójść gdzieś i upić się z desperacji. Teraz więc siedzieli z Janem w gabinecie omawiając spokojnie czekające ich wypadki. Otrzymali wreszcie upragniony przez Smolarskiego

przydział bojowy. Major, który załatwiał ich sprawę w biurze "IS",

powiedział Seymourowi wręcz:

- Szczerze mówiąc, nie wiemy, co z panami zrobić. Jest w naszym kraju tego rodzaju zasada, że jeśli jakiś oficer zostanie przeniesiony ze swej jednostki do wywiadu, nie powinno go się potem wysyłać do niej na powrót. Z drugiej strony kwalifikacje panów są tego rodzaju, że można je wykorzystać w wieloraki sposób. Proszę nie myśleć, że jedynie wy jesteście przerwani z miejsca na miejsce w ten sposób. Sytuacja obecna wymaga od nas jak największej elastyki. Żołnierz, który zakończył swoją pracę na jednym odcinku, powinien być natychmiast zatrudniony na innym. Posyła się więc go tam bez względu na to, czy jest to jego zasadnicze zajęcie, czy nie. W którymś tam wydziale sztabu ktoś doszedł do wniosku, że jesteście panowie bardziej potrzebni przy czołówkach pancernych jako tak zwani "oficerowie inteligencyjni", niż przy wykrywaniu stanowisk bomb "V". Nic na to nie mogę poradzić. Wojna wymaga wielu pozornie bezsensownych posunięć. Jedynie z góry można dobrze objąć widok. My, ludzie stojący gdzieś wewnątrz, nie

jesteśmy w stanie przewidzieć tego, co z nami zrobią za dzień lub za dwa.

Sam fakt zresztą przetrzucenia wielkich ilości wojsk z Anglii na kontynent

wprowadził w planowania naszego sztabu głównego wiele zamieszania. Mam

wrażenie, że panowie mnie dobrze rozumieją. Proszę pamiętać, że historia

określi kiedyś tę wojnę jako szereg improwizacji na wielką skalę.

Nic nie

dzieje się na podstawie sztywnych wytycznych, wszystko trzeba ciągle

zmieniać, regulować i poprawiać.

- Tak. Ma pan rację. - Obaj młodzi oficerowie dali się łatwo przekonać,

szczególnie dzięki temu, że dopiekła im już bardzo "podziemna" robota. Jan

od chwili, kiedy w kieszeni jego frena znalazł się rozkaz przydzielający

go do Czwartej Dywizji Pancerniej Stanów Zjednoczonych, poweselał bardzo.

- Jak myślisz - zapytał Seymoura - czy tego rodzaju przydział może

świadczyć o przygotowaniach do ofensywy.

- Nie wiem - Anglik stracił ostatnio wiele dawnej pewności siebie - ja

osobiście chciałbym, żeby to wszystko raz już się skończyło.

Wystąpię wtedy

z wojska i kupię sobie farmę, na której będę hodował kury, króliki albo

inne podobne paskudztwa.

Jan roześmiał się.

- Czy jesteś pewien, że tak właśnie zrobisz? Nie wiedziałem, że znasz się na hodowli drobiu.

- Nie. Nie znam się. Dlatego tylko może ostatecznie pozostanę w wojsku.

Wszystko zresztą będzie zależało od sytuacji powojennej.

Rozmawiali przez dłuższy czas o tym i o owym, wreszcie Seymour podniósł się z krzesła.

- Czy nie sądzisz, że już najwyższy czas, aby pójść do łóżka?

- Tak - Jan ziewnął przeciągle - tysiąc lat już nie spałem na tego rodzaju meblu.

Spał tak mocno, że rano Seymour musiał go z całej siły potrząsnąć za ramiona.

Gdy wyszli z domu niosąc w podręcznych workach wojskowych najpotrzebniejsze drobiazgi, było już bardzo późno. Kiedy przybyli na stację, pociąg właśnie ruszał. Przebiegli koło protestującego kontrolera i w ostatniej chwili uczepili się drzwiczek w jednym z przedziałów ostatniego wagonu. Szczęście nie opuściło ich również w Southampton, gdyż zdążyli na statek w momencie, kiedy marynarze przygotowywali się już do wciągnięcia trapu.

Stojący na pokładzie Renard pokładał się ze śmiechu.

- Wyglądaliście jak para obłąkanych pędząc po nadbrzeżu z tymi workami na

plecach. O ósmej wieczór powinniśmy być na miejscu, jeżeli
oczywiście jakaś

wesoła mina nie będzie chciała pęknąć z radości na naszej drodze.

Jan rozejrzał się po pokładzie. Przy balustradzie stał tłum
żołnierzy

wymachujących i krzyczących do stojącego na nadbrzeżu tłumy.

Na wielu

twarzach malowało się zdenerwowanie lub smutek. Z chwilą
odbicia od brzegu,

więzy łączące żołnierza z krajem przerywały się na nieokreślony
czas. Co

prawda olbrzymią większość "pasażerów" stanowili Amerykanie,
lecz i oni

podczas dwuletniego pobytu zdążyli zawrzeć wiele znajomości i
niejeden z

nich zostawiał na brzegu żonę, Angielkę.

Statek ruszył powoli i majestatycznie przesunął się pomiędzy
stojącymi u

wejścia do portu latarniami. Był to duży liniowiec, który przed
wojną

chodził na linii Anglia - Ameryka Południowa. Obecnie
przemalowany i

uzbrojony w sterczące na rufie działka służył jako transportowiec
wojsk.

Dwa smukłe kontr-torpedowce rozpoczęły tuż za falochronami
portu swój

szybki, nieustanny taniec wokół ciężkiego olbrzyma. Nasi
oficerowie zeszli

do jadalni oficerskiej, gdzie w tej chwili biało ubrani stewardzi
roznosili

lunch. Z umieszczonego nad drzwiami głośnika płynęły słowa ckliwego, amerykańskiego slow-foxa. Jan siadł za stołem i w trakcie, kiedy statek kołysząc się miarowo płynął w kierunku niewidocznej za mgłą Francji, rozmyślać począł o nowych przeżyciach czekających go w zakrytej ręką przeznaczenia przyszłości.

Lądowanie poszło gładko. Ludzie zsuwali się szybko po drabinkach do oczekujących łodzi desantowych, które krążyły bez przerwy pomiędzy zarzucającymi kotwicę statkami a wybrzeżem.

Alianci nie posiadali jeszcze ani jednego pełnomorskiego portu francuskiego w swoich rękach. Zdobyty w ostatnich dniach czerwca Cherbourg nie mógł jeszcze przyjąć ani jednego okrętu. Niemcy tak dokładnie zniszczyli port i wszystkie jego urządzenia, że przedstawiał on dla atakujących mniejsze jeszcze znaczenie, niż jakikolwiek kawałek zwykłej plaży. Istniał, co prawda, jeden sztucznie zbudowany port, który od tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku został dwuletnim wysiłkiem inżynierów brytyjskich stworzony w największej tajemnicy i trzy dni po wylądowaniu zmontowany na wybrzeżu, lecz nie mógł on nadażyć w przeładunku

tysięcy ludzi i dziesiątek tysięcy ton materiałów wojennych, jakie płynęły nieprzerwanym strumieniem na przyczółek. Drugi bliźniaczy jego odpowiednik został zniszczony przez szalejącą na kanale burzę.

Kiedy znaleźli się wreszcie na brzegu, Seymour udał się natychmiast do posterunku Military Police. Młody kapitan "MP" zadzwonił natychmiast do kogoś i po minucie przed drzwiami baraku zajechał samochód.

- Szofer zawiezie was na miejsce - kapitan wypluł gumę kącikami ust i serdecznie potrząsnął dłońmi stojących przed nim przyjezdnych.
- No, do widzenia! Take it easy!

Od tej chwili Jan znalazł się w zaczarowanym kręgu amerykańskiej organizacji wojennej.

Kiedy samochód po kilkunastominutowej jeździe zajechał przed na pół zburzony dom, nad którego wejściem widniała wielka tablica ogłaszająca, że jest to: "4th Armoured Division Headquarters", z drzwi wyszedł wysoki sierżant w hełmie i rynsztunku bojowym.

- Panowie do biura dywizji? Już wszystko załatwione! Proszę jechać ze mną!

Ruszyli drugim autem w stronę frontu. Przez dający się słyszeć sporadycznie huk dział, poczęły się przedzierać ciche początkowo dźwięki

karabinów maszynowych. W pewnym momencie sierżant zjechał z drogi i skręcił w las. Po minucie zatrzymał się. Znajdowali się obecnie pośrodku olbrzymiego zgrupowania czołgów. Jak daleko wzrok mógł sięgnąć widać było pomiędzy drzewami ich matowo połyskujące cielska. Na trawie spali lub siedzieli grając w karty żołnierze.

- Proszę za mną.

Prowadził ich do małego namiotu rozpiętego pomiędzy dwoma nieruchomymi

"Shermanami". Siedziało w nim dwóch ludzi. Jan nie mógł się zorientować w

ich stopniu wojskowym, gdyż ubrani byli jedynie w spodenki kąpielowe i

hełmy. Na gołe ciało mieli pozakładane pasy pistoletowe. Sierżant zaszalutował i zwrócił się do starszego z nich.

- Panie generale, oficerowie inteligencyjni już są!

- To dobrze! Możecie wracać do dowództwa!

Obaj nadzy ludzie podnieśli się. Jan omal nie parsknął śmiechem na widok

wydatnego brzuszka generała, lecz powstrzymał się i wraz z Seymourem i

patrzącym szeroko otwartymi oczyma Renardem oddał honory wojskowe. Generał

machnął ręką.

- Tu nie przedstawienie w akademii wojskowej. Proszę, niech panowie

siadają. Briggs! - krzyknął do kogoś niewidocznego poza namiotem - przynieś

parę butelek "Coca-cola", tylko prędko! A więc to tak. - popatrzył przez chwilę na siedzących na przeciw ludzi i nagle, jak gdyby przypominając coś sobie, powiedział:

- Zapomniałem panom przedstawić mego adiutanta: Pułkownik Collins -

kapitanowie, Seymour, Renard i... Smo-lar-ski - odczytał z trudem. - No,

jakże panom przeszła droga? Kiedy przeprowiałem się przez Kanał, kiwało

paskudnie, ale teraz podobno jest dużo lepiej.

- Tak. - Jan pierwszy ochłonał z wrażenia. - Mieliśmy zupełnie znośną

podróż. Za pierwszym razem także i nas kiwało dużo gorzej - dodał

rozmyślnie.

- A więc panowie, nie pierwszy raz we Francji? Czy pierwszy raz

lądownaliście panowie jeszcze w momencie, kiedy front był kilka kilometrów

od brzegu?

Jan roześmiał się.

- Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie panie generale. Kiedy wysiadałem

na brzeg po rozpoczęciu inwazji, front znajdował się około pięciu metrów od

linii brzegu. Z wielkim strachem musieliśmy go przesuwać naprzód.

- Jak to, więc wylądował pan z pierwszą falą?

- Niestety tak, ale to nie moja wina. Gdyby mi ktoś dawał zamek w Szkocji i sto tysięcy funtów rocznego dochodu, nie zrobiłbym tego po raz drugi.

Generał roześmiał się głośno.

- Tak. Ma pan rację. Nie znam dotychczas ani jednego odważnego człowieka.

Wszyscy boimy się śmierci. No, ale powróćmy do zadania, jakie panowie mają

do wykonania w naszej dywizji. Dziś w nocy prawdopodobnie rozpoczniemy

ofensywę. Mamy nadzieję, że uderzenie pancerne, które wyjdzie z tego

obszaru, przyczyni się w dużej mierze do przzerwania frontu.

Wobec

niedostatecznej ilości oficerów znających język francuski i niemiecki,

depeszowałem do Dowództwa Armii o uzupełnienia. Oni widocznie połączyli się

z Londynem i tam dopiero "wynaleziono" panów. Dziś, w ciągu dnia ma przybyć

jeszcze dwudziestu kilku ludzi pełniących takie same obowiązki.

Sądzę, że

najlepiej będzie, jeżeli od razu przejedziecie panowie do swoich jednostek

i tam zapoznacie się z ich dowódcami i otoczeniem.

- Dziękujemy bardzo, panie generale - podnieśli się z ziemi.

- Chwileczkę! Briggs! ! ! - krzyknął ponownie tak głośno, że siedzący

niedaleko namiotu wartownik poderwał się i chwycił za leżący w trawie

pistolet maszynowy - Briggs, kiedy nareszcie dostaniemy "Coca"?

Przy tego

rodzaju żołnierzach ciężko będzie wygrać wojnę. - zaśmiał się w stronę

Jana.

Brigs nadszedł dźwigając przed sobą całą naręcz butelek.

Generał wręczył

po jednej każdemu z oficerów.

- No, do widzenia! Zobaczymy się podczas akcji. So long!

Zasalutowali i odeszli kilka kroków.

- No dobrze, ale gdzie właściwie mamy iść? - zapytał Seymour kolegów.

Ledwie skończył, a już koło nich wyrósł jak z podziemi

olbrzymiego wzrostu

żołnierz.

- Proszę za mną.

Rozprowadził ich kolejno do różnych, stojących w głębi lasu namiotów,

gdzie mieściły się punkty dowodzenia poszczególnych pułków pancernych.

Kiedy Jan został przedstawiony oficerom wchodzącym w skład sztabu

jednostki, w której odtąd miał się znajdować, pułkownik zapytał go:

- Czy nie chce pan jakiegoś innego hełmu? W tym angielskim garnuszku

człowiek nie musi czuć się bezpiecznie.

- Dziękuję panu, pułkowniku. Byłem w nim podczas dnia "D"

(Dzień "D" =

dzień inwazji) i jakoś dałem sobie radę. Nie przypuszczam, żeby

jutro rano

było mi cieplej, niż wtedy. - Powiedział to rozmyślnie, mając w pamięci efekt, jaki miało tego rodzaju oświadczenie na generale. Nie omylił się.

Legenda o dniu lądowania poczęła rozprzestrzeniać się szeroko pomiędzy stojącymi na kontynencie wojskami. Mimo krótkiego stosunkowo czasu, jaki przeszedł od tego dnia, zamieniła się ona w mit.

- A więc brał pan udział w uderzeniu!!! O której godzinie pan lądował?

- O wpół do siódmej rano. - Jan powiedział to ze szczerą satysfakcją.

W tym momencie nastąpił zupełnie nie oczekiwany przez niego wypadek.

Pułkownik odwrócił się w głąb namiotu i zawołał:

- Chodźcie no tutaj! Mamy ze sobą człowieka, który wylądował z pierwszą falą podczas dnia "D"!!!

Po chwili Jan zobaczył, że otacza go duże koło zaciekawionych twarzy.

Posypały się niezliczone pytania. Odpowiadał jak umiał. Wreszcie jakiś

porucznik przyniósł z czołgu aparat fotograficzny i dokonano wspólnego

zdjęcia. Przez cały czas Janowi wydawało się, że śni. Ci ludzie o mentalności dzieci, którzy jeszcze tej nocy wyruszyć mieli do walki jadąc w

olbrzymich stalowych potworach, wydawali mu się tak niedopasowani do tła,

że sprawiali wrażenie zupełnie nierzeczywiste.

Kiedy jednak dowódca grupy zaprosił go do swego namiotu, wrażenie to rozwiało się jak sen. Pułkownik wyjął z podłużnej, przeznaczonej na ten cel walizki mapę terenu, po czym z adiutantem i oficerem kartograficznym począł studiować pierwszą fazę projektowanego uderzenia zaglądając co chwila do notatnika, w którym miał zapisane wytyczne akcji i dane dostarczone przez wywiad. Twarze obecnych były skupione i Jan zrozumiał natychmiast, że ludzie ci nie mają w sobie ani na jotę tak wiele lekkomyślności, jak to pierwotnie przypuszczał. Mały aparat radiowy łączący, mimo odległości niespełna kilometra, grupę z dowództwem dywizji, był bez przerwy zajęty. Dyżurny podoficer przyjmował rozkazy i notował je natychmiast na bloczku. Jeden z żołnierzy chodził z nimi do pułkownika, który ze swej strony przekazywał je oficerowi kartograficznemu. O szóstej wszyscy udali się na kolację. Jedzenie było tak doskonałe, że Jan w pierwszej chwili gotów był przypuszczać, iż chodzi tu o jakiś specjalny wikt oficerski. Kiedy jednak zobaczył, że żołnierze jedzą zupełnie to samo co i najstarszy rangą oficer,

zdumienie jego pogłębiło się. Także i swoboda szeregowców w odniesieniu do oficerów i wesołe rozmowy pomiędzy nimi a tymi ostatnimi sprawiały jak najlepsze wrażenie. Nie na darmo Amerykanie nazywali swoje wojsko: najbardziej demokratyczną armią świata.

Nadchodził wieczór. O dziewiątej kolumny pancerne miały być gotowe do natarcia. W rejonie zostało zmasowanych około tysiąca pięciuset czołgów, ciężkich i lekkich tworzących trzon armii pancernej składającej się z czterech zmotoryzowanych dywizji. W sztabach wrzało. Nadeszła noc. Powoli potężne cielska czołgów ruszały jedno za drugim, wyjeżdżając wśród trzasku łamanych gałęzi na szosę. Na polach stały już gotowe do uderzenia kolumny.

W ciągu nocy ogień artyleryjski, gdzieś na prawo, wzmógł się do takiej gwałtowności, że nikt z oczekujących nie mógł zmrużyć oka.

Nad ranem ruszyły do akcji bombowce. Setki ciężkich, czteromotorowych maszyn nadlatywały szerokimi falami zrzucając swój ładunek gdzieś daleko na tonące w porannej mgle wzgórza. Jak okiem sięgnąć, horyzont pokryty był pióropuszcami czarnego dymu szalejących pożarów. Pułkownik, który poprzednio

odjechał "Jeepem" gdzieś do tyłu, powrócił i zatrzymał auto przy pierwszej linii czołgów.

- Coś tam im nie wyszło z tą całą ofensywą. Niemcy bronią się potężnie, na dodatek nasze bombowce obrzuciły przypadkowo bombami szykujących się do natarcia Kanadyjczyków. Podobno i wśród naszych są wielkie straty.

Jan pomyślał o Pierwszej Polskiej Dywizji Pancерnej, która włączona była do Pierwszej Armii Kanadyjskiej. Ciekaw był, jak sobie dają radę Polacy nie przywykli do działań pancерnych.

- Kiedy ruszymy, colonel? - jakiś żołnierz wychylił się z górnego łuku jednego z czołgów - nudzi się już człowiekowi stać na tym przeklętym upale.

- Nie wiem, mój synu - pułkownik roześmiał się i otarł krople potu spływające mu gęsto spod hełmu - daj Boże żeby jak najprędzej. Myślę, że i Niemcom nie bardzo służy dzisiejsza pogoda - wskazał ręką na grzmiący odgłosami wybuchów horyzont.

Nagle spoza zakrętu drogi wypadł goniec na motocyklu. Przejechał mimo nich na pełnym gazie i zobaczywszy pułkownika zahamował gwałtownie.

Wariackim wirażem skrzył maszynę w ciasnym półkolu i zatrzymał się tuż

przed dowódcą.

- Rozkaz z Głównej Kwatery, sir! - Za pięć minut prześlą dalsze instrukcje drogą radiową.

Podał pułkownikowi zwykłą kartkę papieru. Ten ostatni wziął ją do rąk,

rzucił okiem na treść i nagle zawołał:

- No! Nareszcie! Pierwszy pluton rozpoznawczy na stanowiska!

Kłapy pancerne opadły z trzaskiem. Czołgi wyrównały linię i stanęły w

groźnym oczekiwaniu. Tymczasem auto pomknęło do tyłu. Po chwili usłyszeli,

jak działa szturmowe zajeżdżają na pozycje.

"Jeep" pułkownika znów ukazał się w polu widzenia Jana, który siedział

teraz pochylony obserwując przedpole przez wąską szczelinę wizjera. Wraz z

Janem jechał jeszcze w "Shermanie" dowódca kompanii i trzech ludzi obsługi.

- Zaraz rozpocznie się przygotowanie artyleryjskie! - pułkownik krzychał

przez blaszany głośnik trzymany przy ustach. Za piętnaście minut ruszamy!

- Jak daleko do Niemców? - dowódca kompanii wychylił głowę z czołgu. -

Czy nie ma żadnych zmian w terenie?

- Nie. Na razie front stoi w tym samym miejscu, gdzie wczoraj. Czy macie

wszystko zaznaczone?

- Tak. Wszystko w porządku, panie pułkowniku!

- No, to OK!

Zielony "Jeep" ruszył nagłym zrywem i po chwili dowódca pułku zniknął na zakręcie w tumanie kurzu.

Huraganowy ogień artyleryjski na całym froncie wzmógł się. Jedynie na odcinku, gdzie oczekiwały odsłonięte na równinie czołgi panowała cisza.

- Jak daleko mamy do nieprzyjaciela? - zapytał Jan dowódcy kompanii.

- Trzy kilometry. Na przedpolu siedzą nasze patrole i oddziały przeciwpancerne, ale jak dotąd nic ciekawego nie zaraportowano.

W tym momencie ziemia zadrżała w posadach. Gdzieś z głębi przyczółka

zagrały ciężkie działa. Pociski przeleciały ze świstem ponad stojącymi

czołgami i upadły daleko przed nimi za widniejącym na widnokręgu lasem. Od

tej chwili rozpętało się piekło. Artyleria niemiecka poczęła odpowiadać ze

zdwojoną siłą. Tory krzyżujących się pocisków leżały ponad głowami ukrytych

pod pancernymi płytami ludzi jak ruchomy szeleszczący dach.

Dowódca

kompanii odebrał słuchawki i mikrofon telegraficzne i założył je na głowę.

- Czy słyszać coś nowego?

Odpowiedź widocznie była niezadowolająca, gdyż major strzepnął w

zniecierpliwieniu palcami i począł gwizdać jakąś szybką, jazzową melodię.

Ogień dział wzmagał się z każdą chwilą. Jakiś pocisk upadł na polu

między czołgami, wyrzucając w powietrze fontannę ziemi.

- Zabłąkało się biedactwo - kierowca roześmiał się. Ale już po chwili

spowaźniał. Niemcy poczęli wstrzeliwać się w pozycje czołgów.

Pociski rozrywały się gęsto. O płytę pancerza zadzwonił

przenikliwie

jakiś odłamek.

- Co, do diabła? - Major był zdenerwowany - Chcą nas tu wszystkich

wydusić, czy jak?

Nagle podniósł dłonie do wysokości głowy i przycisnął nimi słuchawki.

- Tak... tak...rozkaz, sir!

Przekręcił przełącznik.

- Mówi major Grable... mówi major Grable... rozkaz początkowy. Grupa

wyruszy za mną szykiem luźnym w trzech rzutach. Odstęp sto pięćdziesiąt

jardów. Kierunek, jak w rozkazie początkowym. Naprzód! -

zwrócił się do

kierowcy. - Szosą, aż do pierwszego zakrętu.

Potężny stalowy kształt drgnął i kołysząc się nierównomiernie ruszył

naprzód. Uzbrojona w smukłe, długolufe działo wieża zatoczyła szerokie

półkole. Od tej chwili wyloty paszcz armatnich wskazywać miały jeden tylko

kierunek: południe.

ÓRozdział Xvii: Na drodze do Pary¿a

Jan siedzia³ pochy³ony nad dokumentami, które znalezione przy zabitym generale von Bartch. Przerzuca³ je szybkimi ruchami r¹k chc¹c znaleŹc co³, co mia³oby jaki³ zwi¹zek z dzia³aniami wojennymi. Pu³kownik patrzy³ na jego poruszaj¹ce si¹ zr¹cznie palce i Ÿmia³ si¹ cicho.

- Gdyby nie to, ¿e jest pan kapitanem, pomyŸla³bym, ¿e jest pan ¿³odziejem kieszonkowym.

Jan uŸmiechn¹³ si¹. Ÿwiat³o dogasaj¹cego dnia wpada³o przez wywalony pociskiem otw³r i k³ad³o si¹ jasn¹ plam¹ na Ÿcianie szopy.

- Zdaje mi si¹, ¿e nic ciekawego nie znajdziemy - ze zniech¹ceniem spojrze³ na trupa ubranego w generalski, poplamiony zakrzep³¹ krwi¹ mundur.

- Nie ma nic - zakonkludowa³ i podni³s³ si¹ z kl¹czek. - Mo¿emy jecha³ dalej. Wyszli na szos¹. Ko³o nich przewala³y si¹ z hukiem jad¹ce pe³n¹ szybkoŸci¹ czo³gi. Od chwili zdobycia Le Mans gnali na p³³noc ile si³y w motorach, wprost na Argentan. Od szybkoŸci z jak¹ tam dojad¹, zale¿a³ los ca³ej Niemieckiej Si³dmej Armii. Byli ramieniem zaciskaj¹cych si¹ z nieub³agan¹ si³¹ kleszczy pancernych. Ich w³asny "Sherman" czeka³ na

uboczu. Żołnierze siedzieli na trawie paląc i rozmawiając. Sytuacja była jedyna w swoim rodzaju. Znajdowali się w tej chwili głęboko za liniami nieprzyjaciela prac nieustannie naprzód bez żadnego wsparcia artylerii lub piechoty. Często zaskoczenie było tak zupełne, że Niemcy dostawali się do niewoli wychodząc z domów dla zobaczenia, co dzieje się na szosie.

Wszystkie cztery dywizje pancerne Trzeciej Armii gnały jednocześnie, ściśnięte na wąskiej stosunkowo przestrzeni, miażdżąc i krusząc błyskawicznie najmniejsze próby oporu.

Po chwili czołg począł toczyć się dalej. Pułkownik rozmawiał przez radio z kimś należącym do tylnego eszelonu.

- Tak... leży w szopie o kilometr na północ od Fourieres... generał, nazywa się... von Bartsch czy von Bartch... nie, nic przy nim ciekawego nie znaleziono... tak... jechał samochodem i nie chciał iść do niewoli... nasi chłopcy ustrzelili go z karabinu maszynowego... tak... - roześmiał się...

Minęli grupę stojących czołgów. O pół kilometra dalej stał na drodze pochylony żołnierz.

- Stać! - na znak dany czerwoną chorągiewką kierowca zatrzymał wóz.

- Co do diabła? - pułkownik wychylił się naprzód - nie macie nic innego

do roboty? Co się stało?

- Nieprzyjaciel przed nami. Czołg "B" rozpoznawczego plutonu poszedł w

kawałki. Dogodzili mu nienajgorzej.

- Ano, zobaczymy, co słyhać! - pułkownik zeskoczył lekko z wieżyczki

wprost w objęcia żołnierza.

- Chce pan pójść ze mną - zwrócił się do Jana - warto by odetchnąć trochę

świeżym powietrzem.

Ruszyli. Tuż za zakrętem zobaczyli płonący czołg. Dwa inne Shermany"

stały niedaleko, cofnięte do tyłu i na wpół ukryte za załamaniem terenu.

Wieżyczki ich poruszały się niespokojnie. Lufy dział podnosiły się i

opadały, jak gdyby nie mogąc się zdobyć na decyzję, w którą stronę należy

wysłać swój śmiertcionośny ładunek. Pułkownik i Jan ruszyli rowem w ich

kierunku. Szli pochyleni, tak, aby dać ewentualnemu strzelcowi jak

najmniejsze pole celowania. Kiedy doszli do jednego z czołgów, pułkownik

uderzył ręką w klapę.

- Otwórzcie! Pozamykaliście się tam jak barany w rzeźni i boicie się

wytknąć głowę na świat! No, otwierajcie!

Kłapa czołgu odchyliła się i jakaś głowa w hełmie wynurzyła się na zewnątrz.

- A, to pan pułkowniku!

Głowa znikła i po chwili boczna kłapa czołgu otwarła się i wyskoczył na ziemię młody porucznik.

- Paskudna historia - zaczął mówić, jak gdyby usprawiedliwiając się. -

Nadjechaliśmy pełnym gazem nie oczekując najmniejszego oporu. Teren jest równy i nie ma na nim żadnych punktów, gdzie by można było się bronić.

Tymczasem "Kiddy", który jechał pierwszy na "B" dostał od razu trzy razy z

bezpośredniej odległości. Buda zapaliła mu się, a Niemcy wysiekali z CKM-u

wyskakującą załogę. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie wiemy, gdzie

oni są. Posłałem przez radio meldunek do batalionu prosząc o wzmocnienie,

ale zdaje mi się, że major wstrzymał czołówkę i czeka na rozkazy od pana

pułkownika.

- Wszystko przez tego naszego nieboszczyka - pułkownik zwrócił się do

Jana - nie można zostawić grupy na pięć minut bez opieki, a już dzieje się

coś nieprzewidzianego. Dawaj ten mikrofon! - wskoczył do wnętrza czołgu i

począł mówić:

- Pluton "3" ruszy na przelaj i objedzie pozycję płonącego czołgu o pół mili, po czym zawróci trawersując przez pozycję ewentualnego nieprzyjaciela. Pozostałe czołgi niech kontynuują marsz przez pole po lewej stronie drogi. Ja za chwilę dołączę do plutonu "3"! - położył słuchawki na stosie pocisków i wyskoczył na ziemię.

- Jakie to wszystko proste! I dla paru głupich Niemców zatrzymujecie marsz całej dywizji! Chodźmy!

Kryjąc się dopadli własnej maszyny. W tej samej chwili na polu ukazały się sylwetki trzech czołgów trzeciego plutonu.

- Dołącz do prawego skrzydła - rzucił pułkownik kierowcy. Wychylił się w stronę wizjera i przez lornetkę począł obserwować teren.

- Są! - wykrzyknął nagle - tam, na prawo! Otworzyć ogień na linię żywoplotu! - krzyknął do mikrofonu. - Zaszarżujemy od tyłu, tam nie będzie min! - mówił to z taką pewnością siebie, że Jan poczuł się od razu różniej.

Podał strzelcowi długi pocisk artyleryjski. Czołg zatrzymał się.

Huk

wystrzału wstrząsnął powietrzem. Wnętrze stalowego kolosa nappełniło się

dymem. Także i inne czołgi jechały teraz naprzód, przystając co kilkadziesiąt metrów i strzelając bez najmniejszej przerwy. Nagle obserwujący linię żywoplotu pułkownik wydał rozkaz.

- Wstrzymać ogień! Biała flaga!

Jan spojrział przez wizjer. Jego na wpół ośleple od armatniego dymu oczy dostrzegły nad pasmem zieloności białą, postrzępioną płachtę. Podjechali.

Niemcy przedstawiali żałosny widok. Dwuminutowy ogień "siedemdziesiątek piątek" zniszczył pozycję wszystkich trzech działek przeciwpancernych, połowa ludzi leżała poszarpana wewnątrz rowu, reszta stała z podniesionymi do góry rękoma. W oczach ich czaiło się przerażenie.

- Niech pan wyskoczy i pogada z nimi. Trzeba się dowiedzieć, czy dalej nie ma jakiegoś punktu oporu. I niech pan dowie się, czy drogi są w tej okolicy bardzo zaminowane.

Jan zsunął się na ziemię. Pomiedzy stojącymi dostrzegł oficera.

- Chodźcie no tu! - rzucił rozkazująco po niemiecku - Jak wygląda sprawa z minami? Uprzedzam was, że będziecie jechali w tym samym czołgu, co my, tak że lepiej jest powiedzieć prawdę.

- Nie wiem - wargi oficera drżały. Jak zahipnotyzowany patrzył na przewalające się szosą czołgi - dostaliśmy wiadomość radiową, że natarcie jest na tej drodze. Mieliśmy zaledwie godzinę czasu na okopanie się i zajęcie dogodnej pozycji. Mieliśmy rozkaz, aby za wszelką cenę opóźnić marsz czołówek pancernych.

- A więc droga nie jest zaminowana?

- O ile wiem, nie.

Jan powtórzył pułkownikowi słowa Niemca.

- Hm... - rzekł ten ostatni - a co pan o tym myśli?

- Myślę, że on w rzeczywistości nic nie wie. Sam fakt obrania tego

rodzaju miejsca do obrony, świadczy o pośpiechu i braku

najmniejszego nawet

przygotowania. Przekonamy się zresztą o wszystkim na własnej skórze.

- Tak i ja myślę. Jedźmy!

Jan wskazał Niemcom szosę.

- Rzucić broń i wziąć do ręki białe szmaty! Potem marsz tą drogą na tyły!

Ku zdumieniu stojących żołnierzy czołg zawrócił i ruszył w ślad za jadącą

po szosie kolumną. Nikt nie miał czasu brać jeńców, powinni byli sami

trafić do punktu zbornego. Kiedy ujechali spory kawałek, Jan odwrócił się i

spojrzał poza siebie. Z rowu wychodziła grupka ludzi, wszyscy mieli na

czapkach białe opaski. Szli powoli drogą w kierunku przeciwnym do pędzących

na północ czołgów.

Nadeszła noc. Z dowództwa dywizji nadszedł rozkaz aby kontynuować marsz.

Byli już dwudziesty piąty dzień w drodze i nieustannej walce. Jan nigdy by

przedtem nie uwierzył, że człowiek może trwać tak długo w nieustannym

wysiłku. Za sobą mieli trzysta kilometrów naszpikowanych
minami dróg i
bronionych rozpaczliwie miast i wiosek.

Czołgi jechały powoli poprzedzane przez samochodowe patrole i
pieszych
szperaczy. Noc mogła nieść w sobie bardzo wiele przykrych
niespodzianek.

Nad ranem zostali niespodziewanie zaatakowani przez niemiecką
kolumnę

pancerną. Jan siedział oparty o zamek działa starając się otworzyć
puszkę

soku z grape-fruitów, gdy nagle, tuż ponad wieżyczką czołgu
przeleciał ze

świstem pocisk. Smolarski momentalnie usunął się w bok
zamykając

jednocześnie wolną ręką boczną klapę. Strzelec przekręcił
wieżyczkę w lewo.

- Panie pułkowniku! Czołgi przed nami pod lasem. Cała kupa!
Pułkownik przyłożył oko do wizjera.

- Cofnąć się za wzgórek. Zdaje się, że mamy całą dywizję przed
sobą.

Rzeczywiście, wokół rozgorzała walka. Niemcy zaatakowali
trzema kolumnami

wspartymi przez strzelającą poziomo zmotoryzowaną artylerię
przeciwlotniczą. Czołówka amerykańska poczęła cofać się
pospiesznie

utrzymując jednak ciągły kontakt ogniowy z następującym
nieprzyjacielem.

Równina przecięta była kilku zagajnikami, toteż łatwo było
wydostać się

spod ognia. Na polu walki pozostały jedyne dwa płonące "Shermany", których załogi powskakiwały na inne czołgi. Pułkownik zawiadomił drogą radiową dowództwo dywizji. Nadeszła nieoczekiwana odpowiedź: "Ruszyć do akcji bez względu na przewagę przeciwnika. Rozkaz Dowódcy Armii!!! Za kilkanaście minut otrzymacie wsparcie lotnicze. Sygnalizują obecność dużej jednostki pancernej. Manewr okrążający w toku. Nie dajcie im cofnąć się na wschód".

Na razie jednak nieprzyjaciel nie tylko, że nie chciał cofać się na wschód, lecz parł na południe wprost za cofającymi się Amerykanami.

- Cóż to za nowe gówno - pułkownik zaklął ze złością - tu będzie koniec naszej epopei, kapitanie. Nie zostanie z nas nawet blaszka na przybicie do buta. Wziął do rąk mikrofon.

- Do dowódców batalionów i kompanii... mówi pułkownik Harriman... otrzymałem rozkaz przyjęcia walki tymi siłami, jakie mamy do dyspozycji. Niedługo otrzymamy wsparcie lotnicze. Trzeba wstrzymać nieprzyjaciela i nie dać mu się cofnąć na wschód. Nie wiem, jak to zrobić, ale sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli trochę sobie postrzelamy. Good luck! - potem dodał

ostrym zmienionym głosem - plutony "3", "4" i "5" zaatakują natychmiast w szyku rozrzuconym flankę kolumny idącej od strony lasu. Plutony "2" "6"

oraz trzecia kompania, ruszą za mną w szyku torowym, odstęp trzysta jardów.

Strzelać jak najwięcej. Nieprzyjaciel jest dobrze widoczny. Nie liczą na

to, że przyjmiemy walkę. Cały batalion "Ohio" pozostanie w tyle oczekując

moich rozkazów. Zastępstwo dowództwa obejmie w razie wypadku major Robbins.

Jan z bijącym sercem obserwował jak z hukiem motorów czołgi poczęły

pozornie w beładzie ruszać naprzód. Przed nimi, równina naszpikowana była

małymi, ruchomymi punkcikami. Niemcy nadchodzili lawiną.

Działa rozpoczęły

huraganowy ogień. Czołgi posuwały się ciągle naprzód.

Pułkownik spojrzał na

zegarek.

- Za godzinę nie pozostanie z nas żywa dusza, z wyjątkiem tych, którzy

poddadzą się do niewoli.

W tej chwili pocisk artyleryjski rozerwał się tuż przed gąsiennicami.

Mimo że od odłamków chronił ich pancierz, pochylili głowy.

- Zaczyna się - mruknął strzelec. - Niech pan mi podaje

amunicję, będzie

prędzej.

Jan zakasał rękawy frencza i począł przesuwać ku górze długie stalowe pociski. Działo grzmiało tak, że bębunki w uszach jadących przestały reagować na jakikolwiek inny dźwięk. Czołg zmieniał co chwila kierunek, przystawał i ruszał ponownie, jak gdyby chcąc uniknąć lecących w jego kierunku pocisków. - Pułkownik tkwił oczyma w wizjerze, od czasu do czasu rzucając kierowcy jakieś słowo. Po kilkunastu minutach znaleźli się tak blisko Niemców, że Jan mógł przez wąską szczelinę powietrzną zobaczyć czarno-białe krzyże na pancerzach "Tygrysów". Zaczęto strzelać do siebie bezpośrednim ogniem. Coraz więcej czołgów płonęło na równinie. Po obu stronach stały na polu bezradne kolosy buchając ku niebu słupami ognia i dymu. Siły atakujących Amerykanów topniały z minuty na minutę. Pułkownik miał łzy w oczach. Klął straszliwie wykrzykując jednocześnie rozkazy do manewrujących pod wzrastającym, koncentrycznym ogniem niemieckich czołgów. Nagle stało się coś zupełnie nie przewidzianego. Żaden z jadących nie usłyszał wśród huku motorów i grzmotu wystrzałów nadlatujących samolotów.

Dopiero, kiedy pierwszy "Mustang" zeszedł z wyciem wprost nad niemiecką kolumnę i zasypał ogniem zapalających pocisków najdalej wysunięty czołg, Jan zrozumiał co się święci. Niemcy byli teraz na samym środku równiny. Z jednej strony, mieli przed sobą atakujących rozpaczliwie Amerykanów, z trzech innych, puste, pozbawione jakiegokolwiek naturalnej osłony pole. Myśliwce bombardujące spadły na nich jak grom z jasnego nieba. Janowi wydawało się, że jest ich setki. Bez najmniejszej przerwy jeden klucz za drugim schodził z góry zrzucając ładunek w locie nurkowym i zamiatając ziemię ogniem najcięższych karabinów maszynowych. Pułkownik otworzył kłapę czołgu i krzyczał głośno, wymachując rękami. Nagle schwycił mikrofon i krzyknął:

- Batalion "Ohio", do natarcia z lewej flanki. Utrzymać dystans tysiąc pięćset jardów!

W tej samej chwili Jan zobaczył, że Niemcy zaczynają się cofać. Trzon dywizji zakreślił pięknym, zespołowym manewrem w lewo, rozproszone na przestrzeni kilku kilometrów skrzydła uderzenia osłaniały jego flanki.

- Co się stało? - Pułkownik przytknął lornetkę do oczu. - Nie rozumiem.

Przecież nie uciekają chyba po ziemi przed samolotami. W każdym razie mamy

rozkaz żeby ich nie przepuścić. - Znow pochwycił mikrofon:

- Wszystkie zgrupowania naprzód. Związać się ogniem z nieprzyjacielem.

Nie dopuścić do oderwania się.

W tym momencie czołgiem wstrząsnęła gwałtowna eksplozja.

Gąsienice ryły

przez chwilę ziemię, wreszcie motor zakasłał i zamilkł. Wnętrze wieżyczki

nappełniło się dymem.

- Pali się! - okrzyk przerażonego kierowcy poderwał ich z miejsc.

- Skakać! - Pułkownik nie potrzebował wydawać tego rozkazu, gdyż w

momencie, kiedy wymawiał te słowa, strzelec był już na zewnątrz.

Błyskawicznie znaleźli się wszyscy na ziemi. Kierowca ugasił koszulą

płonące spodnie pułkownika. Ten ostatni spojrzał na stojący o kilkanaście

metrów czołg.

- Uciekajmy! Za chwilę wyekspłoduje amunicja.

Ruszyli biegiem i upadli natychmiast, gdyż jakiś przejeżdżający o pół

kilometra "Tygrys" wziął ich na cel. Pocisk upadł o kilkadziesiąt metrów.

Jadące pełnym gazem czołgi niemieckie miały utrudnione celowanie.

- A to Sk... - strzelec był oburzony - żeby z armat do ludzi strzelać?

Powariowali już ci idioci.

Tymczasem natarcie amerykańskie rozwijało się pomimo ciężkich strat.

Czołgi, które na chwilę przed atakiem myśliwców znajdowały się najbliżej

niemieckiej kolumny, stanęły teraz rażąc nieprzyjaciela flankowym ogniem.

Dwadzieścia "Shermanów" batalionu "Ohio" nadjeżdżało od wschodu,

przecinając nieprzyjacielowi drogę. Jan widział na horyzoncie ich płaskie,

grube wieżyczki. Myśliwce krążyły bezustannie nad polem, waląc ze

wszystkiego, co tylko było do dyspozycji. Pułkownik śmiał się widząc, jak

jeden z nich krążył uparcie nad unieruchomionym czołgiem niemieckim

starając się go zapalić pociskami smugowymi.

- Ale mają zabawę! Odechce im się nacierania na nasze czołówki.

- To musi być coś innego - Jan nie był specjalistą broni pancernej,

jednak sama koncepcja wysyłania naprzeciw idącej armii czołgów jednej

niczym nie popartej dywizji nie wydawała mu się prawdopodobna, prócz tego

rozkaz dowództwa armii także dawał wiele do myślenia.

Powiedział o tym

pułkownikowi. Ten ostatni podniósł nieco głowę znad ziemi.

- Tak. Ma pan rację. Myślałem o tym. Nic jednak nie można wywnioskować nie mając w ręku planów sytuacyjnych. Jeżeli Patton kazał atakować, wiedział widocznie dlaczego to robi.

Nagle zobaczyli, że oddalające się czołgi niemieckie zawracają. Były już odległe o dobre cztery kilometry, tak że w pierwszej chwili Jan sądził, że uległ halucynacji. Jednak nie mylił się. Szeroko rozrzucona kolumna zmieniła kierunek.

- Korzystają widocznie z tego, że myśliwce odleciały i chcą nas wykończyć. - Pułkownik spojrział ze zniechęceniem na pustoszące niebo.

Widocznie samoloty wyczerpały paliwo i powróciły do bazy. Jednak na skraju widnokregu ukazały się nowe nisko lecące klucze, mimo to Niemcy parli wprost na południowy-wschód.

- Uciekajmy - powiedział pułkownik - jeżeli zostaniemy tu jeszcze piętnaście minut przejadą po nas.

Zerwali się i ruszyli w kierunku szosy. Żaden z amerykańskich czołgów nie znajdował się dostatecznie blisko, aby móc ich zabrać. Uwaga załóg pochłonięta była zresztą manewrującym szerokimi falami przeciwnikiem. Znowu rozpoczął się ogień. Jan zobaczył, jak stojący w pewnym oddaleniu ostatni

czołg plutonu "4" zajął się w mgnieniu oka płomieniami i z ogłuszającym hukiem wyleciał w powietrze. Dopadli rowu i biegli nim tak długo, aż wreszcie znaleźli się przy zagajniku.

- Tu możemy się bawić w chowanego! - pułkownik stanął koło drzewa i

wziąwszy z rąk Jana lornetkę począł obserwować równinę. Po chwili opuścił

ją. - Straciliśmy dotychczas na czterdzieści pięć czołgów posiadanych na

początku akcji, dwadzieścia dziewięć, a przede wszystkim straciliśmy moc

dobrych żołnierzy. Niemcy musieli łącznie ze stratami poniesionymi od bomb

"zgubić" około piętnastu czołgów. Naliczyłem dziewięć, ale widzę, że za

horyzontem unosi się sześć dymów. Według moich obliczeń musi ich być

jeszcze sto dwadzieścia i kilkanaście dział przeciwlotniczych na pancernych

lawetach. Ta przewaga wystarczy im do rozniesienia naszych "Shermanów" samą

siłą ognia. Dobrze, że nie wypuściłem batalionu "Ohio" do walki razem z

resztą, bo w tej chwili grupa nie istniałaby już... - przerwał i począł

nadsłuchiwać. - Czy słyszy pan coś?

- Jan mimo całej powagi sytuacji roześmiał się.

- Czy słyszę? Przecież w promieniu dwudziestu kilometrów wszyscy

doskonale nas słyszą. Takiego huku nie było tu zapewne od początku świata.

- Nie o to mi chodzi! - przyłożył ucho do ziemi, zerwał się i ruszył pędem na drugą stronę zagajnika. Jan i żołnierze ruszyli za nim. Kiedy dobiegli do ostatnich drzew, zobaczyli tak dziwaczny widok, że zatrzymali się i zastygli w zdumieniu.

Pułkownik Harriman tańczył na trawie wybijając nogami jakiś niesamowity murzyński rytm. Z ust jego wydobywały się nieartykułowane dźwięki.

- Zwariował stary czy... - strzelec urwał i rzucił się naprzód, po chwili on także począł podskakiwać i klepać pułkownika z całej siły po plecach.

Jan patrzył na dwóch ściskających się Amerykanów nie wiedząc, co ma o tym wszystkim myśleć. Z tyłu dochodził go przybliżający się łoskot niemieckich silników. Wraz z kierowcą podeszli do szalejących ludzi. Nagle zrozumieli.

Równina leżąca na wschód od miejsca bitwy pokryta była poruszającymi się szybko punktami. Na olbrzymiej przestrzeni jechały dziesiątki czołgów.

Pomiędzy nimi widać było posuwającą się szerokimi tyralierami piechotę.

Widok był tak imponujący, że Jan przez długą chwilę nie mógł oderwać odeń

wzroku. Nigdy nie przypuszczał, że w wojnie nowoczesnej może dojść do bitew

rozgrywanych na otwartym polu przez wielkie zmotoryzowane jednostki.

Przypominało to raczej starcie średniowiecznych armii.

- A teraz biegnijmy! - pułkownik odzyskał zdrowy rozsądek - jeżeli

dostaniemy się tutaj w sam środek akcji, nie pozostanie z nas nic.

Zaledwie wybiegli z lasu, usłyszeli tuż za sobą silniki czołgów.

Jan

obejrzał się ze strachem.

- Nasi - krzyknął. Rzeczywiście. Batalion "Ohio" wycofywał się pośpiesznie z placu boju. Wiązanie sił nieprzyjacielskich nie było już

potrzebne. Niemcy mieli teraz do wyboru. Uderzyć samobójczo na rozwijające

się uderzenie Trzeciej Armii, lub powrócić do "worka".

Wskoczyli na pierwszy przejeżdżający czołg. Prowadzący oficer wychylił

głowę przez boczną klapę.

- Cieszę się, że pana widzę, pułkowniku. Od czasu, jak zamilkło wasze

radio, sądziłem, że jesteście wszyscy u Bozi!

- Jak pan widzi, żyjemy jeszcze! Co prawda w moim wieku kilometrowe biegi

na przełaj nie są bardzo wskazane, ale jakoś tam będzie. Od czasu, jak

służę w wojsku, znam szybsze sposoby przeniesienia się na tamten świat.

Tymczasem zbliżyli się już na niewielką odległość do prowadzących

natarcie czołgów. Pułkownik przypominając sobie, że jest dowódcą grupy, wskoczył do wnętrza wozu.

- Wszystkie zdolne do akcji czołgi grupy "MA" dołączą do natarcia. Za chwilę skomunikuję się z prowadzącym natarcie i podam ścisłe rozkazy.

W dwudziestu czołgach kierowcy przetarli klejące się z wyczerpania i opuchnięte od dymu oczy, dowódcy poprawili słuchawki na uszach, a strzelcy założyli nowe ładunki do rozgrzanych, pachnących prochem zamków.

ÓRozdział XVIII:
ÓNad Grobem
Niezanego Żołnierza

Renarda i Seymoura spotkał podczas postoju w Falaise. Szedł właśnie przez jedną z ulic zrujnowanego miasteczka w towarzystwie polskiego kapitana z Pierwszej Dywizji Pancерnej, która wytrzymałszy na sobie koncentryczne czterodniowe ataki niemieckie zamknęła "worek Falaise" i spotkała się z czołówkami amerykańskimi odcinając w ten sposób stutysięczną armię niemiecką w Normandii. Polacy byli dobrej myśli, cieszyli się z sukcesu,

lecz narzekali, że pozostawiono ich swojemu losowi w czasie największego nasilenia walk. Byli okrążeni okrążając. Niemcy atakowali z północy, z południa, ze wschodu i od zachodu. Mimo to jednak kocioł nie pękł. Straty dywizji były bardzo wysokie, wyższe niż jakiegokolwiek jednostki alianckiej biorącej udział w działaniach na kontynencie. Jan cieszył się także jak dziecko. Miło było patrzeć na dziesiątki czołgów oznaczonych białymi orłami i tysiące ludzi noszących na hełmach to samo godło. W samym sercu wojsk sprzymierzonych Polacy trzymali doskonale fason, prezentując się bardziej okazale niż jakakolwiek inna jednostka bojowa. Obracając się kilka dni pomiędzy swoimi, podczas kiedy dywizja czekała na konieczne uzupełnienia sprzętu i ludzi, zapomniał prawie, że jest członkiem innej jednostki bojowej. W chwili, kiedy spotkał Renarda i Seymoura, wspomnienia powróciły doń z zakamarków pamięci. Przywitali się serdecznie i Jan przeprosił kolegę udał się z nimi do kwatery Renarda. Po drodze Seymour opowiedział mu swoje przejścia. Był on przydzielony do jednostki pancerniej, której zadaniem była dezorganizacja tyłów przeciwnika. Zapuszczali się

kilkunastokilometrowymi zagonami na flankę odwracającego się gwałtownie frontu, podpalali, co było do podpalenia i cofali się do swoich linii. W czasie tego, Seymour zajęty był ciągle jako oficer do badania jeńców i ludności, i on jeden tylko z nich wszystkich trzech wykonywał robotę, dla której został przysłany do Francji. Renard, podobnie jak Jan, siedział przez cały miesiąc w czołgu i zajmował się obserwowaniem przewijających się przed jego oczyma wypadków. Nie widział zresztą zbyt wiele, gdyż od początku przydzielony został jako tłumacz do dowództwa dywizji.

Kiedy poszli do kwatery, w której obecnie zamieszkiwał, Seymour

powiedział pochylając się do ucha Jana:

- Mamy dla ciebie niespodziankę. Renard wystarał się dla nas wszystkich o urlop czternastodniowy.

- Nie może być! - w głosie Jana dźwięczała szczerza radość. - W jaki

sposób pan to zrobi?

Francuz roześmiał się nerwowo.

- Ma się tu i tam znajomości, i jakoś się to robi.

- Bardzo wyczerpująca i dokładna odpowiedź. - Jan śmiał się wesoło. Nic

tak nie było mu w obecnej chwili potrzebne, jak kilka dni względnego

spokoju. - No, a kiedy zaczynamy?

- Jutro od dwunastej w południe. Znajdzie pan swoją kartę urlopową w kwaterze pułku, o ile nie przyniesiono jej panu dotychczas do namiotu.

- Ale dokąd się wybierzemy? - Jan zakłopotał się. Trudno było rzeczywiście znaleźć obecnie we Francji miejsce, gdzie można było spędzić dwa tygodnie beztrasko.

- Do Paryża - mówiąc to Renard patrzył na Seymoura. Ten ostatni zrozumiał go.

- Ależ oczywiście, że też nie pomyślałem o tym. Przecież Paryż jest w naszych rękach. - Nagle zamyślił się - ale czy dadzą nam przepustki na przejazd. Wątpię, czy istnieje jakiekolwiek połączenie pomiędzy Falaise, a stolicą.

- Wszystko już załatwione. Wyjedziemy jutro po południu autem wiozącym dziennikarzy zagranicznych.

Długo jeszcze rozmawiali na temat planowanej podróży. Wreszcie Jan pożegnał się i poszedł na swoją kwaterę. Oczekiwał go tam rozkaz wzywający

do dowódcy pułku. Ten ostatni przywitał go wesoło:

- Pięknie się pan wybrał z tym swoim urlopem. Pojutrze wyruszamy dalej.

Ciekaw jestem, gdzie nas pan później zastanie?

- Sądząc po tempie, w jakim przebyliśmy pierwszy odcinek drogi,

przypuszczam, że zobaczymy się w Berlinie.

- Daj Boże! Daj Boże! - Pułkownik serdecznie uściskał mu dłoń.

- A niech

pan tam pozdrowi ode mnie wszystkie piękne mademoiselle.

Proszę im

powiedzieć, że zaraz po wojnie zawitam do Paryża spragniony
pieszczot i

dobrego wina.

- Dobrze, panie pułkowniku. Zastosuję się do rozkazu.

Rankiem następnego dnia spotkali się na rynku miejskim, gdzie
było

wyznaczone miejsce zborne dla reporterów. Po godzinie byli już
w drodze.

Do Paryża przybyli od strony Dreux. Kiedy Jan zobaczył na
horyzoncie

wysmukły kształt wieży Eifla, serce zabiło mu gwałtownie. Po raz
pierwszy

od czterech lat uświadomił sobie, że jest jeszcze jakaś inna
rzeczywistość

prócz wojennej. Innym także udzielił się ten nastrój. Nawet
gadatliwi

reporterzy amerykańscy zamilkli. Renard siedział pochylony do
przodu. Oczy

jego chłoneły widok wynurzających się z porannej mgły
przedmieść i morza

szarych dachów na równinie. Na twarzy miał wyraz wielkiego,
bolesnego

prawie natężenia.

Miasto nie ochłoneło jeszcze po radosnych dniach uwolnienia.

Po ulicach

wałęsały się tłumy odświętnie ubranych ludzi rozmawiających
wesoło i
zatrzymujących się na widok mknących z wielką szybkością
pojazdów
wojskowych. Zwolnili. W śródmieściu nie widać było
najmniejszych śladów
wojny. Ani jeden dom, ani jedna szyba nie były uszkodzone. Jan,
który
słuchał przez radio wiadomości o powstaniu paryskim był
zdumiony. -
Jednocześnie pomyślał o krwawiącej Warszawie. Był to akurat
dzień drugiego
września. Gazety całego świata pełne były opisów wstrząsającej
epopei
ginącego miasta. Zatrzymali auto przed "Hotel Scribe"
przeznaczonym dla
prasy i niektórych wydziałów "SHAEFU". Samochody zajeżdżały
jeden za drugim
zwożąc ludzi i sprzęt potrzebny do rozpoczęcia pracy. Alianci
przygotowywali się do przesunięcia kwater sztabowych na teren
miasta. Wojna
szła szybkimi krokami w kierunku granicy niemieckiej.
Wyskoczyli i udali się na miasto, złożywszy uprzednio swoje
pakunki u
jednego z dziennikarzy. Szli powoli tonącymi w słońcu ulicami
rozkoszując
się widokiem domów, drzew i roześmianych, wystrojonych
kobiet. Koło Gare
St, Lazaire ciężarówki amerykańskie zwoziły sprzęt do mającego
powstać

punktu żywnościowego czerwonego Krzyża. Kuchnie już pracowały, więc Seymour zaproponował towarzyszom mały posiłek. Weszli. W sali hotelu, który jeszcze przed dwoma tygodniami służył jako centrum wypoczynkowe dla przejeżdżających przez miasto oficerów SS, stały już stoły nakryte białymi, czystymi obrusami. Żołnierze roznosili jedzenie. Przy stołach panował tłok i rumor. Amerykanie, Anglicy, żołnierze Drugiej Francuskiej Dywizji Pancерnej, która oswobodziła Paryż i teraz gotowała się do dalszej drogi na zachód, jedli lody, pili "Coca-colę", i kawę. Cudowne polowe kuchnie amerykańskie dostarczające w czasie walki befsztyki z cebulką wprost na linię ognia i tym razem nie zawiodły pokładanych w nich nadziei. Renard spojrział na zegarek.

- Mam tu naznaczone pewne spotkanie na dzień dzisiejszy - rzekł

uśmiechając się blado do Jana, zwrócił się do Seymoura.

- O której ta osoba ma tam być?

- O dziesiątej wieczór - Anglik patrzył nań z współczuciem.

Pamiętał

dokładnie słowa Marianne. Było bardzo możliwe, że nie przyjdzie ona na to

spotkanie... ani na to, ani na żadne inne...

Nadchodził wieczór. Spacerowali wzdłuż bulwarów nad rzeką. Na moście

Aleksandra jakaś kobieta idąca gdzieś z kwiatami, zatrzymała się i podała

je Janowi, potem pocałowała go w oba policzki i uciekła. Paryż był pełen

wdzięczności i mimo że pierwsza fala entuzjazmu minęła, często jednak można

było zobaczyć grupki ludzi podrzucające do góry jakiegoś przerażonego

żołnierza amerykańskiego. Jan spojrzał na wspaniałe storczyki.

- Czy ma pan dziś wieczór spotkanie z kobietą? - zapytał po raz pierwszy

Renarda.

- Tak, z moją własną żoną. - Francuz był coraz bardziej zdenerwowany.

- Może więc ofiaruje pan te kwiaty pani Renard. Sądzę, że nie będzie

miała nic przeciwko temu, jeżeli mąż po tyloletnim niewidzeniu pojawi się z

bukietem w ręku - roześmiał się wesoło, lecz widząc znaczące spojrzenie

Seymoura, zamilkł. Renard wziął kwiaty i przez chwilę patrzył na nie

bezmyślnie. Wreszcie spojrzał na zegarek i kiwnął im głową.

- Jest dwadzieścia po dziewiątej. Pójdę sobie powoli. Spotkamy się w

hotelu.

Odszedł szybkim krokiem i znikł w tłumie.

- Chodź - powiedział Seymour do Jana - ten człowiek potrzebować może

naszej opieki. Znam Francuzów i wiem jaki wpływ mają na nich przejścia

moralne. - Ruszyli w stronę Concordre. Po drodze Seymour opowiedział przyjacielowi, przemilczając jedynie niektóre drastyczne szczegóły, przebieg swojego spotkania z Marianne. Ten ostatni słuchał go uważnie.

Wreszcie odparł.

- Czy nie sądzisz, że w życiu decyduje nie wola człowieka, a jedynie przypadek. Tych dwoje ludzi kochało się i kocha nadal. Pracowali przez całą wojnę z narażeniem życia i poświęceniem dla swego kraju, a teraz stanąć mogą przed nierozwiązalnym problemem, o ile oczywiście ta pani nie załatwiła już tego we własnym zakresie...

Mimo swobodnego tonu był wzruszony. Weszli na Pola Elizejskie i przyśpieszyli kroku. Kiedy dochodzili do Placu Gwiazdy, Seymour spojrzął na zegarek.

- Za dziesięć dziesiąta - powiedział półgłosem - Wydaje mi się, że Renard nie mógł tu jeszcze zdążyć idąc okrężną drogą. Stańmy sobie w cieniu pod sklepieniem Łuku.

Przeszli koło płyty salutując Grób i zatrzymali się. Płyta zarzucona była kwiatami. Wokół niej stało kilka osób z odkrytymi głowami. Błady płomień rzucał nikły blask na ich twarze. Nagle Jan ścisnął Seymoura za rękę. Do

Grobu podszedł człowiek w mundurze kapitana Armii Francuskiej. Ukląkł i zaczął się modlić. Seymour raz jeszcze spojrzął na zegarek.
- Pięć po dziesiątej - szepnął Janowi do ucha - biedny Renard.
Wtem pomiędzy ludźmi przecisnęła się młoda kobieta w jasnym płaszczu, stanęła rozglądając się i nagle konwulsyjnym ruchem zakryła usta ręką, jak gdyby chcąc powstrzymać krzyk. Po pewnym wahaniu uklękła koło pogrążonego w modlitwie kapitana. Ten ostatni spojrzął na nią, potem pochylił głowę i trwał tak przez chwilę. Wreszcie wstał powoli i złożył trzymane w ręku kwiaty na grobie. Kobieta wstała również. Trzymając się za ręce ruszyli w kierunku tonącej w mrokach nocy i zapachu kasztanowych drzew Avenue Foch.
Nad miastem szedł dźwięk. Wysoko w górze ciągnęły eskadry bombowców na wschód. Seymour stał przez chwilę patrząc w rozgwieżdżone, szumiące rytmem silników niebo, wreszcie ujął Jana pod rękę i poszli w stronę niewidocznego w ciemności Placu Ternes.